

KIRYŁ BUŁYCZOW

LUDZIE JAK LUDZIE

WIELKI GUSLAR: KRÓTKI PRZEWODNIK

Ludzie czasem pytają: czemu to przybysze z kosmosu, którzy wybrali Ziemię za cel swej podróży, lądują nie na wyspach Oceanu Spokojnego, nie na szczytach Pamiru, nie na pustyni Takla Makan nie w Osace lub Konotopie, lecz w mieście Wielki Guslar? Dlaczego pewne dziwne wydarzenia, których naukowcy do tej pory nie zdołali zadowalająco wyjaśnić, zachodzą właśnie w naszym sławetnym grodzie?

Pytanie to zadawali sobie również liczni naukowcy i miłośnicy astronomii, głowili się nad nim uczestnicy sympozjum w Addis Abebie, zastanawiali dziennikarze i czytelnicy "Litieraturnoj gaziety".

Niedawno z nową hipotezą na ten temat wystąpił członek rzeczywisty Akademii Nauk, Spiczkin. Obserwując trajektorie meteorologicznych satelitów Ziemi, Spiczkin doszedł do wniosku, że miasto Wielki Guslar stoi na ziemskiej wypukłości, całkowicie niezauważalnej dla jej mieszkańców, lecz natychmiast rzucającej się w oczy tym, którzy oglądają nasz glob z sąsiednich gwiazd. Tej wypukłości w żadnej mierze nie należy mylić z górami, wzgórzami i innymi tego rodzaju tworami geologicznymi, gdyż niczego podobnego w okolicach Wielkiego Guslaru po prostu nie ma.

Miasto Wielki Guslar leży na równinie. Otoczone jest kołchozowymi niwami i gęstymi lasami. Rzeki płynące w tych okolicach wyróżniają się krystalicznie czystą wodą i powolnym nurtem. Wiosną zdarzają się powodzie, które trwają dość długo i pozostawiają na niskich brzegach rzek śmiecie i pnie drzew. Zimą na okolicznych drogach bywają zasypane śnieżne, odcinające miasto od sąsiednich miejscowości. Latem panują umiarkowane upały, przerywane częstymi burzami. Jesień jest tam łagodna i kolorowa, a zimne deszcze zaczynają się dopiero pod koniec października. W roku 1876 starzy mieszkańcy obserwowali zorzę polarną, a trzydzieści lat wcześniej - potrójne słońce. Najniższa zanotowana temperatura wyniosła minus 48 stopni (18 stycznia roku 1923).

Dawniej w lasach pełno było niedźwiedzi, saren, dzików, jenotów, bobrów, lisów, rosomaków i wilków. Zwierzęta te trafiają się w lasach nawet i dzisiaj. W roku 1952 podjęto próbę zaaklimatyzowania pod Wielkim Guslarem żubrobizonów. Żubrobizony rozmnażały się w Rezerwacie Worobiowskim, w naturalny sposób skrzyżowały z łosiami i dzięki temu zyskały potężne rogi oraz spokojne usposobienie. Rzeki i jeziora obfitują w dzikie ptactwo. Niedawno do rzeki Guś wpuszczono narybek gambuzji i białego amura. Nie wiadomo jak w ostatnich latach rozplenił się w niej rak brazylijski, najbliższy krewniak homara. Miejscowi rybacy natychmiast

ocenili jego znakomite cechy smakowe. Prasa terenowa donosiła o pojawieniu się w okolicach miasta muchy tse-tse, jednak wypadków śpiączki nie zanotowano.

Ludność Wielkiego Guslaru liczy bez mała osiemnaście tysięcy osób. Składają się na nią przedstawiciele szesnastu narodów. We wsi Moroski mieszkają cztery rodziny Kozuchów. Kozuchowie są niewielkim leśnym narodem z ugrofińskiej grupy językowej, mówiącym swoistym, dotychczas nie całkiem rozszyfrowanym językiem. Alfabet Kozuchów został opracowany na podstawie alfabetu łacińskiego w roku 1926 przez guslarskiego nauczyciela Iwanowa, który ułożył elementarz. Obecnie jedynie trzech Kozuchowie - Iwan Siemionow, Iwan Mudrik i Aleksandra Filipowna Małowa - władają językiem kozuchowskim.

Historia miasta Wielki Guslar liczy 750 lat. Pierwszą wzmiankę o nim można znaleźć w Kronice Andriana, który mówi, że potiomkinowski książę Gabriel Łagodny "przybył i wybił" niepokornych mieszkańców osady Guslar. Zdarzyło się to w roku 1222.

Miasteczko szybko rosło i rozwijało się, a to dzięki znakomitej lokalizacji na skrzyżowaniu szlaków handlowych, prowadzących na Ural i Syberię oraz do południowych i zachodnich regionów Rusi. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności uniknęło niewoli tatarskiej, ponieważ mongolscy najeźdźcy, odstraszeni gęstością i dzikością północnych kniei, ograniczyli się do przysyłania spisu żądanych danin, które zresztą obywatele miasta płacili rzadko i nieregularnie. Rozpoczęty w wieku XIV przez Moskwę i Nowogród spór o Guslar zakończył się ostatecznym zwycięstwem Moskwy dopiero w połowie wieku XV. W trakcie owego sporu miasto zostało trzykrotnie spalone i dwukrotnie kompletnie rozgrabione. Innym razem nowogrodzka drużyna wojewody Lepiechy zrównała miasto z ziemią. W następnych latach na Guslar spadała dzuma, powódzie, głód, morowe powietrze. Rokrocznie szalały pożary. Po każdej epidemii i pożodze miasto odbudowywało się i upiększało murowanymi soborami, których białe ściany malowniczo przeglądały się w zwierciadlanej gładzi rzeki Guś.

Ponad jedna trzecia odkrywców ruszających w drogę naprzeciw słońcu urodziła się w Wielkim Guslarze, który w szesnastym wieku przekształcił się w kwitnące miasto konkurujące z Wołogdą, Ustiugiem i Niżnim Nowogrodem. Wystarczy tu wspomnieć Timofieja Barchatowa, który odkrył Alaskę; Simona Trusowa, który na czele pięćdziesięciu Kozaków dotarł nad brzegi rzeki Kamczatki; Fiedkę Merkartowa, który jako pierwszy dotarł do Nowej Ziemi, odkrył Wyspy Kurylskie, Czelabińsk, Kalifornię i Antarktydę. Wszyscy ci herosi wracali na starość do rodzinnego miasta i budowali piętrowe murowańce na ulicy Targowej, w Niebieskim Zaułku lub na Wołowym Trakcie. Właśnie w owych latach Guslar zyskał przydomek Wielki.

A propos, wśród uczonych do dzisiaj trwają spory na temat tego, dlaczego Guslar nazywa się Guslarem? Profesor Tretiakowski w swojej monografii "Podbój Północy" uważa, że jego nazwa

wywodzi się od łowa "Gęslarz" lub nawet "Gęśle" (hipoteza Reizmana), bowiem wytwarzanie owych instrumentów muzycznych było nader rozpowszechnione w tamtejszych okolicach, Illonen natomiast i inni zagraniczni historycy skłaniają się ku przypuszczeniu, że nazwę miastu dała rzeka Guś, nad której brzegiem Wielki Guslar leży. Istnieje jednak również wersja Tichonrawowej, która uważa, że w tych leśnych ostępach znaleźli schronienie współwyznawcy i zwolennicy Jana Husa, którzy zdołali ująć habsburskim prześladowaniom. Należy wreszcie wspomnieć o punkcie widzenia Iwanowa, który wyprowadza słowo Guslar z kozuchowskiego "chusła", które oznacza "tylna łapa wielkiego niedźwiedzia, żyjącego na bardzo wysokiej górze". Wśród Kozuchów do dziś żyje legenda o wielkim myśliwym Demie, który w tych okolicach ubił niedźwiedzia i zjadł jego tylną łapę.

Pod koniec wieku XIX Wielki Guslar w związku z tym, że kolej żelazna ominęła go bokiem, przestał odgrywać ważną rolę w handlu i przekształcił się w zabite deskami miasteczko i trzeciorzędny przystań na rzece Guś.

W ostatnich latach w Guslarze coraz szybciej i intensywniej rozwija się przemysł terenowy. W mieście działa browar, fabryka "Zorza" (produkcja guzików i pinesek) i tartak (wytwarza doskonałej jakości wykałaczki). Na dalekich przedmieściach jest także mleczarnia i dwa warsztaty bednarskie. Wielki Guslar posiada Technikum Żeglugi Śródlądowej, kilka szkół średnich i niepełnych średnich, trzy biblioteki, dwa kina, Klub Oryli oraz muzeum. Do zabytków architektury ochronianych przez państwo należy Monastyr Spaso-Trofimowski, cerkiew Paraskewy Piatnicy (wiek XVI) - i Sobór Dmitrowski. Wielki zajazd i kilka cerkwi rozebrano w roku 1930, a na ich miejscu urządzono Skwer Imienia Odkrywców.

Wielki Guslar jest miastem podlegającym władzom obwodowym i stolicą rejonu wielkoguslarskiego, w którym uprawia się len, żyto i grykę, hoduje bydło i pozyskuje drewno. Do dyspozycji turystów, którzy przyjeżdżają latem do miasta, stoi hotel "Wielki Guslar" z restauracją "Guś", Dom Kołchoźnika i barka mieszkalna. W ciągu ostatnich kilku lat nad brzegami Gusi kręcono wiele filmów historycznych, w szczególności "Stienkę Razina", "Odkrywcę Barchatowa", "Stadko", i "Husarską balladę".

Główna arteria, ulica Puszkina, biegnie wzdłuż rzeki. Znajduje się przy niej Dom Towarowy, księgarnia i sklep zoologiczny. Zaczyna się obok mostu przez rzekę Griaznuchę, dzielącą miasto na historyczny gród i podgrodzie, kończy się natomiast przy parku miejskim, w którym znajduje się estrada, strzelnica i karuzela oraz letnia czytelnia pod parasolami.

Komunikacja z Wołogdą autobusem (sześć godzin) albo samolotem (godzina). Do Archangielska można dotrzeć samolotem (półtorej godziny) albo statkiem (przez Ustiug i Kotłaz) - cztery doby.

Przybysze kosmiczni zaczęli się w mieście pojawiać w roku 1967. Ich wcześniejszych śladów nie wykryto.

Przełożył TADEUSZ GOSK

TRZEBA POMÓC

Korneliusz Udałow siedział w domu i oglądał telewizję. Na dworze było parszywie. Siąpił deszcz, hulał wiatr, mokre liście fruwały po ulicy. Słowem, pogoda była taka, na jaką dobry gospodarz psa z domu nie wypędzi. Żona Ksenia wzięła dzieci i poszła do przyjaciółki mieszkającej po drugiej stronie ulicy. A Udałow został. Program był tak nudny, że chciało się wyć albo wyłączyć odbiornik i iść spać. Ale Korneliusz był za leniwy, żeby wstać z fotela. Kiedy jednak wreszcie zdecydował się i nacisnął guzik, w pokoju pojawiła się istota z trzema nogami, czerwonymi oczami i w okularach.

- Dzień dobry - powiedziała po rosyjsku, ale z silnym obcym akcentem. - Wybaczcie mój wymowa. Ja uczyłem wasz język na gwałt. Nie niepokójcie się mój zewnętrzny wygląd. Ja można sięść?

- Siadajcie - powiedział Udałow. - Jak tam na dworze, siąpi jeszcze?

- Ja prosto z kosmos - powiedziała istota. - Leciał w siłowe pole. Deszcz nie moknie.

- I po co wam taki kłopot? - zapytał Udałow.

- Ja wam jestem przeszkadzony?

- Nie, i tak nie ma co robić. Opowiadajcie. Herbaty się napijecie?

- To dla mnie być gwałtowna trucizna. Nie, dziękuję.

- Racja, jeśli szkodzi, to nie pijcie.

- Ja umierać od herbata w konwulsje - przyznał się gość.

- Dobra, obędziemy się bez herbaty.

Istota podkurczyła pod siebie wszystkie trzy nogi, wskoczyła na fotel i wyciągnęła przed siebie łapkę z mnóstwem pazurków.

- Udałow - powiedziała z naciskiem. - Trzeba pomóc.

- W porządku - powiedział Udałow. - Czym możemy, pomożemy. Tylko żeby na dwór nie wychodzić.

- Trzeba wychodzić na dwór - powiedziała istota.

- Szkoda.

- Ja proszę wybaczyć, ale najpierw zaczynajcie nas słuchać - powiedziała istota i wypuściła z otworu gębowego kłęb różowego, ostro pachnącego dymu.

- Przeziębienie - powiedziała. - Bardzo daleka jest droga. Trzy tysiące rok świetlny i osiemset tam i z powrotem. Wielki nieprzyjemność. Zdychaj krupiki.

- Szkoda - powiedział Udałow. - To wasi krewni?

- Ja wytłumaczę? - zapytała istota.

Udałow skinął głową, a potem wziął arkusz papieru i długopis, żeby w razie czego od razu notować.

- Ja mam osiem minuta. Ja się nazywać Fywa. Ja jest z jedna planeta w constellation nader odległy, wasz astronom wie, a wy nie wie.

Udałow zgodził się.

- My są dawno przyleciane do was na Ziemia, brali doświadczenia i egzemplarze. Trochę pomagaj budować piramida Cheopsa i pisać Mahabharata, hinduski epos. Bardzo traktowali z szacunkiem, obcy nie ruszali. Jeden raz wzięli wasze krupiki i zawieźli na nasza planeta.

- Czekajcie - przerwał Udałow. - Co to są krupiki?

- Ja zapominaj wasz słowo. Malutki, szary, z uszami, siedzi pod choinką, skacze. Krupiki.

- Zając? - zapytał Udałow.

- Nie - zaoponowała istota. - Zając ja wiem, królik wiem, kangur wiem. Inny zwierz. Nie bardzo ważny. Genetycy próbowali, wielkiego wyhodowali, nowy gatunek. Cała planeta w krupikach. Bardzo ważne w gospodarstwo. Krupiki zdychać. Kryzys ekonomiczny. Od rana jadać krupika.

"Co to może być? - męczył się Udałow. - Może skoczek pustynny?"

- Nie - odparła istota na myśl Udałowa - skoczek nie. Wiele lat mijać. Trzy dzień do tyłu krupiki zaczynać chorować. I zdychać. Wszyscy uczeni robią eksperyment. Środek nie ma. Środek tylko u was. Na Ziemia. Dziś rano mnie wołać i powiedzieć: - Leć, Fywa, ratuj nasz cywilizacja. Ja biegle powiedział?

- Zrozumiałem - odparł Udałow. - Tylko mam pytanie: kiedy, powiadacie, ruszyliście do nas?

- Dzisiaj. Śniadanie zjadł i poleciał.

- A ile, powiadacie, przelecieliście?

- Trzy tysiąc świetlny rok.

- Bzdury - powiedział Udałow. - Takich szybkości nauka nie zna.

- Jeśli prosto lecieć, nie zna - zgodził się gość. - Tylko inny zasada. Ja lecę po czasie.

- No, no, opowiadajcie - poprosił Udałow, który z natury był ciekawy i nigdy nie pominął okazji, aby dowiedzieć się czegoś nowego.

- Jedna minuta opowiedział, bardzo krótko. Czas mało. My podróżować po czasie. Jedna chwila, tysiąc rok do tyłu.

- No to wylądujecie na swojej planecie tysiąc lat wcześniej.

- Jaki naiwność! Nie waż się czytać fantastyczna książka! Fantastyczny pisarz nauka nie

zna, jeden od drugiego ściąga. Twoja Ziemia na miejsce stoi?

- Nie, lata dokoła Słońca.

- A Słońce?

- Też leci.

- Tak, zwykły dyrektor budowa, a wie. Pisarz Wells, pisarz Parnow nie wie. Jaki wstyd! Skocz do jutra, skocz w godzinę jedną do przodu, wyskocz z komory i nie ma pod tobą żadnej Ziemia. Ty już w kosmos, a Ziemia odleciał dalej, spod ciebie odleciał. Tak prosto. A jak na sto lat skoczę w tył, albo do przodu, Ziemia za ten czas odleciał daleko, daleko. A inny planeta albo gwiazda na to miejsce przyleciał. Ty wyskoczył już na inna planeta. Tylko liczyć trzeba. Bardzo dużo obliczenie robić. Chybisz i zraz.

- Klops - poprawił gościa Udałow, bardzo uradowany tym, że okazał się mądrzejszy od znanych pisarzy. - A do przodu też można skakać?

- Nie - odparła istota. - Czas jak ocean. Co było, jest, czego nie było, jeszcze nie ma. Ty możesz w ocean skakaj, nurkuj, znowu się wynurzaj. Bardzo dobrze liczyć, sto lat nazad skakaj, jedna planeta. Jeszcze pięćdziesiąt lat w drugi strona, jeszcze planeta. Trzy razy skakaj i już na Ziemia. Tylko bardzo trudno. Każdy dzień nie wolno skakaj. Bywa, że raz na sto lat można. Czasem trzy razy w godzinę. Zostało dla mnie trzy minuta, bo inaczej do domu nie trafię.

- Dobra - powiedział Udałow. - Wszystko jasne. A krupiki, to może myszy?

- Nie, myszy nie - powiedział gość. - Pomagać będziesz?

- Obowiązkowo - odparł Udałow.

- W twój miasto - powiedział przybysz - jest jeden środek. Czerwony kwiatek. Rośnie na okno. Jedna babka.

- Ziele?

- Nie, człowiek-babka. Ulica Merkartowa, dom trzy. Kwiatek trzeba zerwał i dawał mnie. Ja powiedział dziękuję w imieniu cała planeta. Krupiki też żyją. Też dziękuję. Jedna godzina czasu masz. Ja z powrotem lecę i kwiatek wziął.

- A dlaczego sam kwiatka nie kupiłeś?

- Nie wolno, babka bardzo straszy. Trzy noga ze mnie rosnać. Nie wychodzi. W tobie cała nadzieja jest...

Przy tych słowach przybysz rozwiązał się w powietrzu, bo właśnie upłynęła ósma minuta. Najprawdopodobniej rozpoczął swoje skoki w czasie, aby powrócić do domu i tam zameldować, że nawiązał kontakt z Korneliuszem Udałowem, który zgodził się pomóc.

Udałow przetarł oczy i popatrzył na fotel, w którym jeszcze przed chwilą siedział przybysz. Fotel miał pośrodku świeże wgniecenie. Wizyta nie była snem, a skoro tak, trzeba będzie pomóc

braciom w rozumie. Ale co to za krupiki? Może lis? Może wilk?

Udałow włożył płaszcz, wziął parasol i wyszedł na ulicę. Przybyszowi z jego polem siłowym było dobrze. A na Udałowa runął wściekły wiatr, ciężkie krople deszczu i skrzywienie drzew. Pod nogami tańczyły się czarne kałuże, a droga na ulicę. Merkartowa wprawdzie nie była zbyt odległa, ale biegła z dała od centrum Wielkiego Guslaru.

Zanim dotarł do domu numer trzy, zdążył przemoknąć do nitki, w butach mu chlupotało, woda ściekała za uszy i za kołnierz. Domek był mały, z dwoma okienkami wychodzącymi na ulicę. Przytykał do niego drewniany płot z furtką. Udałow nie wszedł od razu na podwórze, lecz najpierw zapukał delikatnie w oświetlone okno. Zasłonka odsunęła się w bok i okrążyła, rumiana twarz staruszki zbliżyła się do szyby. Udałow uśmiechnął się do tej twarzy i otworzył furtkę. Odsunął mokry, zimny haczyk i nadstawił ucha. W domu było cicho. Na sąsiednim podwórku rozszczeł się mały psiak. Udałow podszedł do chwiejnego ganku i wszedł po trzech stopniach. Psina biegła wzdłuż płotu i zanosila się szczekaniem, jakby pilnowała dwóch domów naraz.

Udałow pchnął drzwi, które otworzyły się ciężko, ze skrzypliwym westchnieniem.

- Jest tam kto? - zapytał uprzejmie i wkroczył w ciemność. W tej samej chwili coś ciężkiego spadło mu na głowę i zamroczyło. Ostatnią myślą Udałowa było: "Krupiki, to z pewnością wiewiórki".

Przytomność odzyskał w białej izbie. Było jasno. Siedział na ławce, oparty plecami o ledwie ciepły stygnący piec. Przed nim stał tęgi mężczyzna ubrany w piżamę i waciak. Mężczyzna trzymał w ręku maczugę, miał czerwony nos i smutne oczy.

"A jednak krupiki to wiewiórki" - pomyślał Udałow, wracając do rzeczywistości i pomacał głowę. Na głowie był wielki guz.

- Wybaczcie, jeśli coś nie tak - powiedział mężczyzna. - mnie ciocia Niusza na pomoc zawołała. Myślałem że to ten sam wrócił. W czarnych okularach. Przyczepił się, do okna się dobija, grozi: oddaj, powiada, kwiatek. Obcokrajowiec pewnie. Bandyta. A do domu nie wszedł. Ciocia Niusza go przepędziła, a mnie zawołała na pomoc. Bądź co bądź mężczyzna w domu. Jestem jej sąsiadem, z domu obok.

Wtedy Udałow, rozpędziwszy sprzed oczu różnokolorowe plamy, zauważył stojącą z boku zmieszana babcie o rumianych policzkach.

- Jestem kobietą samotną - powiedziała babcia. - Mnie bez trudu można ograbić.

- Słusznie - powiedział Udałow i zdenerwował się na przybysza, który nie powiedział najważniejszego: że nie przyszedł wprost do Udałowa, lecz najpierw zjawił się tutaj, spróbował zdobyć kwiatek. I wszystko zepsuł. Mógłby przynajmniej powiedzieć. Nie powiedział i teraz głowa boli. Może być nawet wstrząs mózgu. To się zdarza, jeśli ktoś rąbnie maczugą

- Wody - powiedział Udałow.

- Niusza, daj wody - powiedział mężczyzna i odłożył maczugę na stół.

- A ty, Innocenty, pilnuj go - powiedziała Niusza, wychodząc do sieni, gdzie z hałasem zaczerpnęła wody do kubka.

- Nie gniewajcie się na nią - powiedział mężczyzna. - Kobieta samotna, podejrzliwa. Ja wiem, że nie ma u niej nic do zabrania, ale ona myśli, że sama kogoś może zainteresować.

Udałow zerknął na okno. Na parapecie stały doniczki z kwiatami. Jedna roślina była obsypana czerwonymi pączkami.

- Właśnie, właśnie - mężczyzna zauważył jego spojrzenie. - Przez te nic nie warte kwiaty wszystko się pokielbasilo.

Babcia przyniosła kubek z wodą i podała Korneliuszowi. Kiedy pił, obejrzała go od przemokniętych stóp do skołtunionej głowy i nie wiadomo było, czy jego widok ją zadowolił. W każdym razie spojrzenie nadal miała nieufne.

- Za jakim interesem przyszliście? - zapytała Udałowa.

W innej sytuacji Udałow odłożyłby rozmowę do jutra. Pora na kupowanie kwiatka nie była najodpowiedniejsza. Ale teraz do powrotu przybysza zostało niewiele ponad pół godziny, z czego przynajmniej piętnaście minut zajmie droga do domu.

- Przechodziłem ulicą - powiedział - zajrzałem w okienko i postanowiłem wstąpić.

- Po co? - powiedziała babcia.

- No to ja już sobie pójdę, ciociu Niuszo - powiedział tęgi mężczyzna.

- Nie, Innocenty, poczekaj - zaproponowała babcia - nie zostawiaj mnie samej.

Mężczyzna westchnął i rozłożył ręce, jakby usprawiedliwiał się przed Udałowem.

- Cudowne tu kwiatki macie - powiedział, wówczas Udałow.

- Znowu? - zapytała babcia.

- A czy to ja jestem winien, że mnie te kwiatki też się podobają?

- Może i winien.

- Moja żona bardzo lubi rozmaite rośliny pokojowe - powiedział Udałow pośpiesznie, bo czas uciekał. Przybysz już podążał z powrotem na Ziemię, wymijając gwiazdozbiory i uskakując przed strumieniami meteorów. - Jutro są jej urodziny, dlatego postanowiłem kupić jej coś niecodziennego. Bądź co bądź szesnaście lat razem przeżyliśmy. Moja żona ma Ksenia na imię, Ksenia Udałowa. Ja tutaj, w Guslarze, pracuję jako kierownik przedsiębiorstwa budowlanego.

- A jakże, słyszałem - powiedział mężczyzna. - W razie czego pomoże ci, ciociu Niuszo, zdobyć materiały budowlane.

- Pewnie, że pomogę, byle w granicach prawa - powiedział Udałow.

Ciocia Niusza nieco odtajała.

- A eternit masz? - zapytała.

- Mam - powiedział Udałow, chociaż z eternitem zawsze były trudności.

- A kwiatek jest nie na sprzedaż - powiedziała ciocia Niusza. - Wstąpcie do mojej sąsiadki, ona ma wspaniałe geranie.

- Geranie to i ja mam - odparł Udałow. - Trzy doniczki.

- Co ty człowieka męczysz - powiedział mężczyzna. - Sprzedaj mu kwiatek, on ci tego nie zapomni.

- Nie zapomnę - powiedział Udałow. - Sprzedajcie mi ten czerwony kwiatek. Zapłacę, ile będzie trzeba. Przecież nie na darmo dostałem maczugą po głowie. Niby nic, a jednak ciężkie uszkodzenie ciała. Można złożyć skargę.

- On ma prawo złożyć skargę - powiedział tęgi mężczyzna. - Ma guza na potylicy.

- A mam.

- A przecież ja, ciociu Niuszo, spełniałem twoje polecenie. Ciebie broniłem. - Tęgi mężczyzna najwyraźniej spieszył się do domu.

Ciocia Niusza posmutniała i rzekła:

- Myślałam sobie, że jak będę umierała, to sobie przed samą śmiercią na kwiatek przynajmniej popatrzę. On jest jedyny. Nikt więcej w mieście drugiego takiego nie ma. A poza tym wybierałam się pojechać do córki, do Archangielska. Droga daleka i nietania.

- Podróż opłacę - powiedział Udałow. - Ile trzeba?

- Sto rubli - powiedziała babcia i zmrużyła oczy. Czekwała, co Udałow odpowie na taką bezczelność.

- Sto rubli nie da rady - powiedział Udałow.

- Ciociu Niuszo, miej sumienie! - powiedział sąsiad.

- To ja już lepiej prosto stąd pójść do dyżurnej przychodni - zagroził Udałow. - Niech mi zrobią obdukcję i oficjalnie opiszą wszystkie uszkodzenia ciała.

- Trzydzieści pięć i ani kopiejki mniej - powiedziała babcia.

- Przecież ty, ciociu Niuszo, sama sobie kręcisz stryzynek!

- Będę musiał iść - powiedział Udałow.

- A ile dasz? - zapytała pospiesznie babcia.

- Dziesięć rubli dam.

- Dziesięć mało, dziesięć sama doniczka kosztuje.

- A ja doniczkę zostawię.

- A mnie doniczka bez kwiatka niepotrzebna.

- Dwanaście rubli. Więcej pieniędzy przy sobie nie mam.

- A do przychodni nie pójdziesz?

- Nie pójdę.

- A eternit zorganizujesz?

- Postaram się.

Ciocia Niusza ciężko westchnęła i powiedziała:

- Bierz, Bóg z tobą.

Udałow wyjął pieniądze. I tak dobrze, że je ze sobą zabrał. Odliczył dwie piątki, rubla i dziewięćdziesiąt kopiejek drobnymi. Ciocia Niusza wymogła na nim obietnicę, że następnego dnia przyniesie jej dziesięciokopiejkówkę i Udałow wreszcie mógł zabrać ciężką, zakurzoną donicę.

Wyszedł na podwórko razem z sąsiadem. Sąsiad otulał się waciakiem i przestępował z nogi na nogę. Odprowadził Udałowa do furtki i otworzył mu. Babcia z wielkim hałasem założyła sztabę na drzwi.

- Słuchaj - powiedział na pożegnanie tęgi mężczyzna - ty przecież łągałeś o tej swojej żonie. Dlaczego dałeś dwanaście rubli za zwyczajne zielsko? Powiedz, ja nikomu ani słowa.

- Nie warto - odparł Udałow, odgarniając głową gałęzie, żeby nie włożyły w oczy. - I tak nie uwierzycie. Na pewnej planecie zdychają krupiki. Wyleczyć je można tylko tym kwiatkiem. I dlatego zwrócili się do mnie o pomoc.

- Aha - powiedział mężczyzna. - To brzmi całkiem prawdopodobnie.

A kiedy Udałow był już dość daleko, mężczyzna krzyknął:

- A co to są krupiki?

- Nie wiem! - odkrzyknął Udałow. - Szare, podobno puszyste i siedzą pod krzakiem.

- Pewnie króliki - powiedział mężczyzna.

- Całkiem możliwe - odparł Udałow i pobiegł w stronę domu, ślizgając się w gliniastym bloku i przyciskając do piersi ciężką donicę.

Przybysz czekał na niego obok domu, na ulicy, pod drzewem.

- Zdobyłeś? - zapytał wychodząc z cienia. - Dziękuję gigantycznie. Dawaj tutaj. W domu ja nie mogłem. Twój żona przyszedł.

Udałow postawił donicę na ziemi.

- Nie dowiedzieli się tam u ciebie, co to są krupiki? - zapytał.

- Nie, nie zdążył - odparł przybysz. - Taki tragedia. Cały nadzieja leży na ja i ty.

Zaczął szybko obrywać z gałązek czerwone pąki.

- A całej doniczki nie zabierzecie?

- Z donicą nie da rady przez continuum czasoprzestrzenny. Nie ma takiej możliwości.

- Gdybym wiedział, sam był oberwał. A krupiki to przypadkiem nie wiewiórki?

- Nie. Ja poleciał. Wielki dziękuję. Wiecie co, nasz planeta będzie stawiał wam jeden wielki pomnik. Trzy osoby wysoki. Ja już robił zdjęcie. Wy idziecie przez deszcz i burza, a w ręka macie czerwony kwiatek.

- Dziękuję - powiedział Udałow. - Ale została do załatwienia jeszcze jedna mała sprawa, jeśli nie macie nic naprzeciw. Rozumiecie, wysła taka historia: wydałem na ten kwiatek wszystkie moje pieniądze, a mam jutro zapłacić składki.

- Oj, jaki jest hańba dla nasza planeta! Oczywiście, wszystkie pieniądze ja ciebie dawaj. Całkiem zapomniałem. Masz, trzymaj. Dolar. Trzy tysiąc dolar.

- Czyście zwariowali? - oburzył się Udałow. - Po co mi dolary? Potrzebuję dwunastu rubli, a dokładniej jedenastu rubli i dziewięćdziesięciu kopiejek. Jeśli sądzicie, że zapłaciłem za ten kwiatek zbyt drogo, to weźcie pod uwagę, że nie miałem czasu targować się. A ten kwiatek wart jest najwyżej cztery ruble i to razem z doniczką.

- Ten kwiatek wart jest sto milion wasze ruble.

- Wcale nie chcę na nim zarabiać. Dajcie mi 24 przynajmniej z osiem rubli - poprosił Udałow.

- Bierz dolar - nalegał przybysz. - Innej pieniędzy nie mam. Za trzy roki znowu pomyślny układ planeta, ja przyjechać i ciebie rubel dawaj. A teraz bierz dolar.

Udałow chciał jeszcze oponować, ale przybysz wepchnął mu do ręki plik nowiotkich banknotów i krzyknął:

- Dziękuję! Zdjęcie pomnik przywiozę w następny wizyta. I zniknął.

Udałow westchnął i poszedł do domu.

Ksenia czekała na niego, nie kładła się spać. Powitała go wyrzutami i nie dała mu zdjąć płaszcza, zanim się nie przyzna, z kim miał randkę.

- Nie było żadnej randki - odparł Udałow, myśląc przy tym: "A może krupiki to wręcz słońce albo leopardy? Przecież nie wiadomo, pod jakim drzewem siedzi ten szary z dużymi uszami. Może pod baobabem?" - Wystarczy wyjść z domu - denerwowała się Ksenia - żeby cię od razu gdzieś pognało.

- Nie irytuj się - odparł Udałow, ciągle jeszcze myśląc o krupikach.

- A co ty masz w ręku? - zapytała Ksenia, patrząc na plik dolarów.

- Nic takiego, zwykłe dolary - odparł Udałow i podał żonie pieniądze.

- Ale się doczekałam! - powiedziała Ksenia i rozplakała się.

Przełożył TADEUSZ GOSK.

ŚWIEŻY TRANSPORT ŻŁOTYCH RYBEK

Jedyny w mieście Wielki Guslar sklep zoologiczny dzieli skromny lokal ze sklepem papierniczym. Na dwóch ladach leżą w nim pod szkłem długopisy, szkolne zeszyty w kratkę, album z białą mewą na błękitnej okładce, pędzelki popularne, ochra w tubkach, temperówki i mapy konturowe. Trzecia lada, stojąca na lewo od wejścia, nie jest oszklona. Piętrzą się na niej stopy półkilowych torebek z pokarmem dla kanarków, klatki dla wiewiórek i niewielkie konstrukcje z kamieni i cementu inkrustowanego muszlami. Konstrukcje te przypominają ruiny średniowiecznych zamków i przeznaczone są do umieszczania w akwariach, żeby rybki czuły się tam jak w swoim żywiole.

Sklep papierniczy zawsze wykonuje plan. Zwłaszcza w trakcie roku szkolnego. Sklepowi zoologicznemu wiedzie się znacznie gorzej. Jedynym chodliwym towarem, jaki w nim bywa, są kurczaki, kurczaki ze sztucznej wylęgarni, których dostawa zdarza się raz na kwartał. Wtedy kolejka po nie zakręca aż na rynek. W pozostałe dni przy ladzie jest zupełnie pusto. Jeśli nawet przychodzą tam chłopcy, żeby pogapić się na gupiki i czerwone mieczyki pływające w podświetlonym akwarium, to nigdy tych mieczyków nie kupują. Kupują je u Kolki Długiego, który co sobota stoi przed wejściem do sklepu i trzyma na długim sznurku litrowy słoik z narybkiem. W drugiej ręce dzierży papierową torbę z czerwonymi robaczkami.

- Znowu tu sterczy - mówi Zinoczka do Wiery Jakowlewny, sprzedawczynie ze sklepu papierniczego, i pisze do obwołu kolejne zamówienie na białe robaczki i rasowe gołębie.

Trudno powiedzieć, aby Zinoczka zupełnie nie miała klientów. Ma kilku. Prowizor Sawicz trzyma kanarka i raz w tygodniu, pod koniec dnia, wstępuje po drodze z apteki do domu. Kupuje pół kilo pokarmu. Wpada czasami Grubin, wynalazca i człowiek bez przyszłości. Grubin interesuje się wszelkimi zwierzakami i nosi głęboko w sercu nadzieję, że sklep otrzyma kiedyś do sprzedaży amazońską papugę arę, która bardzo łatwo uczy się ludzkiej mowy.

Jest jeszcze jeden człowiek zagląający do sklepu, ale to nie klient, tylko przypadek zupełnie szczególny. Były strażak, inwalida Eryk.

Przychodzi, cicho staje w kącie za akwarium. Pusty rękaw ma założony za pas, a oparzoną stroną twarzy skierowaną ku ścianie. W mieście Eryka znają wszyscy. Dwa lata temu pewna babcia zostawiła włączone żelazko i położyła się spać. Eryk pierwszy wpadł do domu i zaczął wyciągać babcie na świeże powietrze, ale nie zdążył. Z góry spadła belka i w ten sposób Eryk został inwalidą. W dwudziestym trzecim roku życia. Ze strony obywateli było mnóstwo współczucia, załatwili Erykowi rentę i odszkodowanie, ale dotychczasową robotę musiał rzucić. Chłopak

wprawdzie został w straży pożarnej, ale teraz tylko pilnuje garażu. Uczy się pisać lewą ręką, ale jest bardzo nieśmiały i wszystkiego się wstydzi. Nie lubi nawet pokazywać się na ulicy.

Eryk przychodzi do sklepu po pracy. Zazwyczaj kuleje, bo nogę też mu w tym pożarze przygniotło. Przychodzi, wciska się w kąt za akwarium i patrzy na Zinoczkę, w której kocha się bez wzajemności. Jaka zresztą może być wzajemność, jeśli Zinoczka to dziewczyna przystojna i postawna, ciesząca się powodzeniem u wielu chłopców z Technikum Rzecznego. Sama Zinoczka wzdycha do nauczyciela biologii ze szkoły średniej numer jeden, ale Erykowi nigdy złego słowa nie powie.

Kończył się trzeci kwartał. Była już jesień. Zinoczka spodziewała się dostawy dobrego towaru, gdyż jej zwierzchnicy w obwodzie musieli zdawać sobie sprawę, że jeśli nie wykonają planu, to ich też nikt po główce nie pogłodzi.

Zina nie zawiodła się. Dwudziestego szóstego września dzień wypadł pogodny i bezwietrzny. Ze sklepu widać było drogę wiodącą ku rzece, a nawet las na jej przeciwległym brzegu. Rzeką, lazurową niczym niebo, ale o ton ciemniejszą, płynęły barki, tratwy i motorówki. Chmury przesuwały się wolno po niebie, jakby każda z nich starała się z najlepszej strony zaprezentować własne wdzięki. Zinoczka otrzymała towar poprzedniego dnia już pod wieczór (przysłali go samolotem AN-2), przysłała więc do pracy wcześniej rano, popatrzyła na chmury i na drzwiach sklepu wywiesiła ogłoszenie:

"Świeży transport złotych rybek"

Weszła do środka. Rybki wpuszczone do dużego akwarium przez noc odżyły i teraz pływały godnie, ledwie poruszając długaczynymi ogonami. Były niewielkie, najwyżej piętnastocentymetrowe, ale w masie (około dwudziestu sztuk) stanowiły widok wręcz wyjątkowy. Grzbieciki miały jaskrawozłociste, a brzuszki różowe niczym dopiero co wypucowane samowarki. Oczy duże, czarnego koloru, płetwy jasnoczerwone.

Z obwołu przysłali też bańkę żywego pokarmu. Zinoczka wyłożyła robaczki na wielką kuwetę fotograficzną, a one roiły się i wspinały do góry po śliskiej białej emalii.

- Ach - powiedziała Wiera Jakowlewna, gdy przyszła do pracy i zobaczyła rybki. - Takiego cuda to ja bym nie sprzedawała. Zostawiłabym na wyposażeniu placówki.

- Wszystkie?

- No, nie. Jakąś połowę. Dzisiaj będziesz miała wielki dzień.

W chwilę potem otworzyły się drzwi i do sklepu wszedł stary Łożkin, który lubił wszystkich pouczać. Podszedł wprost do lady, postął, poruszył wargami, wziął w dwa palce szczyptę robaków i powiedział:

- Stołeczne robaczki. Pierwszorządne.

- A jak rybki? - zapytała Zinoczka.

- Zwyczajny towar - odparł Łożkin, zachowując dumną pozę. - Chińskiego pochodzenia. W Chinach te rybki trzymają w każdym basenie. Ze względów dekoracyjnych. Milionami.

- Przesadzacie! - obraziła się Wiera Jakowlewna. - Milionami!

- Trzeba czytać literaturę fachową - powiedział stary Łożkin. - Zobacz w fakturze. Tam wszystko napisali.

Zinoczka wyjęła fakturę.

- Spójrzcież sami - powiedziała. - Ja już sprawdzałam. Nic tam nie mówią o ich chińskim pochodzeniu. Nasze rybki. Dwa czterdzieści sztuka.

- Trochę przydrogie - powiedział Łożkin, zakładając na nos staroświeckie pincenez. - Niechaj im się przyjrzę.

Wszedł Grubin. Był to mężczyzna wysoki, rozczochny, błyskawiczny w ruchach i szybki w decyzjach.

- Dzień dobry, Zinoczka - powiedział. - Dzień dobry, Wiero Jakowlewna. Macie coś nowego?

- Tak - powiedziała Zinoczka.

- A co z papugą? Nie zrealizowali jeszcze mojego zamówienia?

- Jeszcze nie, pewnie szukają.

Prawdę mówiąc, Zinoczka w ogóle nie zamawiała brazylijskiej papugi ary. Podejrzewała, że w centrali wyśmieją takie zamówienie.

- Interesujące rybki - powiedział Grubin. - Charakterystyczny złoty odcień.

- Dla kogo charakterystyczny? - zapytał surowo stary Łożkin.

- Dla nich - odparł Grubin. - No to ja sobie pójdę.

- Niepoważny człowiek - powiedział Łożkin. - W specyfikacji nie ma ich łacińskiej nazwy.

Do sklepu zajrzał Długi Kola. Długim przewano go pewnie dla śmiechu, bo był niziutki, mimo czterdziestki na karku w ogóle nie miał zarostu i przypominał dużego oseska. W zwykłe dni Zinoczka nie wpuszczała Koli do sklepu, wypędzała krzykiem i groźbami. Ale dzisiaj, gdy zobaczyła go w drzwiach, powiedziała triumfująco:

- No chodź tu, chodź, prywatna inicjatywo. Kola zbliżył się do lady ostrożnie, czując jakiś podstęp. Torbę z robakami trzymał pod pachą, a słoik z narybkiem schował za plecy.

- Ja tylko popatrzeć na złote rybki... - powiedział cicho.

- A patrz, ubędzie ich czy co?

Ale Kola nie patrzył na rybki. Gapił się na kuwetę z robaczkami. Łożkin zauważył ten wzrok i powiedział głośno:

- Państwowa cena jest czterokrotnie niższa niż u krwio pijców. I robak znacznie lepszej jakości.

- Jakość to my zaraz sprawdzimy - odparł Kola. I zaczął cofać się ku drzwiom, gdzie wpadł plecami na czołówkę uczniów, którzy zwiali z lekcji, gdy tylko wieść o złotych rybkach rozniosła się po mieście.

Stary Łożkin opuścił sklep w pięć minut później. Wstąpił do domu po słoik i trzy ruble, wrócił, kupił złotą rybkę, a za resztę pieniędzy robaczków. W tym czasie do sklepu przyczłapał już i Eryk. Przyniósł bukiet astrów, który położył pod akwarium, bo lękał się, że Zinoczka zauważy prezent i zacznie go wyśmiewać. Wagarowicze gapili się na rybki, szeptali i planowali złożyć się na kupno jednej z nich dla kącika żywej przyrody. Zinoczka zanurzyła siatkę w akwarium, a Łożkin z nosem przy szybie kierował jej poczynaniami, wybierając najlepszą sztukę.

- Nie tą - mówił. - Nie wtryniajcie mi byle jakiego towaru. Ja się na tych rybach znam, mam specjalną literaturę. Z lewej bierz, z lewej! Lepiej ja sam.

- Co to, to nie - powiedziała Zinoczka, która dzisiaj była panią sytuacji. - Mówcie mi tylko którą, a ja już wyłowię.

- Nie, lepiej ja sam - odpowiadał na to stary Łożkin i łapał za drucianą rączkę siatki.

- Przestańcie, obywatelu wtrącił się Eryk. - Przecież starają się was obsłużyć.

- Milczeć! - obraził się Łożkin. - Mądrała się znalazł. Starszych będzie uczył!...

Stary Łożkin był z natury zgryźliwy i mówił obraźliwym tonem. Eryk chciał się odciąć, ale rozmyślił się i odwrócił do ściany.

- Takiemu wrednemu człowiekowi ja bym w ogóle rybek nie dawała - oburzyła się znad swojej lady Wiera Jakowlewna, po czym chwyciła przykładnicę i zamachnęła się nią jak do ciosu.

Stary Łożkin jakby zmałał i przestał wybrzydzać. Podstawił słoik, rybka ostrożnie ześlizgnęła się z siatki i złotym pyszczkiem dotknęła szkła. Zinoczka w milczeniu zważyła Łożkinowi robaki, w milczeniu przyjęła od niego pieniądze i wydała dwie kopiejki reszty. Stary usiłował zostawić je na ladzie, ale głośnym okrzykiem został zawrócony od drzwi, zabrał monetę i skurczył się jeszcze bardziej.

Kiedy Łożkin wyszedł na ulicę i kiedy promień słoneczny wpadł do słoika, z jego wnętrza wytrysnął promień jeszcze jaskrawszy i zaigrał na szybach domów. Na całej ulicy zaczęły się otwierać okna. Ludzie wyglądali z nich i pytali, co się stało. Rybka uderzyła ogonem, krople wody poleciały na chodnik, a każda z tych kropli też lśniła i błyszczała.

Przy krawężniku gwałtownie zahamował autobus. Kierowca wytknął głowę przez okno i krzyknął:

- Dziadku, co dają?

Łożkin podrapał się torebką z robakami w wygolony, pokryty zmarszczkami podbródek i odparł z godnością:

- Tylko dla znawców, dla tych, którzy potrafią ocenić.

“Znawca” wracał do domu nieco zawstydzony swym zachowaniem w sklepie, ale zmieszanie stopniowo ustępowało, gdyż za Łożkinem ciągnęli, sami tego nie zauważając, podnieceni ludzie, zachwycający się złotą pięknnością w słoiku po ogórkach.

- Dostałeś co? - zapytała stara Łożkina z kuchni, nie zwracając uwagi na jasność w pokoju za jej plecami. - Pewnieś pół litra przyniósł?

- Pół litra czystej wody - zgodził się stary - pół litra w słoiku, czego i wam życzę.

- Nie - powiedziała stara nie odwracając się. - Od razu pod sklepem wydudliłeś.

- Niby dlaczego?

- Brednie gadasz.

Stary nie spierał się z nią, rozsunął tylko kaktusy na parapecie, mrugnął do kanarków, które na widok słoika zaniósł się zdumionym szczebiotem, wy dobył z kąta zapasowe akwarium i poszedł z nim do kuchni.

- Posuń się - powiedział do małżonki. - Daj nabrać wody.

- Małżonka zrozumiała, że mąż o dziwo nie jest pijany, wytarła ręce w fartuch i zajrzała do pokoju.

- Skaranie boskie - wykrzyknęła. - Jeszcze nam tylko złotej rybki brakowało!

Pochyliła się nad słoikiem, a wtedy rybka wysunęła z wody ostry pyszczek, otworzyła go, jakby brakowało jej powietrza, i powiedziała półgłosem:

- Wypuścilibyście mnie, towarzysze, do rzeczki.

- Czego? - zapytała małżonka starego Łożkina.

- Wpłynięcie na męża - powiedziała rybka niemal szeptem. - On mnie bez waszej pomocy za nic nie wypuści.

- Czego, czego? - zapytała Łożkina.

- Z kim ty rozmawiasz? - zdziwił się stary, który właśnie wrócił do pokoju z napełnionym akwarium.

- Sama nie wiem - powiedziała żona. - Nie wiem.

- Ładna? - zapytał Łożkin.

- Sama nie wiem - powtórzyła żona. Chwilę pomyślała i dodała: - Wypuść ty ją do rzeczki, bo jeszcze sobie biedy napytasz.

- Ty co, zwariowałaś? Przecież jej oficjalna cena w państwowym sklepie wynosi dwa ruble czterdzieści kopiejek.

- W państwowym? - zapytała żona. - Już dają?

- Dają, ale nikt nie bierze. Nie znają się ludzie. Cena wysoka. Ale czy dwa czterdzieści to za drogo jak na takie чудо?

- Misza - powiedziała małżonka - ja ci trzy ruble dam. Dam ci cztery i zakąskę jeszcze kupię. Ty ją tylko wypuść. Boję się.

- Zwariowała baba - powiedział z przekonaniem stary. - My ją tu zaraz do akwarium przeniesiemy.

- Wypuść.

- Ani mi się śni. Ja na taką rybkę przez całe życie czekałem. Z Moskwą korespondowałem. Dwa czterdzieści żywą gotówką zapłaciłem.

- No to jak uważasz - powiedziała stara, zapłakała i poszła do kuchni.

W tym momencie rybce nerwy odmówiły posłuszeństwa.

- Nie odchódź! - krzyknęła przenikliwie. - Nie wyczerpaliśmy jeszcze wszystkich argumentów. Jeśli wypuścicie, spełnię trzy życzenia.

Stary Łożkin był człowiekiem twardym i opanowanym, ale nawet on na te słowa upuścił akwarium, stłukł je i stał teraz po kostki w wodzie.

- Nic nam nie trzeba! - odparła Łożkina z kuchni. - Nic nie trzeba. Wynoś się do swojej rzeki! Przez ciebie same tylko kłopoty.

- Neeee - przeciągnął stary Łożkin. - Nieeee! Co to ja słyszę, rozmówki?

- To ja mówię - odparła rybka. - A moje słowo coś znaczy.

- Ale jak to może być? - zapytał Łożkin podkulając przemoczoną nogę. - Ryby głosu nie mają.

- Ja jestem mutantem - odparła rybka. - Długo by o tym mówić.

- Izotopy? - zapytał stary.

- Izotopy też.

- Wyrzuć ją - nalegała Łożkina.

- Poczekaj. Zaraz ją wypróbujemy. Ano, odtwórz akwarium w jego pierwotnej postaci i żeby na oknie stało, a w pokoju, żeby było sucho.

- A wypuścisz, nie oszukasz?

- Słowo honoru, że wypuszczę - powiedział stary. - Wystarczy cię na trzy życzenia?

- Wystarczy.

- No to mi sklej akwarium. Jeśli ci się uda, to polecę do sklepu i jeszcze z dziesięć takich samych kupię. A może to tylko ty potrafisz gadać?

- Nie, wszystkie - wyznała rybka.

- No to stawiaj akwarium.

W pokoju nastąpiło momentalne zamglenie powietrza, wystąpił szum i łopot podobny do tego, jaki wydaje przelatujący wielki ptak, a w chwilę potem na oknie pojawiło się całe, niepotłuczone, wypełnione wodą akwarium.

- Może być - powiedział stary Łożkin. - Dałaś radę.

- Zostały dwa życzenia - powiedziała rybka.

- W takim razie to akwarium jest dla mnie za małe. Zażyczyć sobie nowe, stulitrowe, z wodorostami?...

Tymczasem do Łożkina podeszła jego ciągle jeszcze zapłakana żona. Teraz jednak płakała z obawy, że lekkomyślny małżonek roztrwoni wszystkie życzenia rybki. A co będzie, jeśli ona kłamie? Jeżeli tylko ona jedna jest taka?

- Stój! - powiedziała do starego. - Najpierw inne wypróbuj. Inne rybki. One i w małym akwarium się zmieszczą. Przecież dla niej akwarium zbudować to nic trudnego, a nam jest potrzebniejszy nowy dom z ogródkiem.

- Aha - zgodził się Łożkin. - Dobrze mówisz. Wyciągaj gotówkę z szafy, dawaj kubek. Póki nie wrócę, oka z niej nie spuszczać.

- To mam robić to wielkie akwarium, czy nie? - zapytała rybka bez szczególnej nadziei.

- Jeszcze czego? zdenerwował się stary. - Spryciara! W kolektywie będziesz pracowała. Ja mam dużo życzeń, niech ci się nie wydaje, że jak starszy, to już nic nie potrzebuje.

Ksenia Udałowa, sąsiadka z góry, na pięć minut przed wygłoszeniem tych słów wstąpiła do Łożników po sól, bo w domu wszystka już wyszła. Drzwi otwarte, sąsiedzi zaprzyjaźnieni, dlaczego więc miała nie wstąpić. No i usłyszała całą rozmowę. Staruszkowie byli odwróceny do niej plecami, a rybka, jeśli nawet ją zauważyła, to nie dała tego po sobie poznać. Ksenia Udałowa, matka dwojga dzieci i żona kierownika komunalnego przedsiębiorstwa budowlanego, wyróżniała się żywym umysłem i niczemu się nie dziwiła. Jak cicho weszła, tak samo po cichutku wyszła, zorientowawszy się, że Łożnikowie zmitrzą trochę czasu na zabranie wiadra z wodą i sięgnięcie po pieniądze. Wybiegła na dwór, gdzie, jako że była sobota, Korneliusz Udałow, jej mąż, grał w domino pod opadającą lipą i krzyknęła doń władczym tonem:

- Korneliusz, do mnie!

- Przepraszam - powiedział Korneliusz Udałow do partnera - wołają mnie.

- Zwykła rzecz - powiedział partner. - Tylko postaraj się szybko obrócić.

- Ja zarazi Ksenia Udałowa podała mężowi niezbyt starannie umyty słoik po bakłażanach, pięć rubli w papierku i powiedziała głośnym szeptem:

- Leć do sklepu zoologicznego i kup dwie złote rybki!

- Kogo mam kupić? - zapytał Korneliusz posłusznie odbierając słoik.

- Złote rybki! Tylko bierz jak największe sztuki.

- Po co?

- Nie gadać! Biegiem marsz i nikomu ani słowa. Wody tylko nie rozlej. Noo! A ja ich tu zatrzymam.

- Kogo?

- Łożkinów.

- Kseniusza, ja kompletnie nic nie rozumiem - powiedział Korneliusz, pocąc się jak ruda mysz.

- Potem zrozumiesz!

Ksenia usłyszała odgłos kroków dobiegający z wnętrza domu i pomknęła tam ze wszystkich sił.

- Dokąd to cię posyłają - zapytał Sasza Grubin, sąsiad. - Odprowadzić?

- Odprowadź - odparł Udałow, ciągle nie mogąc przyjść do siebie. - Odprowadź do sklepu zoologicznego. Złote rybki będę tam kupował.

- To być nie może - powiedział Pogosjan, partner od domina. - Twoja Ksenia nigdy w życiu podobnego zakupu nie dokonywała. Chyba, że chce usmażyć.

- A może i naprawdę chce sobie usmażyć? - uspokoił się trochę Korneliusz. - Idziemy.

Wyszli z Grubinem na ulicę, a pozostali gracze roześmieli się wesoło, bo dobrze znali zarówno Ksenię, jak i jej męża Korneliusza.

Jeszcze nie zdążył ucichnąć w zaułku odgłos kroków przyjaciół, gdy w drzwiach domu pokazała się ponownie Ksenia Udałowa. Szła tyłem i jej niezmiernie szerokie plecy drgały z wysiłku, powstrzymując jakiś napór. Było już widać, że napierają małżonkowie Łożkinowie. Stary niósł wiadro z wodą, a żona pomagała mu wypychać Ksenię.

- I dokąd to tak spieszycie, sąsiedzi kochani? - pytała śpiewnie Ksenia.

- Puszczaj - nalegał stary. - Po wodę idę.

- Po jaką to wodę idziecie, skoro już od dwóch lat mamy w domu wodociąg?

- Puszczaj! - krzyczał stary. - Po kwas idę.

- Z wiadrem pełnym wody? A ja chciałam od was soli pożyczyć.

- A pożyczaj, tylko mnie przepuść.

- A czy przypadkiem nie do sklepu zoologicznego tak się spieszycie? - zapytała zjadliwie Ksenia.

- A choćby i do sklepu zoologicznego - odparła stara Łożkina. - I tak nie masz prawa nas zatrzymywać.

- Skąd wiesz? - oburzył się Łożkin. - Skąd wiesz? Podśluchiwałaś?

- A co podśluchiwałaś? Co było do podśluchiwania?

Stary szarpnął się, omal nie zwałił Kseni z nóg i rzucił się w kierunku bramy. Jego małżonka zawisała na Udałowej, która chciała popędzić za Łożkinem.

- Oj, oj - powiedział Pogosjan. - On też po złotą rybkę poleciał. Dlaczego poleciał?

- Żyliśmy bez złotych rybek - odparł mu na to Kac - to i dalej jakoś przeżyjemy. Mieszaj kamienie.

- Oj, oj - powiedział Pogosjan. - Ksenia Udałowa to taka sprytna baba, że aż czasem strach bierze. Patrzej, też poleciała. I stara Łożkina za nią. Grajcie beze mnie. Ja, chyba rozumiecie, pójde się przejść trochę po mieście.

- Walentin - powiedziała do Kaca jego żona, wyglądająca z okna pierwszego piętra. Usłyszała hałas na dworze i dokładnie go zanalizowała. - Walentin, masz pieniądze? Skocz do sklepu zoologicznego i zobacz, co tam dają. Może dla nas już nie starczy.

W półtoręj minuty później wszyscy mieszkańcy domu numer szesnaście, w ogólnej liczbie około czterdziestu osób, biegli ulicą Puszkina do sklepu zoologicznego. Niektórzy biegli ze słoikami, niektórzy z butelkami, niektórzy z plastikowymi torebkami, a inni zwyczajnie, z pustymi rękami, żeby się bezinteresownie pogapić.

Kiedy pierwsi z nich dotarli do sklepu, przed drzwiami opatrzonymi napisem "Świeży transport złotych rybek" kłębił się zbity tłum.

Miasto Wielki Guslar jest niewielkie i życie płynie w nim powszednim, utartym trybem. Ludzie chodzą do kina, do pracy, do technikum rzeczno, do biblioteki i w tym wszystkim nie ma nic szczególnego. Wystarczy jednak, aby wydarzyło się coś niecodziennego, a natychmiast przez miasto przetacza się fala niepokoju i podniecenia. Zupełnie jak w mrowisku, gdzie każda wieść w ułamku sekundy dociera do najdalszych zakątków. Mrówki natura obdarzyła w tym celu specjalnym szóstym zmysłem. Wielki Guslar też posiada zbiorowy szósty zmysł i to właśnie on sprowadził licznych ciekawskich, chętnych do gapienia się na złote rybki. Ten sam szósty zmysł rozwiązał również ich wątpliwości co do tego, czy mają kupować, czy też nie. Obywatele Guslaru pojęli, że należy nabywać złote rybki w tej samej chwili, gdy do sklepu wpadli Udałow z Grubinem, którzy nie całkiem jeszcze zdawali sobie sprawę z tego, po co to robią. Zasapany Udałow wetknął Zinoczce pięć rubli i powiedział:

- Dwie rybki, złote, zawińcie mi z łaski swojej.

- To wy, Korneliuszu Iwanowiczu? - zdumiała się Zinoczka, która mieszkała na tej samej ulicy, co i Udałow. Łożkinowie wam poradzili? Chcecie samca z samiczką?

- Zinoczka, nie sprzedawaj im rybek - odezwał się zza akwarium inwalida Eryk, który nie

mógł się zdecydować wyjść ze sklepu.

- Młody człowieku - osadził go Grubin. - Tylko z szacunku dla waszej bohaterskiej przeszłości powstrzymam się od odpowiedzi. Zinoczka, macie tu słoik, kładźcie towar.

Zinoczka miała łzy w oczach. Wzięła siatkę i zanurzyła ją w akwarium. Rybki uciekały przed nią w popłochu.

- Też rozumiem - powiedział któryś z gapiów.

W drzwiach zaczął się jakiś ruch. To stary Łóżkin usiłował przecisnąć się z wiadrem do lady.

- Nie cackajcie się z nimi - powiedział Udałow. - I tak je usmażymy.

- Mnie dajcie, mnie - krzyczał od drzwi stary Łóżkin. - Ja jestem miłośnikiem złotych rybek. Ja ich smażył nie będę!

Ogólny harmider zagłuszył poszczególne słowa. W stronę Zinoczki wyciągały się ręce z zaciśniętymi w nich rublami i Eryk, pragnąc osłonić ją przed niebezpieczeństwem, stuknął kulą w podłogę i krzyknął:

- Cisza! Zachowujcie porządek!

Nastąpiła cisza i w tej ciszy wszyscy usłyszeli, że rybka, która wysunęła głowę z akwarium, powiedziała:

- To kompletne szaleństwo, żeby nas smażyć. To zupełnie tak samo, jakbyście chcieli zarznąć kurę niosącą złote jaja. My złożymy skargę.

Martwa cisza owładnęła sklepem. Druga rybka podплыnęła do pierwszej i powiedziała:

- Musimy uzyskać gwarancje.

- Jakie? - zapytał Grubin cieniutkim głosikiem.

- Trzy życzenia na każdą i ani słowa więcej. Potem na wolność.

Nastąpiła pauza, a potem wolny ruch ku ladzie, bowiem ciekawość jest silnym uczuciem i pragnienie zerknięcia na prawdziwe gadające rybki przyciągało ludzi niczym magnes.

W pięć minut było po wszystkim. W pustym sklepie, na pustej ladzie stało puste akwarium. Woda jeszcze się w nim kołysała. Zinoczka liczyła utarg i cichutko płakała. Eryk nadal stał w kącie i zdrową ręką masował sobie poparzony bok. Potem pochylił się, podniósł z podłogi prawie nie pomięty bukiet astrów i położył go przed Zinoczka.

- Nie martwcie się - powiedział Eryk - może w następnym kwartale znowu przyślą. Żałuję tylko, że dla mnie zabrakło. Ja bym wam swoją oddał.

- Nie dlatego płaczę - odparła Zinoczka. - Widzieliście, jaka chciwość się w ludziach obudziła? Wstyd patrzeć. I stary Łóżkin krzyczał, żeby mu dać dziesięć sztuk, i w ogóle...

- Bardzo mi przykro, że nie udało mi się dla was kupić - powiedział Eryk. - Do widzenia.

Wyszedł. Wiera Jakowlewna, która czekała, aż sklep całkiem się opróżni, podeszła do Zinoczki, trzymając w ręku polichromowaną szkatułkę roboty mistrzów z Palechu. W szkatułce z trudem mieściły się dwie rybki.

- Ja jednak kupiłam - powiedziała Wiera Jakowlewna. - Nawet nie zauważyłaś. Zrozumiałam, że jak będę czekała, aż się to zbiegowisko skończy, to nic dla nas nie zostanie. Przecież nie domyśliłaś się, żeby przynajmniej jakieś trzy sztuki odłożyć.

- Skądże - powiedziała Zinoczka. - Bardzo się cieszę, że przynajmniej wy zdążyliście. A ja nawet nie zauważyłam. Taki był rwetes, że tylko pieniądze brałam i rybki wyławiałam.

- Jedna twoja - powiedziała Wiera Jakowlewna. - Pieniądze mi oddasz z pensji.

- Mnie nie trzeba - powiedziała Zinoczka. - Zresztą nie mam prawa kupić.

- No to ci ją daję w prezencie. Na urodziny. I nie wyglupiaj się. Kto sam rezygnuje ze szczęścia? Ty nawet futerka nie masz, a zima się zbliża.

- Nie, nie, za nic! - powiedziała Zinoczka i zaniósła się jeszcze głośniejszym płaczem.

- Nie ma co się mazać - powiedziała ze szkatułki rybka. - I tak jeden człowiek nie może żądać spełnienia więcej niż trzech życzeń. Choćby nawet miał i sto rybek. A futro ci potrzebne. Chętnie zrobię. Jakie chcesz? Norkowe czy karakuly?

- Wspaniale - powiedziała Wiera Jakowlewna. - Gdzie siatka? Zaraz ci ją przełożymy. Bardzo się cieszę.

- Ale jak to można? - broniła się Zinoczka. Do sklepu zajrzała nieznajoma kobieta i zapytała:

- Rybki jeszcze zostały?

- Skończyły się - powiedziała Wiera Jakowlewna, zamykając wieczko paleskiej szkatułki. - Zamkniemy sklep? I tak chyba dzisiaj już handlu nie będzie.

- Powinnam do obwodu, do tamtejszego zarządu handlu napisać sprawozdanie - powiedziała Zinoczka. - Obawiam się, że nam ten towar omyłkowo przysłali.

- No to napiszesz w domu. Idziemy. Zinoczka posłuchała. Zdjęła z drzwi wywieszkę, zamknęła sklep, schowała utarg. Wiera Jakowlewna sięgnęła na półkę po jeszcze jedną paleską szkatułkę i przełożyła w nią rybkę dla Zinoczki. Potem obie sprzedawczynie wyszły tylnymi drzwiami.

- A ty przynajmniej pamiętasz kogoś z tych, kto kupował rybki? - spytała Wiera Jakowlewna.

- W ogóle niewiele pamiętam. No, najpierw, jeszcze przed tą całą historią, był Łożkin. I kółko młodych przyrodników ze szkoły średniej. Potem znów Łożkin. I Sawicz. I ten długi z miejskiego wydziału zdrowia... Potem Udałow z Grubinem wzięli po sztuce. A pozostałych chyba

nie dam rady sobie przypomnieć.

- Boję się - rzekła na to Wiera Jakowlewna. - Boję się, że już za późno się zastanawiać, bo rezultaty przemówią same za siebie.

- To znaczy niby jak?

- Jak sądzisz, jakie mogą być życzenia?

- Nie wiem. Różne. Noo, może o pieniądze poproszą...

- O pieniądze prosić nie wolno, chyba, że o niewielkie sumy - powiedziała z pudełka rybka. Mówiła głuchym głosem, który z trudem przebijał się przez łąkowe wieczko.

- Oj! - pisała Zinoczka. Sprzedawczynie doszły do zaułka, który jeszcze rankiem był wyboisty i zakurzony. Teraz uliczka pokryta była lśniącym, równym betonem. Beton zaścierał całą jej szerokość. Tylko na poboczach zamiast porannych rowów ciągnęły się estetyczne wstęgi chodników. Płoty wzdłuż jezdni błyszczały przyjemnym dla oka zielonym lakierem, a w przydomowych ogródkach kwitły wonne geranie.

- To nic szczególnego - powiedziała Wiera Jakowlewna, psychicznie przygotowana na wszelkie niespodzianki. - Pewnie ktoś z rady miejskiej kupił rybkę. Kupił i wykonał roczny plan porządkowania miasta.

- Co to będzie... - powiedziała Zinoczka, wchodząc ostrożnie na trotuar.

- Uważam - odparła Wiera Jakowlewna - krocząc środkiem betonowej jezdni - uważam, że powinnam dostać własne mieszkanie. Zresztą nie spiesz się, rybko, ja jeszcze pomyślę...

W domu Zinoczka wyjęła z szafki duży słoik. Wylała do niego rybkę ze szkatułki i zaniósła do kuchni, żeby dolać wody do pełna.

- Zaraz będziesz miała świeżą wodę - powiedziała. - Poczekaj chwilę.

Odkręciła kran i przezroczysta ciecz trysnęła do słoja.

- Stój! - krzyknęła rybka. - Czyś ty zwariowała?! Chcesz mnie zabić. Zakręć kran! Natychmiast mnie wyjmij! Oj, oj, oj!

Zinoczka przestraszyła się. Wyjęła rybkę i zacisnęła ją w rękę...

Po kuchni zaczął rozchodzić się mdlący odór wódki.

- Co to jest - zdziwiła się Zinoczka. - Co się stało?

- Wody! - wyszeptała rybka. - Wody... umieram...

Zinoczka zakręciła się na pięcie, chwyciła czajnik. Na szczęście była w nim woda. Rybka ożyła. Strumyk wódki nadal ciekł z kranu, wypełniając kuchnię odurzającym zapachem.

- Skąd się wzięła wódka? - zdumiała się Zinoczka.

- Nie domyślasz się? - powiedziała rybka. - Jakiś idiota chciał sprawdzić nasze możliwości i rozkazał, żeby zamiast wody w rurach ciekła wódka. Widać na młodą rybkę trafił, na

niedoświadczoną. Ja bym na jej miejscu odmówiła. Kategorycznie. To nie życzenie, tylko sabotaż i szkodnictwo.

- A gdzie jest teraz woda?

- Wydaje mi się, że wódka szybko się skończy. Ktoś inny każe spełnić przeciwstawne życzenie.

- A jeśli nie?

- Jeśli nie, musisz się przyzwyczaić. A w ogóle to skandal! Wódka trafiła do rur kanalizacyjnych, a stamtąd chyba do jezior i rzek, gdzie może wszystko wytruć. Wiesz co, Zinoczko, mam do ciebie osobistą prośbę. Każ zamienić wódkę w wodę. Zużyj jedno życzenie. My ci za to unikalne futro wymyślimy.

- Ja unikalnego nie potrzebuję - powiedziała Zinoczka. - Po co mi unikalne? Ja bym bardzo chciała kozuch. Bułgarski. Moja ciotka z Wołogdy taki ma.

- To znaczy, że zużywamy od razu dwa życzenia, tak?

- Zużywamy - powiedziała Zinoczka, trochę już żałując, iż zostało jej tylko jedno życzenie.

Kozuszek zmaterializował się na oparciu krzesła. Był zamiszowy, w jasnobrazowym, delikatnym, ciepłym kolorze. Zdobiał go biały, futrzany kołnierzyk.

- Wybacz, ale podbiłam go norką - powiedziała rybka. - Miło jest usłużyć porządnemu człowiekowi. Trzecie życzenie teraz będziemy robić, czy poczekamy?

- Można trochę poczekać? - poprosiła Zinoczka. - Pomyślę.

- A myśl sobie, myśl. Zjedz coś. I mnie okruszynek nasyp. Bądź co bądź ja też jestem żywe stworzenie.

- Wybaczcie! - powiedziała Zinoczka. - Całkiem zapomniałam.

...Udałow wszedł do domu razem z Łożkinem. Grubin zatrzymał się na podwórku, aby wymienić wrażenia z przyjaciółmi. Udałow wchodził po schodach razem z sąsiadem i obaj mieli do siebie pretensje. Udałow wyrzucał Łożkinowi:

- Chcieliście wszystko załatwić w sekrecie? Wszystko dla siebie?

Łożkin nie odpowiadał.

- Żeby, znaczy, całe miasto było jak dawniej, a żebyście tylko wy jedni żyli jak milioner Rockefeller? Wstyd! Po prostu okropny wstyd!

- A twoja żona szpiegowała - powiedział Łożkin ostrym tonem i wślizgnął się w drzwi, za którymi już stała jego małżonka z uchem przyłożonym do dziurki od klucza.

Udałow chciał odpowiedzieć coś obraźliwego, ale nie zdążył, bo i jego żona wybiegła z pokoju. wyrwała mu z rąk słoik i powiedziała z zawodem w głosie:

- Dlaczego tylko jedna? Przecież dałam pieniądze na dwie.

- Drugą wziął Grubin - odparł Udałow. - My z nim razem poszliśmy do sklepu.
- Mógł sam sobie kupić - obraziła się Ksenia. - Przecież masz dzieci. A on kawaler.
- Dobra już, dobra - powiedział Udałow. - Trzech życzeń ci za mało?
- Byłoby sześć. Łożkinowie mają sześć.
- Nie denerwujcie się, obywatelko - powiedziała złota rybka. - Więcej niż trzy życzenia i

tak nie wolno.

- Na osobę?
- Na osobę, na rodzinę albo na kolektyw. Wszystko jedno.
- To znaczy, że Łożkin na próżno po drugą rybkę latał? Na próżno chciał dziesięć kupić?
- Na próżno - odparła rybka. - Czy nie moglibyście pospieszyć się z życzeniami?

Spełniłabym i popłynęła sobie.

- Nie pali się - powiedziała Ksenia zdecydowanym tonem. - A ty, Korneliuszu, idź, umyj ręce i siadaj do stołu. Wszystko ostygło.

Korneliusz posłuchał, chociaż obawiał się, że żona pod jego nieobecność zajądła różnych głupstw.

Przy umywalce czekała na Udałowa przyjemna niespodzianka. Ktoś domyślił się, żeby zamienić wodociągową wodę na wódkę. Korneliusz nie podnosił szumu. Umył się wódką, chociaż szczypała go trochę w oczy. Potem napił się z podstawionej garści, niczym nie zakąsił i nalał sobie jeszcze na zapas cały pięciolitrowy garnek.

- Gdzie cię nosiło? - krzyknęła niecierpliwie żona z pokoju.
- Zaraz - powiedział Udałow, któremu język trochę się już plątał.

Do kuchni przyszedł Łożkin z ręcznikiem przerzuconym przez ramię. Patrzył spode łba. Pociągnął nosem i łypnął okiem na gar z wódką. Udałow przycisnął garnek do brzucha i szybko wszedł do swojego pokoju.

- Masz - powiedział do żony. - Szukuj zakąskę. Nie moje życzenie, cudze.

Ksenia od razu zrozumiała, rozlała wódkę do pustych butli i zakorkowała.

- Jaki człowiek! Jaka państwowa głowa! - chwalił Udałow nieznanego dobroczyńcę. - Nie taki, żeby tylko dla siebie coś zamówić. Nie, całemu miastu radość sprawił. Ale Łożkin się zdziwił. Na mnie pomyśli!

- A może to on sam?!
- Nigdy. To egoista!
- A jeśli on na ciebie pomyśli i powie, gdzie trzeba, że zatruwasz wodę w mieście, po główce cię nie pogładzą.
- Niech spróbują dowieść! To przecież nie ja, tylko złota rybka. Z podwórza huknęła pieśń.

- Patrzaj - powiedział Udałow. - Słyszysz? Naród już korzysta.

A Łożkin tymczasem zaczął się myć wódką. Zdziwił się, parsknął, potem zorientował się w sytuacji i poleciał spytać o radę żonę, a kiedy stara Łożkina przysłała z naczyniem, zamiast wódki ciekła już woda, wynik realizacji Zinoczkińskiego życzenia. Starucha skłęła Łożkina za powolność i już mniej więcej spokojnie zaczęli zastanawiać się, w jaki sposób zużyć pięć życzeń, dwa należne od pierwszej rybki i trzy od drugiej.

Grubin swoje podstawowe życzenie spełnił od razu na podwórku.

- Ja - powiedział w obecności mnóstwa świadków - chciałbym, złota rybko, otrzymać brazylijską papugę arę, która może nauczyć się ludzkiej mowy.

- To nic trudnego - odparła rybka - ja sama przecież potrafię mówić po ludzku.

- Zgoda - powiedział Grubin, postawił słoik z rybką na ławce, wyjął z kieszeni grzebień i w oczekiwaniu na uroczysty moment przecesał gęste, rozwichrzone kosmyki.

- Chwileczkę - powiedziała złota rybka. - Z Brazylii droga daleka... Trzy, cztery, pięć.

Wspaniała, ogromna, wielobarwna, dumna papuga ara siedziała na gałęzi drzewa tuż nad Grubinem i przechyliwszy głowę na bok patrzyła na stojących pod drzewem ludzi.

Grubin zadarł głowę i powiedział:

- Cip, cip! Chodź tutaj, drogi ptaku. Papuga zastanawiała się, czy warto zeskoczyć na wyciągniętą dłoń Grubina, gdy akurat weszli na podwórko śpiewający głośno radosną pieśń Pogosjan z Kacem, również posiadacze złotych rybek. Jak się później okazało, to właśnie oni, niezależnie jeden od drugiego, przekształcili wodę w wódkę. Teraz, zadowoleni z wyników doświadczenia i ze zbieżności swoich życzeń, szli ku sąsiadom, aby obwieścić im początek nowej ery.

- Carramba! - powiedziała papuga, ciężko zeskoczyła z gałęzi drzewa i wleciała ponad dachy. Tam zatoczyła koło, strasząc wrony i połyskując tęczowymi skrzydłami.

- Carramba - krzyknęła ponownie i wzięła kurs na zachód, ku brzegom ojczystej Brazylii.

- Zawróć ją! - krzyknął Grubin. - Zawróć ją natychmiast!

- To twoje drugie życzenie? - zapytała podstępnie rybka.

- Pierwsze! Przecież go nie spełniłaś!

- Zamawialiście papugę, towarzyszu Grubin?

- Zamawiałem. A gdzie ona jest, złota rybko?

- Odleciała.

- Przecież mówię.

- Ale była.

- I odleciała. Dlaczego nie w klatce?

- Dlatego, że wy, towarzyszu Grubin, klatki nie zamawialiście.

Grubin zamyślił się. Był człowiekiem w zasadzie sprawiedliwym i przyznał rybce rację. Klatki istotnie nie zamawiał.

- W porządku - powiedział. - Niechaj będzie papuga ara w klatce.

W ten sposób Grubin zużył swoje drugie życzenie i dlatego wzięwszy klatkę z arą w jedną rękę, zaś słoik z rybką w drugą, poszedł do domu. Wtedy to na podwórko wszedł inwalida Eryk.

Eryk obszedł już pół miasta. Szukał rybki dla Zinoczki, nie mając pojęcia, że dziewczyna otrzymała ją w podarunku od Wiery Jakowlewny.

- Dzień dobry - powiedział. - Czy ktoś ma może przypadkiem zbędną złotą rybkę?

Grubin zgarbił się i wolniutko ruszył ze swoim bagażem w kierunku drzwi domu. Zostało mu tylko jedno życzenie, ale za to mnóstwo potrzeb. Pogosjan pomógł Kacowi zawrócić w stronę drzwi. Ich rybki też już były częściowo wykorzystane. Okna w pokojach Udałowa i Łożkina zatrasnęły się.

- Ja nie dla siebie! - krzyknął Eryk w pustkę.

Nikt mu nie odpowiedział. Eryk poprawił pusty rękaw i kulejąc powłókł się z podwórka na ulicę.

- Musimy starannie przemyśleć, o co będziemy prosić - mówiła w tym czasie do męża Ksenia Udałowa.

- Ja chcę rower - powiedział ich syn Maksymek.

- Milczeć! - parsknęła Ksenia. - Idź się bawić. Bez ciebie wymyślimy, o co prosić.

- Moglibyście się pospieszyć - powiedziała złota rybka. - Przed wieczorem chciałybyśmy już być w rzece. Zanim nadejdą mrozy, musimy dotrzeć do Morza Sargassowego.

- Kto by pomyślał! - powiedział Udało

- Też ich do kraju ciągnie.

- Złożyć ikrę - wytłumaczyła rybka.

- Ja chcę rower - krzyknął z podwórka Maksymek.

- Moglibyście zrobić chłopakowi przyjemność, naprawdę chce mieć rower - powiedziała rybka.

- A może jednak? - powiedział Udałow.

- Ja już nie mogę - oburzyła się Ksenia. - Wszyscy podpowiadają, wszyscy przeszkadzają, wszyscy czegoś żądają.

Grubin postawił klatkę z papugą na stole i zaczął zachwycać się ptakiem.

- Ty cudo moje - powiedział pieszczotliwie.

Papuga nie odpowiedziała.

- To znaczy, że ona nie umie, czy co? - zapytał Grubin.

- Nie umie - odparła rybka.

- Dlaczegoż to? Przecież tak jakby dopiero co mówiła "carramba".

- To była inna, oswojona, z zamożnej brazylijskiej rodziny. A drugą trzeba było dziką łowić.

- I co teraz robić?

- Jak chcesz trzecie życzenie, to je wypowiedz. Ja ją w jednej chwili nauczę.

- Tak? - Grubin zastanawiał się przez chwilę. - Nie, już sam ją nauczę.

- Może masz rację - zgodziła się rybka. - Co więc będziemy dalej robić? Chcesz może mikroskop elektronowy?

...Mocą swojego pierwszego życzenia członkowie kółka biologicznego szkoły średniej numer jeden - kolektywny posiadacz jednej z rybek - stworzyli na tylnym dziedzińcu szkoły zwierzyńiec z tygrysiątkami, morskimi i z mnóstwem królików. Drugim życzeniem osiągnęli to, że im przez cały tydzień nie będą zadawać lekcji do domu. Z trzecim życzeniem był kłopot, dyskusje i wielki krzyk. Dyskusja przeciągnęła się niemal do wieczora.

Prowizor Sawicz przez całą drogę do domu przebierał w myślach mnóstwo wariantów. Przy samej bramie dopadł go nieznajomy mężczyzna w ogromnej cyklistówce.

- Słuchaj - powiedział mężczyzna. - Chcesz dziesięć tysięcy?

- Za co? - spytał Sawicz.

- Dziesięć tysięcy daję - rybka moja, pieniądze twoje. Dla mnie, rozumiesz, zabrakło. Na bazarze stałem, owoc sprzedawałem, spóźniłem się, rozumiesz.

- A po co wam rybka? - spytał prowizor.

- Nie twoja sprawa! Chcesz forszę? Jeszcze dziś, przekazem telegraficznym?

- No to wytłumaczcie mi wreszcie - powtórzył Sawicz - po co wam rybka? Przecież ja też chyba z jej pomocą mogę zdobyć dużo pieniędzy.

- Nie - powiedział mężczyzna w cyklistówce. - Rybka dużo pieniędzy nie może.

- On ma rację - powiedziała rybka - ja nie mogę zrobić dużej ilości pieniędzy.

- Piętnaście tysięcy - powiedział mężczyzna w cyklistówce i wyciągnął rękę po słoik z rybką. - Więcej nikt nie da.

- Nie - powiedział twardo Sawicz.

Mężczyzna szedł za nim, wyciągał rękę i dorzucał po tysiącu. Kiedy doszedł do dwudziestu, Sawicz ostatecznie się rozeźlił.

- To skandal! - powiedział. - Idę sobie do domu, nikomu nie wchodzę w drogę, a tu jacyś zaczepiają, proponują podejrzaną transakcję. Rybka przecież kosztuje dwa ruble i czterdzieści

kopiejek.

- Mogę ci dać i dwa ruble - ucieszył się mężczyzna w cyklistowce. - I jeszcze dwadzieścia tysięcy dołożę. Dwadzieścia jeden!

- No to powiedzcie, po co wam? Mężczyzna w cyklistowce zbliżył wargi do ucha Sawicza i powiedział: - Samochód "Wołga" będę kupował.

- No to kupujcie, skoro macie tyle pieniędzy.

- Lewe dochody - przyznał się mężczyzna w cyklistowce. - A jak przyjdzie inspektor finansowy, to mu rybkę pokażę - proszę bardzo. Wy mi tylko wystawcie kwit, dowód wpłaty na dwa ruble czterdzieści.

- Proszę natychmiast odejść! - oburzył się Sawicz. - Jesteście oszustem!

- Dlaczego tak ostro? Dwadzieścia trzy tysiące daję. Niezły pieniądz. Z torbami pójdę.

- Odpędź go - powiedziała rybka. - On mi się też nie podoba.

- No i widzicie - powiedział Sawicz.

- Dwadzieścia cztery tysiące!

- Już wiem - powiedział Sawicz. - Żeby ten człowiek niezwłocznie wyniósł się do domu. Żeby zniknął bez śladu. Ja już dłużej nie wytrzymam!

- Wykonać? - spytała rybka.

- Niezwłocznie!

I mężczyzna zakołował w trąbie powietrznej, a następnie zniknął. Tylko cyklistówka została na jezdni.

- Dziękuję - powiedział Sawicz do rybki. - Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo mi dokuczył. Chodźmy teraz do domu, gdzie godnie spożytkujemy pozostałe życzenia.

Tego dnia w mieście wydarzyło się jeszcze wiele cudów. Niektóre z nich pozostały własnością osób prywatnych i ich rodzin, o niektórych zaś dowiedział się cały Wielki Guslar. Do tej drugiej kategorii zaliczyć należy dziecięcy ogród zoologiczny, który do tej pory stanowi jedną z największych osobliwości miasta, i historię z wódką cieknącą z kranów, i wybrukowany zaułek, i pojawienie się w domu towarowym wielkiej ilości francuskich perfum, zagadkowe i niewytłumaczalne, i ciężarówkę borowików dostrzeżoną przez wielu przed domem Sieńkinów, i nawet pypeć na języku pewnej kłótlivej osoby. Wreszcie trzy wesela niespodziewane dla otoczenia i wiele, wiele innych...

Pod wieczór, gdy zbliżał się termin odniesienia rybek do rzeki, większość życzeń została już wyczerpana.

Ulicą Puszkina w kierunku nabrzeża walił tłum. Tworzyli go zarówno posiadacze rybek, jak zwyczajni gapie.

Szli Udałowie całą rodziną. Przodem Maksymek na rowerze, a za nim reszta rodziny. Ksenia ścisnęła w rękę szmatkę, którą jeszcze przed chwilą ścierała kurz z nowego fortepianu marki "Becker".

Szedł Grubin. Niósł nie tylko słoik z rybką, lecz także klatkę z papugą. Chciał, aby wszyscy widzieli, że jego marzenie wreszcie się spełniło.

Szli Łożkinowie. Stary miał na sobie nowy garnitur z szewiotu i jeszcze osiem niezłych garniturów zostało mu w szafie.

Szli, obejmując się, Pogosjan z Kacem. Nieśli we dwóch flaszkę. Żeby nie zostawiać na jutro. Szła Zinoczka. Szedł Sawicz. Szli wszyscy pozostali. Zatrzymali się na brzegu.

- Chwileczkę - powiedziała jedna ze złotych rybek. - Jesteśmy wam bardzo wdzięczne, obywatele tego wspaniałego miasta. Wasze życzenia, chociaż często wygłaszane nazbyt może pośpiesznie, uradowały nas swą różnorodnością.

- Nie wszystkie - zaproponowały rybki ze słoika Pogosjana-Kaca.

- Nie wszystkie - zgodziła się rybka. - Jutro wielu z was zacznie trapić wątpliwość. Wielu z was będzie sobie wyrzucać, że nie zażądało złotych pałaców. Nie trzeba. Mówimy wam: jutro nikt z was nie będzie czuł się rozczarowany. Tak chcemy i jest to nasze kolektywne, rybnie życzenie. Rozumiecie?

- Rozumiemy - odparli mieszkańcy miasta.

- Durnie - powiedziała papuga ara, która; jak się okazało, miała zdolności językowe i już nauczyła się kilku słów.

- Teraz można już nas wypuszczać do wody - powiedziała rybka.

- Stójcie! - rozległ się krzyk z góry.

Wszyscy obrócili się w stronę miasta i zdrętwieli z przerażenia. Nic dziwnego, gdyż widok, jaki ukazał się ich oczom, był niezwykle i tragiczny.

Ku brzegowi biegł człowiek z dziesięcioma nogami i mnóstwem rąk i machał wszystkimi tymi rękoma jednocześnie.

Kiedy człowiek podbiegł bliżej, wszyscy poznali go.

- Eryk! - powiedział ktoś.

- Eryk - powtórzyli ludzie, rozstępując się na boki.

- Co się ze mną stało? - krzyczał Eryk. - Co się ze mną stało? Czyja to wina? Po co to?

Twarz miał czystą, bez śladów oparzenia, włosy rozwiane.

- Ja po mieście biegałem, prosiłem o rybkę - ciągnął straszliwy Eryk, gestykulując dwudziestoma rękami, z których jedna była z lewej, a pozostałe z prawej. - Położyłem się odpocząć, zdrzemnąłem się, a po przebudzeniu byłem już taki.

- Oj - powiedziała Zinoczka. - To ja jestem wszystkiemu winna. Co ja narobiłam! Ale chciałam, żeby było jak najlepiej. Prosiłam, żeby Eryk miał nową rękę, nową nogę i zdrową twarz. Chciałam jak najlepiej, bo mi życzenie zostało.

- I ja - powiedział Grubin.

- I ja - powiedział Sawicz.

Łącznie przyznało się do tego osiemnastu ludzi.

Ktoś nerwowo zachichotał w ciszy, która zapadła nad tłumem.

Sawicz zapytał swoją rybkę:

- Nie możecie nam pomóc?

- Niestety nie - odparła rybka. - Wszystkie życzenia zostały zużyte... Trzeba będzie zawieźć go do Moskwy, żeby mu tam zbędne kończyny obcięli.

- Taak, ładna historia - powiedział Grubin. - W ogóle, jak trzeba, to zabierzcie sobie moją cholerną papugę.

- Dureń - powiedziała papuga.

- Nie pomoże - powiedziała rybka. - Nie mamy władzy odwracania życzeń.

Wtedy na scenie pojawili się, młodzi przyrodnicy ze szkoły średniej numer jeden.

- Kto potrzebuje dodatkowego życzenia? - zapytał jeden z nich. - My dwa zużyliśmy, a co do trzeciego nie mogliśmy się dogadać.

W tej chwili dzieci zobaczyły Eryka i przestraszyły się.

- Nie bójcie się, dzieci - powiedziała złota rybka. - Jeśli nie macie nic na przeciw, doprowadzimy do porządku strażaka Eryka.

- Nie mamy - powiedzieli młodzi przyrodnicy.

- A wy, mieszkańcy miasta?

- My też nie - odpowiedzieli rybkom ludzie.

I w tej samej chwili nastąpiło zmętnienie powietrza, a Eryk powrócił do swego naturalnego, zdrowego stanu. I okazał się, zresztą, całkiem przystojnym i sympatycznym chłopcem.

- Hop-la! - powiedziały chórem rybki, wyskoczyły ze słoików, akwariów i innych naczyń, aby złotymi błyskawicami wpaść do rzeki.

I znikły.

Bardzo spieszyły się do Morza Sargassowego składać ikrę.

Przełożył TADEUSZ GOSK

KONTAKTY OSOBISTE

Siedzieli na podwórku i grali w domino. Właśnie ustał obfity, letni deszcz. Było pogodnie i ciepło. Chmury, które wytrząsnęły już z siebie wodę, płynęły teraz nad miastem puszyste i spokojne, a kałuże szybko wysychały. Nadchodziła pora kolacji, gra się już wszystkim trochę znudziła i teraz każdy by sobie pogadał o różnych różnościach.

- Coś się dzisiaj zmęczyłem - powiedział Wasylj Wasiljewicz, łowiąc nosem skomplikowane aromaty, docierające do graczy z dwunastu kuchni domu.

- Gorąco było - zgodził się Walentin Kac, mieszając kamienie i zapytał kolegów: - Jeszcze jedną partyjkę?

W tej samej chwili na podwórko wszedł Korneliusz Udałow. Był spocony, blond włoski miał skołtunione, spodnie zabłocone, marynarkę zarzuconą na ramię, a w rękach trzymał upaprąną puszkę po białej farbie z pędzlem w środku.

- Patrzcie - powiedział Pogosjan. - Korneliusz został malarzem?!

- Baran - skwitował Udałow, zerknął na swoje okno, aby przekonać się, czy nie wygląda z niego żona Ksenia, postawił puszkę na ziemi i przysiadł na ławce.

- Historia mi się przydarzyła - powiedział. - Fantastyczna.

- Zawsze coś ci się przytrafia - mruknął Walentin. - Może jednak strzelimy partyjkę?

- Co za historia? - zapytał Pogosjan. Udałow, który wyraźnie chciał pogadać, natychmiast odpowiedział:

- Drogę na Griaznuchę znacie? Do sanatorium?

- No.

- To właśnie tam wszystko się stało. Nie było dzisiaj drogi.

- A niby gdzie się podziała?

- Nawet nie wiem, co na to odpowiedzieć - odrzekł Udałow. - Ludzkość jeszcze do tego nie dorosła.

- Ty, Korneliuszu, nie kręć - obraził się Wasylj Wasiljewicz. - Zawsze ci się jakieś historie przytrafiają i zawsze nadajesz im kosmiczne znaczenie.

- Właśnie kosmiczne. Ni mniej, ni więcej, tylko właśnie kosmiczne.

- Jasne - powiedział Grubin, który przez otwarte okno swojej izdebki doskonale słyszał całą rozmowę. Zajmował się akurat robotą nudną, chociaż twórczą. Rzeźbił mianowicie w ryżowym ziarenku "Słowo o pułku Igora". - Jasne, Amerykanie wieźli kamień z Księżyca, po drodze upuścili i trafili prosto w Korneliuszową drogę.

- Cynik z ciebie, Grubin - powiedział Korneliusz Udałow ze smutkiem w głosie.

Wszyscy dokładnie widzieli, że język go świerzbi, żeby opowiedzieć całą historię, ale na razie nie może się zdecydować. Na jego pulchnej twarzy pojawiły się kropelki potu.

- Cynik z ciebie, Grubin, ale najdziwniejsze, że prawie trafiłeś w sedno, chociaż nie potrafisz wyobrazić sobie całej ogromnej wagi takiego wydarzenia. Ja przecież dałem słowo, niemal zobowiązanie dochowania tajemnicy.

- No to dochowuj - powiedział Grubin.

- Toteż dochowam - powiedział Udałow.

- Potrzebne nam twoje historie - powiedział Grubin, który wbrew pozorom był najlepszym przyjacielem Udałowa, o czym wszyscy wiedzieli.

- No więc, co ci się na tej drodze przytrafiło? - zapytał Wala Kac. - Opowiadaj szybciej, bo żona zaraz mnie zawoła na kolację.

- Nie uwierzycie - powiedział Udałow.

- Nie uwierzymy - zgodził się Grubin z okna.

Ale Udałow już się zdecydował opowiedzieć i nie słuchał grubińskich słów. Oczy mu zmętniały i nabrały wyrazu obcości, z jakim w dawnych czasach bazarze przystępowali do strojenia gęśli i zwracali twarz ku kniaziewi, aby snuć długą, pasjonującą opowieść, prawdopodobną dla słuchaczy i całkowicie łągarską dla ich potomków.

- Dzisiaj do Griaznuchy poszedłem na piechotę - rozpoczął Udałow. - Do mleczarni autobusem, a dalej piechotą. Za miesiąc będziemy musieli zmienić dach na sanatorium. No to poszedłem zobaczyć.

- A co z twoim służbowym samochodem? - zapytał Grubin.

- Samochód pojechał do Połmy po generator. Samochód mamy jeden dla wszystkich. A ja udałem się do sanatorium. Po co niby mam się spieszyć, pytam? Dokąd mam się spieszyć, jeśli droga wiedzie przez las, miejscami nad samym brzegiem rzeki, ptaki śpiewają, dookoła żadnego ruchu i nawet urlopowiczów nie widać.

- A to prawda, że sanatorium zamknęli? - zapytał Wasilij Wasiljewicz?

- Tymczasowo - odparł Udałow. - Na razie borowina się skończyła. Będziemy pewnie narzan przywozić. Ale to się jeszcze zobaczy. Właśnie wtedy ich spotkałem.

- Urlopowiczów?

- Jakich urlopowiczów? Ludzi w "Moskwiczu". Całą rodzinę. Pewnie turyści. Na dachu mieli namiot, materace, a nawet dziecienny wózek. Dlatego się z nimi nie zabrałem, że było ich w wozie pięcioro.

- Po co niby miałeś się z nimi zabierać?

- Jak to po co? Żeby do sanatorium podrzucili.

- Przecież oni jechali z przeciwka.

- Nie, Walentin, wszystko pomyliłeś. Najpierw oni mnie wyprzedzili. I ja się z nimi nie zabrałem. Albo mi to pilno? A potem oni zawrócili. Ten, który siedział za kierownicą, był blady jak śmierć, dzieci płaczą, rwetes, krzyk. Kierowca wysunął się przez okno i macha do mnie ręką, żebym zawracał. Ale, myślę sobie, dziwak. Nie wiedziałem jeszcze, co mnie czeka za zakrętem.

- Za zakrętem na Korneliusza czekał zimny trup - powiedział Grubin.

- Nie przerywaj! - oburzył się Pogosjan. - Słyszysz, że człowiek opowiada, a ty mu przerywasz.

- Za zakrętem czekał na mnie znak. "Uwaga - roboty drogowe!" Znacie taki znak? Trójkąt, a w jego środku człowiek z łopata. Zdziwiłem się, co to za roboty drogowe bez mojej wiedzy? Nasze miasto jest niewielkie i nie może być takich robót. I jeszcze to mnie zdziwiło, że znak był jakiś dziwny. Źle wykonany z punktu widzenia estetyki i sztuki malarskiej. Robotnik miał trzy nogi i bardzo niechlujny wygląd.

- A kto u nas znaki robi?

- Znaki nam przysyłają z Wołogdy. Znaki to sprawa milicji. Ale nie o to chodzi. Nie chodzi o to czy znak dobry, czy zły, ale o to, że trzy nogi.

- Chuligaństwo - powiedziała stara Łożkina, która już nakarmiła swojego męża i teraz wcisnęła się w szparę między akwariem a klatkę z kanarkiem, żeby posłuchać ciekawej historii.

- Ja też tak pomyślałem - zgodził się Udałow. - A jeszcze zaniepokoiili mnie ludzie z "Moskwicza". Czego się tak zlekli?

- Chuligaństwo. Jasna sprawa, chuligaństwo - powtórzyła stara Łożkina.

- No więc stoi zakopany w ziemię nie znany mi znak, a zza zakrętu dobiega dźwięk metalu i hałas charakterystyczny dla robót budowlanych. Robię jeszcze dziesięć kroków i to, muszę się przyznać, robię je z całą ostrożnością. Widzę: w poprzek drogi zaporą, szlaban innymi słowy. A na nim czarny napis: "Przejazd wzbroniony". A tuż za szlabanem akurat zawraca bardzo dziwny spychacz, na którym siedzi, pewnie mi nie uwierzycie, obcoplanetny przybysz z kosmosu, który ma cztery ręce i troje oczu.

- Ale zalewa - powiedział Pogosjan, który nie uwierzył ani jednemu słowu.

- Walentin, kolacja stygnie! - krzyknęła przez okno żona Kaca.

- Poczekaj - powiedział Kac. - Dosłucham i przyjdę.

- Popatrzcie tylko, co się dzieje - krzyknęła żona Kaca do starej Łożkiny - Walentin nie leci, kiedy go wołam na kolację!

- Na głowie miał przezroczysty hełm. Jak kosmonauci - kontynuował Udałow, przymykając

oczy, aby wyraźniej przywołać ten widok. - Z hełmu sterczały mu jakieś druciki, a ubrany był w pomarańczowy kombinezon. Zobaczył mnie, ale udał, że nie dostrzega, zgasił silnik, zeskokczył na ziemię i widzę ci ja, że ma minimum trzy nogi, i co charakterystyczne, każdą w innym bucie. Przywitałem się, gdyż byłem w stanie silnego szoku, a on mi na to też mówi: "Dzień dobry".

- Ale zalewa! - powiedział Pogosjan. - "Dzień dobry", znaczy, powiedział w swoim międzyplanetarnym języku, a Korneliusz, rzecz jasna, włada nim od dzieciństwa, tak?

- Od dzieciństwa - zgodził się Grubin, który już dawno odłożył swoją robotę i nie przepuścił ani jednego słowa.

- On po rosyjsku się do mnie odezwał - zaproponował Udałow. - Wtedy ja go z całą szczerością i odpowiedzialnością zapytałem: "A kto dał zlecenie na wykonanie roboty?" - Naturalnie - powiedział Grubin. - Widzimy człowieka na trzech nogach, gościa z dalekich gwiazdnych światów i zamiast "Serdecznie witamy" od razu z pyskiem: "Kto pozwolił?" - Przestraszyłem się - powiedział Udałow. - W przeciwnym razie zwróciłbym się do niego jak należy. Ale z przestachu wziąłem byka za rogi.

- To on miał rogi? - zdziwiła się stara Łożkina.

- On to w przenośni powiedział - wyjaśnił Wasilij Wasiljewicz.

- Idę - powiedział Pogosjan. - Idę, bo Udałow zamiast kolacją bajkami mnie tu karmi.

Ale Pogosjan nigdzie nie poszedł. Bardzo chciał, żeby go zatrzymywali, mówili, że to wszystko żarty, ale nikt nie zatrzymywał i niczego takiego nie mówił. Wszyscy wiedzieli, że wprawdzie Udałow ma bujną wyobraźnię i jest człowiekiem nerwowym, ale brzydzi się kłamstwem, a w dodatku Ksenia, jego małżonka, za mijanie się z prawdą urwałaby mu głowę.

- Ja go pytam - kontynuował tymczasem Udałow - a on wymachuje swoimi łapkami i powiada: "Skandal, bałagan kosmiczny".

- A duzi są ci przybysze? - zapytał Wasilij Wasiljewicz.

- Nie, nie bardzo, wzrostu dziesięciolatka - odparł Udałow.

- Tak też myślałem - powiedział Wasilij Wasiljewicz. - Gdzie niby mieli urosnąć?

- Chciałem przejść pod szlabanem, a on mnie z początku nie puszczał, napis pokazywał i mamrotał, że przejście wzbronione. Ja mu na to, że jestem kierownikiem komunalnego przedsiębiorstwa budowlanego miasta Wielki Guslar, na przedmieściach którego on prowadzi nieznane mi prace remontowe.

- I nie przestraszyłeś się?

- Przestraszyłem się później - wyznał Udałow. - Aż początku wzięło górę oburzenie. Jeździ tu jeden z drugim spychaczem, nie puszcza, ludzi straszy, a co najważniejsze, spychacz ma obcej marki. Wówczas ten przybysz trochę spuścił z tonu i mówi do mnie: "Bardzo przepraszam, czy nie

bylibyście tak uprzejmi pójść ze mną, porozmawiać z naszym zwierzchnictwem?" Żona Kaca wychyliła się przez okno aż do pasa i omal nie wypadła na podwórze.

- I ty poszedłeś?

- A niby dlaczego nie? Poszedłem. Przelazłem pod szlabanem i ruszyłem do zakrętu, tam, za wzgórkim, ujrzałem zadziwiający widok. Dopiero wówczas wszystko rozumiałem. Droga na odcinku co najmniej trzydziestu metrów była całkowicie zniszczona, jakby kto w nią rąbnął ogromnym młotem albo spuścił z góry lawinę. Ale ja od razu rozumiałem, o co chodzi, bo trochę dalej na zboczu leżał, przechylony na bok, ich latający talerzyk.

- A jakie miał znaki rozpoznawcze? - zapytał podejrzliwie Pogosjan.

- Aparat nie miał żadnych znaków rozpoznawczych - odparł Udałow. - Im to nie jest potrzebne. Leżał więc sobie ten talerzyk, a wokół niego kłębił się tłum przybyszów. Jedni statek naprawiają, inni krzątają się na drodze. Sprzęt, urządzenia mechaniczne, maszyny drogowe - aż dziw bierze, ile tego wszystkiego może się pomieścić w niewielkim talerzyku.

Grubin wyszedł przez okno nogami naprzód i zbliżył się do stołu.

- Ja ich pytam: "Przymusowe lądowanie?" Na to z tłumu wychodzi do mnie jeden, też na trzech nogach, i powiada: "Skandaliczne lądowanie. Chuligańskie lądowanie. Powiem uczciwie, że udzieliłem nawigatorowi dwóch surowych nagan, w tym jednej z ostrzeżeniem". Ja na to: "Czemu tak ostro?" A on mi na to odpowiada...

Przy tych słowach Udałow przerwał opowieść, bowiem poczuł, niczym Szeherazada, że słuchacze są pod całkowitym urokiem jego historii. Obrócił się w stronę swojego okna i zapytał surowo:

- Ksenia, kiedy kolacja?

Ksenia nie odpowiedziała.

- Zdasz jeszcze zjeść kolację - powiedział Kac. - Najpierw dokończ swoją bajkę.

- Dla kogo bajka, dla kogo prawda - powiedział Udałow. Nikt się nie roześmiał.

- Dawaj dalej - powiedział Wasilij Wasiljewicz. - Robi się chłodno.

- No więc pytam - ciągnął Udałow zapalając papierosa - "Dlaczego tak ostro?" A główny przybysz odpowiada: "A co mam robić? Postawcie się - powiada - na nasze miejsce. Przylatujemy na obcą planetę. Mamy - powiada - kategoryczne polecenie unikania kontaktów i ograniczenia się jedynie do obserwacji wizualnej. Tubylcze - powiada - cywilizacje, powinny rozwijać się wedle własnych praw".

- Jakie niby tubylcze cywilizacje? - zapytał Pogosjan.

- My - odparł Grubin za Udałowa.

- My nie jesteśmy cywilizacją tubylczą - oburzył się Pogosjan. - To obraźliwe słowo!

Wychodzi, że na golasa biegamy, tak? Na golasa?!

- Nie obrażaj się - powiedział Grubin. A Udałow tymczasem kontynuował:

- "Wybieramy - powiada mi główny przy-przybysz - spokojne miejsce pod niewielkim miasteczkiem..." - Jakie niewielkie miasteczko? - zapytał Pogosjan. - Wielki Guslar to niewielkie miasteczko, tak?

- "Wybieramy niewielkie, spokojne miasteczko, chcemy wylądować w pobliżu, żeby zebrać próbki flory i zrobić rozmaite zdjęcia. A tu nagle z winy tego niedouczzonego nawigatora następuje katastrofa!" - I słusznie - powiedziała stara Łóżkina. - Słusznie, że udzielił nawigatorowi surowej nagany z ostrzeżeniem. Jeśli wypuścili cię w kosmos, to pracuj, a nie dłub w nosie.

- Może on zobaczył z góry, jaka piękna jest nasza Ziemia w okolicach Wielkiego Guslaru - powiedziała żona Kaca - i ręka mu drgnęła?

- A te ich nagany bywają z zawieszeniem czy bez? - zapytał Wasilij Wasiljewicz.

- Nie wiem, nie pytałem - powiedział Udałow. - Jeśli kogoś nie interesuje, to niech sobie idzie do domu i nie przeszkadza. Dyskutuje tu jeden z drugim!

Udałow, znajdując się w centrum uwagi, wyraźnie zbeczelniał i w jego głosie dawały się teraz wyczuć metaliczne nuty. Słuchacze zamilkli.

- Wokół nas krzątają się roboty, jeżdżą maszyny, kosmonauci się śpieszą, żeby naprawić szkodę, zanim ich hańba dotrze do wiadomości publicznej mieszkańców Ziemi. Dowódca kiwa hełmem, wzdycha po swojemu i mówi dalej: "A jak się będziemy czuli, kiedy galaktyka dowie się, że nasz statek zniszczył drogę na Ziemi w okolicach Wielkiego Guslaru? A możecie sobie wyobrazić, jak się będą z nas śmiać bezczelne Akaryle z planety Cuk? Jak obrzydliwe Tumsy będą miauczeć w ataku ironii? Jak będą kręcić wszystkimi swoimi głowami mądrzy Ikikowie? Wstyd na cały kosmos..." - Nie, oni pewnie nie zawieszają swoich surowych nagan - powiedział Wasilij Wasiljewicz.

- I jakżeś ty, Korneliuszu, potrafił zapamiętać te wszystkie nazwy? - zapytał Grubin.

- Oni wiedzieli, z kim się na Ziemi spotykać - odpowiedział z godnością Udałow. - "Proszę sobie wyobrazić mój stan" - powiada ten przybysz, a ja, rzecz jasna, wyrażam mu swoje współczucie. Wtedy do nas podchodzi jeszcze jeden w pasiastym kombinezonie, czarniawy i zezowaty w trzy strony. Zaczyna tam coś po swojemu gadać. Ja na razie rozglądam się na boki i dochodzę do wniosku, że remont talerzyka i naprawa drogi zajmie im cały dzień, a może jeszcze i kawałek nocy. Nawet z ich sprzętem. "Nie wiem, czy się nie mylę - główny przybysz przechodzi tymczasem na rosyjski. - Mam jednak nadzieję, że dobry los zesłał nam rozumnego i dobrego tubylca".

- Powiedział: tubylca? - zapytał Pogosjan.

- Tak właśnie powiedział.

- Ja bym mu odpowiedział - warknął Pogosjan. - Dałbym mu za swoje. Przecież nie byłeś na golasa!

- Nie na golasa, tylko w marynarce - rzekł Udałow. - Ale ja o tym nie myślałem. Oai ze mną rozmawiali jak z bratem w rozumie. Po co bez potrzeby komplikować stosunki międzyplanetarne?

- Słusznie - zgodził się Wasilij Wasiljewicz - inaczej oni by ci udzielili takiej nagany, że więcej byśmy cię nie zobaczyli.

- Oj - powiedziała żona Kaca. - Jakie niebezpieczeństwo!

- Żadnego niebezpieczeństwa - uspokoił ją Udałow. - Ja im od razu odpowiedziałem: Jeśli mają jakąś prośbę albo zlecenie, ludzie Ziemi i Wielkiego Guslaru w mojej osobie gotowi są natychmiast pośpieszyć z pomocą.

- Zuch! - powiedział Wasilij Wasiljewicz. - Po naszymu im odpowiedziałeś.

- I wtedy on mi powiada, że ma prośbę. Drogę to oni naprawią, że śladu nie będzie, talerzyk zabiera na orbitę wokółziemską. Ale nie mają białej farby.

- Czego?

- Białej farby. Olejnej. Słupki na poboczu drogi wszystkie powywracali, na prosek rozbili. A słupki powinny być pomalowane na biało w celu uniknięcia awarii pojazdów mechanicznych. No to mnie proszą: przynieś, drogi bracie w rozumie, przynieś nam puszkę farby. Po królewsku ci się odwdzięczymy. Odpowiadam im, że nie potrzebuję żadnej nagrody, że zawsze gotów jestem pomóc. Oni mi na to, że galaktyka nigdy nie zapomni o mojej skromnej przysłudze. Poleciałem więc z powrotem do miasta...

Słuchacze siedzieli z minutę w milczeniu, zastanawiając się, czy to już koniec opowieści, czy też Udałow będzie ją jeszcze kontynuował. Słońce stało już nisko nad rzeką, cienie wydłużyły się, chłodny wietrzyk powiał od strony lasu. Kacom przypaliła się kolacja, ale żona Wali wcale tego nie spostrzegła.

- To wszystko? - zapytał wreszcie Grubin.

- Prawie wszystko - odparł Udałow. Jego święto dobiegało końca. Kończyło się wraz z opowieścią. - Szukałem tej puszkę całą godzinę. Pędzła też. Mydlarnia zamknięta, magazynier naszej bazy poszedł na obiad i tak dalej. Potem jednak do nich pobiegłem, przecież nie można, ludziom robić zawodu. Przybiegłem, a znaku drogowego nie ma. I niczego nie ma. Ani talerzyka, ani maszyn, ani robotów. Pustka.

- A droga?

- Droga całkowicie naprawiona.

- Wtedy wróciłeś do domu?

- Nie - powiedział Udałow. - Najpierw spełniłem swoją obietnicę. Pomalowałem słupki.
- A one nie były pomalowane?
- Nie. Cztery słupki. Nowiutkie jak z igły, ale nie pomalowane. Koło jednego leżała kartka.

Pokazać?

- Oczywiście.
- Patrzcie.

Udałow wyjął z kieszeni złożoną na czworo kartkę papieru. Rozwinął, wygładził na stole i przeczytał na głos. Pozostali pochylili się nad stołem i czytali, powtarzając za nim słowo w słowo. Oto, co było napisane na kartce. Drukowanymi literami, czarnym atramentem.

“Z góry dziękujemy za pomoc. Słupki do waszych usług. Wasza pomoc nie będzie zapomniana. Prosimy więc nie rozgłaszać tego wydarzenia”.

- I bez podpisu - powiedział Pogosjan.

- I słusznie, że bez podpisu - powiedział Wasilij Wasiljewicz. - Ale ty, Udałow, zawiodłeś zaufanie i przy pierwszej okazji zarobisz poważne ostrzeżenie z daleko idącymi konsekwencjami.

- A to niby dlaczego?! - wykrzyknął Udałow.

- Prosili, żebyś milczał. A ty rozgadałeś. Wiesz, co za to dają?

- Nic podobnego! - powiedział Udałow obrażonym głosem. - Oni też nie są w porządku. Ja bym milczał, ale oni odlecieli i nie zostawili żadnych śladów. Może ja im chciałem jakieś pytania zadać? Może chciałem z nimi co do przyszłości się naradzić? Może oni z wdzięczności mogliby zamiast kartki chociaż jeden spychacz swojej marki naszemu przedsiębiorstwu zostawić? Źle mówię? Wszyscy zgodzili się, że mówi słusznie.

- Ja nawet o ich adres nie zapytałem, nie dowiedziałem się nawet, z jakiej planety przylecieli i co będą robić, kiedy agresorzy rozpętają na Ziemi wojnę jądrową. Czy tak postępują prawdziwi kosmonauci?

I wszyscy zgodzili się, że prawdziwi kosmonauci tak nie postępują. Potem znów przez chwilę milczeli, trawiając całe wydarzenie. Wreszcie Pogosjan zapytał:

- A dowody, Udałow, masz?

- Jakie niby dowody?

- Dowody na to, że dzisiaj rozmawiałeś z przybyszami.

- No, wiecie! - oburzył się Udałow. - No, wiecie! A ta puszka, która wam stoi przed oczami na środku podwórza? Puszka po farbie. Dzisiaj brałem ją na własny rachunek z magazynu. Po co mi biała farba? Po co mi, pytam, biała farba olejna? Przecież wiecie, że pełnię funkcję kierowniczą.

- Słusznie mówi - powiedział Wasilij Wasiljewicz. - Po co miał niby zalewać na temat farby?

- A zaraz jutro, w niedzielę - powiedział Udałow nerwowo - pójdziemy wszyscy razem na tę drogę. I wszyscy na własne oczy zobaczycie te świeżo pomalowane słupki. Takie gładkie i równiutkie słupki, że nasi cieśle za nic takich nie zrobią. Niczym importowane meble. I farba na nich jeszcze nie obeschła.

- Kor-ne-liusz! - krzyknęła z okna Ksenia Udałowa, która nie była poinformowana i dlatego nie odczuwała szacunku dla swego męża. - Zupę trzeci raz mam grzać?

- Idę, Ksiusza, idę - odparł Udałow. - Do jutra - powiedział do przyjaciół i sąsiadów.

- A niech mu tam - powiedział Wasilij Wasiljewicz. - Dlaczego człowiekowi nie wierzyć? Rzecz jasna, że mu uwierzymy.

I wszyscy uwierzyli i nie pojechali następnego dnia na tamtą drogę, chociaż Udałow usilnie ich do tego namawiał. Co za sens gapić się na słupki?

Teraz ludność Wielkiego Guslaru czeka na nowy przylot kosmonautów. Wszyscy sądzą, że ich lądowanie odbędzie się właśnie tam, gdyż pewne kontakty zostały już nawiązane. Kontakty osobiste. Niemal przyjaźń.

Przełożył TADEUSZ GOSK

DWIE KROPLE NA SZKLANKĘ WINA

Profesor Lew Chrystoforowicz Minc, który czasowo osiedlił się w mieście Wielki Guslar, za nic nie mógł się skupić. Już rano był o krok od wyprowadzenia formuły bezdrtowego przekazywania energii, ale też od samego rana przeszkadzano mu ten ostateczny krok uczynić.

Przeszkadzał Kola Gawriłow, który bez przerwy puszczał płytę z okropną muzyką. Przeszkadzali malarze, którzy odnawiali mieszkanie Łożkinów, ale szybko się zmęczyli i dla pokrzepienia co nieco wypili, a teraz śpiewali pieśni masowe pod samym oknem profesora. Przeszkadzali sąsiedzi, którzy siedzieli pod przekwitłym bzem i grali w domino, z wielkim hałasem uderzając kamieniami o rozklekotany stół.

- Ja już dłużej nie wytrzymam! - wykrzyknął profesor, kryjąc swą łysą, genialną głowę w wypielęgnowanych dłoniach.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła sąsiadka Gawriłowa, matka Mikołaja.

- Ja też już dłużej nie wytrzymam, Lwie Chrystoforowiczu! - wykrzyknęła przykładając dłoń do czoła.

- Co się stało? - zapytał profesor.

- Zamiast syna mam w domu śmierzącego lenia! - powiedziała biedna niewiasta. - Ja w jego latach ani chwili nie usiedziałam bez roboty. Ledwie mnie któreś z rodziców o coś poprosiło, a ja już w te pędy za robotę. Zresztą nawet nie trzeba było mnie prosić. Sama z siebie krowę wygnałam na pastwisko, przyprowadziłam ją do domu, wydoiłam, wieprzki oporządziłam, podwórko zamiotłam... Wszystko potrafiłam, na wszystko miałam czas.

Gawriłowa nieco koloryzowała - na wsi bywała tylko podczas wakacji i nikt jej tam do roboty nie pędził. Ale w trakcie rozmów z synem tak weszła w rolę pracowitej wiejskiej dziewczyny, że sama w nią uwierzyła.

- Mnie w dzieciństwie też nie rozpieszczali - poparł Gawriłowa Minc. - Mój tatuś był stroicielem fortepianów, a ja nosiłem mu ciężką walizę z narzędziami i czasami po kilka godzin wystawiałem na obcych, zimnych klatkach schodowych. Gdy tylko wracałem ze szkoły, natychmiast siadałem przy starym, podarowanym ojcu fortepianie i grałem gamy. Grałem bez żadnej zachęty ze strony rodziców.

Profesor również koloryzował, ale nieświadomie, gdyż on także wierzył w swoje słowa. Stroiciele nie miewają przecież ciężkich waliz, a jeżeli malutki Lowuszka uparł się iść z ojcem do klienta, rodzic nigdy nie powierzał mu swojego neseserka. Co się zaś tyczy ćwiczeń muzycznych, to Minc nienawidził ich z całej duszy i często podpilożywał struny, gdyż od najmłodszych lat miał

wielką smykałkę do techniki.

- Pomóżcie mi - powiedziała Gawriłowa. - To już ponad moje siły.

- Ale jak ja mogę pomóc? - odparł Minc nie podnosząc oczu. - Moje możliwości są ograniczone.

- Nie bądźcie tacy skromni - zaproponowała Gawriłowa. - Naród w was wierzy, Lwie Chrystoforowiczu.

- Dziękuję - odparł Minc i głęboko się zamyślił. Tak głęboko, że nawet nie zauważył, kiedy Gawriłowa opuściła pokój.

Nadeszła noc. We wszystkich oknach domu nr 16 pogasły światła, zasnęli gracze i śpiewacy. Jedynie w oknie profesora Minca światło paliło się nadal. Czasami wysoki, lecz brzuchaty cień uczonego pojawiał się w oświetlonych szybach. Czasami przez lufcik dobiegał na podwórze szelest i trzask rozcinanych kart - profesor wertował zagraniczne czasopisma, przeglądał monografie z nauk pokrewnych.

Profesor Minc różnił się od pozostałych uczonych nie tylko fenomenalną wręcz pamięcią, która chłonęła wszystko to, co kiedykolwiek mogło mu się przydać, lecz także zdumiewającą umiejętnością szybkiego czytania, znajomością dwudziestu czterech języków i zdolnością przyswajania sobie literatury fachowej z dowolnej dziedziny wiedzy, od filozofii i fizyki jądrowej poczynając a na introligatorstwie kończąc. I choć formalnie profesor Minc był organikiem, interesującym się szczególnie zastosowaniami rolniczymi chemii, w której to dziedzinie osiągnął największe sukcesy oraz przyniósł najwięcej pożytku i szkody, w rzeczywistości był prawdziwym encyklopedystą.

Późnym już rankiem profesor na dwadzieścia minut przymknął oczy. Kiedy bowiem czuł, że rozwiązanie zadania jest bliskie, natychmiast zamykał powieki, po czym zasypiał szybko i niewinnie, niczym dziecko, a czuwająca część jego mózgu znajdowała owo rozwiązanie.

O godzinie ósmej minut czterdzieści profesor Minc zbudził się i poszedł umyć zęby. Rozwiązanie było gotowe. Pozostawało jedynie utrwalić je na papierze, wcielić w związki chemiczne i przygotować krótki komunikat dla kolegów.

O godzinie dziesiątej minut trzydzieści zajrzała Gawriłowa. Minc powitał zmartwioną niewiastę znużonym uśmiechem zwycięzcy.

- Proszę usiąść - powiedział. - Wydaje mi się, że jesteśmy u celu.

- Dziękuję - odparła wzruszonym głosem Gawriłowa. - Dziękuję jeszcze raz, bo ja go dziś rano ledwie dobudziłam. Nie chce iść na zajęcia do technikum. A oni mają dzisiaj praktykę z okropnie wymagającym majstrem. Za byle co wygania i biedny uczeń zostaje bez zawodu.

Minc włączył małą wirówkę, która wypełniła pokój przyjemnym dla ucha, rzeczowym

buczeniem.

- Nasz preparat będzie działał na zasadzie przeciwstawienia - powiedział Minc.

- To znaczy krople? - zapytała z niedowierzaniem Gawriłowa.

- Lekarstwo. Bez smaku i zapachu.

- Mój Kola żadnych lekarstw nie używa.

- To mu w herbatę nakapcie.

- A w barszcz można? Mam dzisiaj dobry barszcz.

- W barszcz też można - powiedział Minc. - A więc, jak już powiedziałem, nasz preparat działa na zasadzie przeciwstawienia. Jeśli ja go zażyję, to nic się nie stanie. Jak pracowałem dotychczas, tak będę pracował nadal. Bo ja jestem pracowity.

- Może więc i z Kolą nic się nie stanie?

- Proszę mi nie przerywać. Ze mną nic się nie stanie, gdyż w moim organizmie nie ma żadnych antygenów pracy. Z kroplami czy bez kropel pracuję równie chętnie i wydajnie. Ale czym antygeny silniejsze, tym silniejsze działanie naszego środka. Lekarstwo, natykając się na opór, przebudowuje każdą komórkę, która do tej pory znajdowała się w stanie rozleniwionej błogości. Rozumiecie?

- Trochę to dla mnie zbyt zawile, Lwie Chrystoforowiczu. Ale najważniejsze jest to, żeby mój Koleńka trochę mniej się byczył.

- Życzę sukcesów - powiedział Lew Chrystoforowicz i dał Gawriłowej flakonik z preparatem. Po czym z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku skierował się do swego biurka i już zajął się przywracaniem w pamięci wzoru bezprzewodowego przekazywania energii, gdy głos Gawriłowej dobiegający z podwórka przerwał mu to zajęcie:

- A po ile kropli?

- Po dziesięć - odparł Minc podchodząc do okna.

- A jeśli po pięć? - zapytała Gawriłowa. Profesor machnął ręką. Rozumiał doskonale, że matczyne serce skłoni ją do zaaplikowania synowi minimalnej dawki, żeby chłopiec się nie otruł. Nie miało to żadnego znaczenia, gdyż jedna kropla wystarczała do przebudowania charakteru dwóch osób. A poza tym środek był całkowicie nieszkodliwy.

Pod oknem dwaj malarze zaintonowali pierwszą tego dnia pieśń masową. Pieśń była nudna i ze względu na wczesną porę niezbyt głośna. Malarze popracowali sobie już ponad trzydzieści minut i teraz, zmęczeni, zamierzali odpocząć do obiadu.

Minc zamyślił się na chwilę, a potem przypomniał sobie, że gdzieś pod biurkiem powinna stać nie napoczęta butelka piwa. Rozgrzebał papiery, odszukał butelkę, zdjął z niej kapsel i rozlał piwo do dwóch szklanek. Przyprawił je środkiem przeciwko lenistwu i podszedł do okna.

- Dzień dobry, sokoły - powiedział dziarsko.

- Szacunek - odparł jeden z malarzy.

- Napijcie się czegoś?

- Jeżeli wody albo herbaty zdecydowanie odmówimy - powiedział malarz. - Co innego, gdybyś nam, wujaszku, zaproponował wina. Wtedy byśmy ci cały pokój migiem obielili.

Przez podwórko wolnym krokiem znużonego człowieka szedł Mikołaj Gawriłow, który urwał się z praktyki i teraz zastanawiał się, jakby tu oszukać rodzoną matkę i przekonać ją, że malarz zachorował na świnkę. Gawriłow spostrzegł, że słońce, odbijając się od łysiny profesora, rozrzuca po całym podwórku wesołe zajęczki. Zauważył to i poczuł nieodparte pragnienie, aby strzelić w tę łysinę z procy. Natychmiast jednak się odwrócił, żeby go nie skusiło.

- A piwo uznajecie? - zapytał przymilnie profesor Minc.

- Żartujesz - odparł obrażonym głosem malarz - piwa już trzeci dzień nie ma w sklepie.

Powiadają, że to przez ten upał.

- A mnie butelka została - powiedział Minc. Postawił pełne szklanki na parapecie, a malarzom pokazał ciemnozieloną butelkę.

- Poczekaj - powiedział rzeczowo malarz. - Nie ruszaj się z miejsca, póki nie zorientujemy się w sytuacji.

Malarze zachowali się jak ludzie dobrze wychowani. Najpierw obejrżeli sufit, udzielili profesorowi cennych rad co do gruntowania i dopiero później z wdzięcznością wypili po szklance piwa.

- Samogon pędzisz? - zapytał z nadzieją w głosie jeden z nich, przyglądając się kolbom i retortom.

- Nie - odparł profesor. - Nie macie przypadkiem ochoty powrócić do pracy w mieszkaniu towarzysza Łożkina?

Malarze roześmieli się wesoło. Minc patrzył na nich uważnie, chcąc uchwycić moment, w którym ogarnie ich zapał do pracy. Ale malarze pożegnali się i wrócili na dwór, aby dośpiewać przerwana pieśń.

Była godzina jedenasta minut dwadzieścia. Gawriłowa przyniosła synowi talerz barszczu z dwoma kroplami preparatu profesora Minca. Pięciu kropel bała się wlać. Mikołaj popatrzył na matkę podejrzliwie. Nie wymyślała i nie czyniła mu żadnych wyrzutów. To było bardzo dziwne, a nawet niebezpieczne. Matka mogła podjąć jakąś niepokojącą decyzję: napisać do ojca pracującego w Wołogdzie, sprowadzić dziadka albo pójść do technikum. Gawriłow jadł barszcz bez żadnej przyjemności. Potem jakoś rozprawił się z kotletami i poczuł się senny. Włączył więc niezbyt głośno adapter i usnął na kanapie z oczami zakrytymi podręcznikiem matematyki - wierzył, że

kiedy się śpi z książką na czole, to z tej książki może coś przeniknąć do głowy.

Minc nie mógł pracować: stale popełniał błędy w obliczeniach. Malarze najpierw leniwie wyklócali się ze starą Łóżką, która namawiała ich do powrotu na posterunek pracy, potem zaś zaczęli zastanawiać się, który z nich pierwszy ma pójść po wino. Z okna Gawriłowa dobiegała muzyka. Przy stole pod bzem siedział Kac i Wasilij Wasiljewicz. Kac był "na zwolnieniu", a Wasilij Wasiljewicz pracował na nocnej zmianie. Obaj czekali, aż zjawi się któryś ze zwykłych dominowych partnerów. Żona Kaca krzyczała przez okno:

- Walentin, ile razy cię prosiłam, żebyś naprawił wyłącznik? Przecież i tak nic nie robisz.

- Ja całkiem legalnie nic nie robię, kiciu - odpowiedział Wala Kac. - Jestem na zwolnieniu z powodu grypy.

- No tak - powiedział surowym półgłosem Minc. - Ci też będą moimi królikami doświadczalnymi.

Wziął torbę na zakupy i poszedł do sklepu.

W sklepie było węgierskie wino wytrawne, ale ludzie kupowali go mało, bez entuzjazmu. Wszyscy czekali na portwain. Wśród oczekujących był oczywiście malarz. Powitał Minca jak dobrego znajomego i powiedział:

- Nie wyrzucaj pieniędzy na byle co. Zaraz portwain dadzą na sklep. Rimma ma cztery skrzynki na zapleczu.

- Nie szkodzi - zmieszał się profesor Minc. - Ja nie będę pił, wino mi jest potrzebne do doświadczenia.

- Do doświadczenia nada się i mleko - powiedział z potępieniem w głosie mężczyzna z fioletowym nosem. Kolor nochała był taki intensywny, że Minc nie mógł oderwać od niego wzroku, a mężczyzna powiedział dumnie:

- Za długo się opalałem. Skóra zlazła.

Rimma postawiła na kontuarze przed Mincem sześć butelek wytrawnego wina.

- Duże doświadczenie - powiedział malarz. - W gości zaprosisz?

Wtedy Minc zdecydował się.

Wszystkim stawiam! - wykrzyknął głosem starego hulaki. - Wszyscy piją!

W sklepie było około piętnastu osób. Wszyscy, zdaniem Minca, lenie i bumelanci. Wszyscy zasłużyli na radykalne wychowanie.

- Żadnego picia! - oburzyła się Rimma kładąc obfity biust na kontuarze i przesywając Minca wzrokiem. - Ja wam pokażę, alkoholicy! Zaraz milicję wezwę.

- Chodźmy do parku - powiedział mężczyzna z fioletowym nosem. - Tutaj nas nie rozumieją.

Zatrzymali się na chwilę przy automatach z wodą sodową, Minc mógłby przysiąc, iż żaden z jego nowych znajomych nie zbliżył się do nich nawet na trzy kroki, ale sześć szklanek stojących w automatach natychmiast zniknęło.

- Tobie pierwszemu - powiedział mężczyzna z fioletowym nosem, wyciągając zębami korek. - Ty, mój stary, jesteś człowiek szlachetny.

- Nie, co wy, ja później - odparł Minc, pojmując, że popełnił błąd. W jaki sposób zakropi wino swoim preparatem? Przecież gapi się na niego piętnaście par oczu.

- Nie ciągnij, nie męcz ludzi! - powiedział malarz, podając profesorowi szklankę.

- Poczekajcie - powiedział Minc doznając olśnienia. - Mam taką jedną rzecz... Dolewa się trzy krople i wino od razu o dziesięć procent mocniejsze. - Wyjął z kieszeni flakon i szybko kapnął sobie do szklanki.

Nowi znajomi patrzyli nań surowo i podejrzliwie, - Nie znam nic takiego - powiedział malarz.

- A ja w jednym piśmie czytałem - powiedział mężczyzna z fioletowym nosem. - Kondensator się nazywa.

- Słusznie - odparł Minc i szybko wypił swoje wino. Wino było chłodne i przyjemne w smaku. Profesor nigdy nie pił wina szklankami.

W tym czasie reszta szklanek też już była napełniona. Ich posiadacze patrzyli na profesora oczekująco. Ale profesor się nie śpieszył. Milczał.

- Słuchaj, staruszk - powiedział malarz. - Ty coś mnie nie szanujesz.

- Bo co? - zdziwił się Minc.

- Kapnij kondensatora, nie żałuj. Przecież masz całą butelkę.

Ryzykowny eksperyment psychologiczny całkowicie się powiódł.

- Ale tylko po dwie krople, nie więcej - zgodził się niechętnie profesor, żeby nie irytować kumpli od kieliszka.

Kapał w kolejno podsuwane szklanki, chwalił się w duchu za spryt i omal nie stał się przyczyną ostrej scysji.

- Co to znaczy?! - wykrzyknął nagle malarz. - Dlaczego jemu trzy krople?

- Mnie? Trzy? Ty co, pycia masz na oku?

- Spokojnie - profesor wcisnął się między dyskutantów. - Komu zabrakło kropli?

Malarz pierwszy upił trochę wina. Wszyscy patrzyli na niego.

Profesor wstrzymał oddech.

Malarz przechylił szklankę i wino hałaśliwie wlało się do jego gardła.

Malarz westchnął i powiedział:

- Dziesięciu procent nie będzie, „ale jakieś pięć do sześciu dorzuca. Wierzcie mojemu doświadczeniu.

Pozostali doszli do tego samego wniosku.

Z parku wracali radośnie, wesoło, objęci jak bracia i rozśpiewani. Namówili profesora, żeby jeszcze raz zajrzał do Rimmy, może już jest portwain. Profesorowi Mincowi szumiało w głowie, było mu dobrze i ciepło. Pokochał tych wszystkich tak niepodobnych do siebie ludzi, którzy jeszcze nie wiedzą, jak bardzo pracowici staną się niebawem.

Rimma miała portwain.

Profesora odprowadzono do domu i pozostawiono na podwórku opartego o słupek ogrodzenia.

Pierwszy zobaczył go Mikołaj Gawriłow. Mikołaj obudził się z jakimś dziwnym, świdrującym uczuciem. Czegoś mu się chciało. Uczucie było tak nie znane i podniecające, że młody człowiek stanął przy oknie i zaczął się zastanawiać, czego mu się właściwie chce? Ręce same odnalazły ścierkę i zaczął ścierać kurz z parapetu i ramy okiennej. W tym momencie Mikołaj zobaczył profesora i powiedział do tych, którzy grali pod bzem w domino:

- Patrzcie, profesor opił się jak trzmiel! Słowa Gawriłowa oburzyły Wasilija Wysiljewicza, który kazał chłopakowi zamknąć okno i przestać chuliganić. Ale potem Wasilij Wasiljewicz mimo wszystko zerknął w stronę bramy i tak się zdumiał, że zamilkł z otwartymi ustami.

Tymczasem Minc przypomniał sobie, że ma jeszcze wiele roboty i że część tej roboty związana jest z ludźmi, którzy siedzą wokół stołu i stukają po nim kamieniami domina. Odkleił się więc od słupka i wymacał w jednej kieszeni flakon z preparatem, w drugiej zaś niedopitą butelkę portwainu, którą kumple dali mu na pożegnanie. Korneliusz Udałow, który akurat wchodził na podwórko, podtrzymał profesora. - Wypijemy i do roboty - powiedział profesor.

- Co za wstyd! - wykrzyknęła stara Łoż-kina otwierając okno.

- Trzeba pomóc człowiekowi - powiedział Łożkin. - To jakiś spisek. Towarzysz Minc mieszka w naszym domu już od trzech miesięcy i wszyscy wiemy, że jest niepijący.

- Widać go przyparło - powiedziała stara Łożkina. - Oni czasem i pół roku wytrzymują, a potem w tango. Teraz się z nim namęczymy.

- Nie wierzą - powiedział Łożkin.

Kola Gawriłow polerował szmatą okno i nie wtrącał się więcej do rozmów na podwórzu. Żał mu było odrywać się od takiego pasjonującego zajęcia.

Profesor Minc, opierając się ciężko na ramieniu Udałowa, doczłapał do stołu. Sąsiedzi powstali na jego powitanie.

- Wypijmy - powiedział profesor surowo. - Wypijmy za osiągnięcia w pracy zawodowej i

społecznej.

Szerokim gestem siewcy zatoczył butelką przed oczami sąsiadów. Nikt nawet nie drgnął.

- Nie pora na to - powiedział Udałow nieśmiało. - Gdyby tak wieczorem, w kręgu przyjaciół i tak dalej, bylibyśmy zaszczytzeni.

- A jednak - nastawał profesor. - Powinniście w mej osobie uszanować naukę. Ja się mogę obrazić i nauka się obrazi. A wtedy wydarzy się coś tak okropnego, że aż strach pomyśleć.

Wasilij Wasiljewicz drgnął i powiedział:

- Tylko z szacunku.

Profesor Minc postawił butelką na stole, przeciągnął nieposłusznymi rękoma po kieszeniach, co sprawiało wrażenie, jakby szukał pistoletu, i ku zdumieniu obecnych wy dobył z którejś z nich szklankę-musztardówkę.

- W porządku - powiedział. - Wszystko będzie zgodne z regułami sztuki.

Kapał z flakonika do szklanki, dolewał wina i zmuszał każdego do wypicia, powtarzając przy tym:

- Jak lekarstwo, jak rycynę, jak trioksazyne.

Sąsiedzi pili bez żadnej przyjemności, a nawet z pewną przykrością. Pili jak rycynę.

Kola Gawriłow tego nie widział. Mył już podłogę i dlatego pełzał na czworakach.

Malarz, który zaprawiał się z Mincem w miejskim parku, a potem za rogiem obok sklepu, jeszcze nie wrócił, bo zablądził i poszedł do domu, w którym skończył robotę już dwa tygodnie temu. Drugi natomiast pomyślał, że bez potrzeby się tu byczy, wziął pędzel i pośpieszył na górę do Łożkinów, już zawczasu ciesząc się radością, jaką przyniesie mu ukochana praca.

- Dziękuję - powiedział profesor Minc, usiadł na ławce i wpadł w głęboką zadumę. Zmęczył się niepomiernie. Dla dobra nauki musiał złamać niektóre ze swych zasad.

Sąsiedzi zaczęli się rozchodzić. W bramie pokazała się Gawriłowa z siatką na zakupy w rękę. Nieszczęsna matka zatrzymała się pośrodku podwórza i zaczęła nasłuchiwać. Jej syn Kola nie włączył adapteru. To było dziwne. Pewnie chłopak zachorował. Czy aby nie otruła własnego dziecka miksturą profesora Minca?

I wtedy właśnie zobaczyła domniemanego sprawcę nieszczęścia. Minc siedział przy stole, gdzie sąsiedzi zazwyczaj grali w domino, kiwał się na boki i wyśpiewywał jakąś melodię. Obok niego stał Korneliusz Udałow, a opodał smętny Wasilij Wasiljewicz i bardzo zmieszany Wala Kac.

- Co się stało? - wykrzyknęła Gawriłowa i zawołała już znacznie głośniej:

- Kola! Gdzie jesteś! Co z tobą!? Jej serce ścisnęło się w trwodze.

Kola się nie odzywał. W tym momencie akurat poszedł do kuchni, żeby wylać z miednicy brudną wodę i nabrać czystej. Zapragnął bowiem ponownie umyć podłogę, aby wydobyć pierwotną

biel drewna.

Gawriłowa rzuciła na Minca gniewne spojrzenie i podbiegła do domu.

- Pomogę wam - powiedział Udałow, pomagając Mincowi wstać z ławki. - Odprowadzą was.

- Dziękuję ci, przyjacielu - powiedział profesor Minc.

Szli przez podwórko objęci wpeł. Profesor całym ciężarem opierał się na Udałowie. Stara Łóżkina patrzyła na nich przez okno kręcąc głową z potępieniem. To, że jeden z malarzy ponownie zabrał się do roboty, zdziwiło ją, ale nie do tego stopnia, aby miała zapomnieć o hańbie profesora.

Tuż przed drzwiami mieszkania wyprzedził Minca i Udałowa drugi malarz, który zamaszystym krokiem spieszył na miejsce pracy.

- Z drogi! - powiedział rzeczowo.

Profesor Minc zrozumiał, że doświadczenie się udało.

Udałow pomógł profesorowi położyć się na jego skromnym posłaniu. Profesor natychmiast zamknął oczy i usnął. Udałow przez jakiś czas stał pośrodku pokoju i wdychał wonie chemikaliów. Profesor zachowywał się dziwnie, a Korneliusz Udałow nie wierzył w przypadkowość takiego zachowania.

Profesor obudził się po trzech godzinach. Głowę miał jasną i gotową do podjęcia nowych zadań. W jego życiu wydarzyło się coś wielkiego i szlachetnego. Tak, podstawowy problem współczesności został rozwiązany. Genialny umysł profesora znalazł klucz zagadki, której nie potrafili rozwikłać tacy tytani myśli jak Paracelsus, Newton i Razdobućko.

Za ścianą słychać było szmery i postukiwania. Jakieś niewyraźne dźwięki dobiegały z podwórka. Profesor usiadł na łóżku i przez skrzywienie sprężyn usłyszał delikatne pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział.

- To ja - szepnęła Gawriłowa, wchodząc do środka.

- No i jak? - zapytał profesor głosem dentysty, gładząc łysinę i filuternie mrugając do nieszczęsnej matki. Gawriłowa miała obłęd w oczach.

- Oj - powiedziała nieszczęsna matka i przysiadła na krawędzi łóżka, przyciskając dłonie do zaróżowionych policzków. - Sama nie wiem.

- A o co chodzi? - Profesor zerwał się i zaczął szybkimi krokami biegać po pokoju. - Czyba pracowitość się pojawiła? Jakoś nie słyszę muzyki.

- Gdzie tam mowa o muzyce - westchnęła Gawriłowa. - Boję się. Dwa razy dziś mdlałam. I to przy mojej tuszy. Co on zrobił z podłogą? Co on ze mną zrobił... - tu zacna niewiasta zaczęła lkać, a profesor Minc niezręcznie ją pocieszał, gładził po bujnej fryzurze i podawał wodę.

- Słuchajcie - powiedział, gdy wreszcie łkania ustały. - Proponuję udać się na miejsce wypadku. Może na coś się przydam.

- Chodźmy - powiedziała kobieta i znów załkała. - Gdyby moja nieboszczka mamusia...

W korytarzu musieli się zatrzymać. Malarze skończyli właśnie odnawianie mieszkania Łóżkinów i wzięli się za korytarz, co nie należało do ich obowiązków, tym bardziej że dzień pracy się skończył. Zdrapali już ze ścian starą farbę i zmyli tynki. Pracowali sprawnie, wesoło, nie tracąc na darmo ani minuty. Tylko jeden z nich na moment oderwał się od pracy, aby mrugnąć do profesora Minca i rzucić mimochodem: "Czemu się, dziadku, opalasz? W ten sposób życie bez pożytku i bez sensu przeleci".

Profesor był tego samego zdania, uśmiechnął się więc przyjaźnie i bez urazy. Stara Łóżkina wyglądała przez uchylone drzwi i patrzyła na malarzy jak zaszczuty zając. Pociągnęła przechodzącego profesora za rękaw i szepnęła mu na ucho: "Nie dam ani kopiejki. Niech się nie spodziewają. Oni przecież i tak państwowe pieniądze biorą".

- A my nie za pieniądze, babciu - odparł malarz, który usłyszał jej szept. - Sama praca tak nas pociąga. To droższe od pieniędzy całego świata.

- I od sławy - dodał drugi, mieszając farbę w wiadrze.

Na podwórku profesor ujrzał niecodzienne zjawisko. Wasilij Wasiljewicz i Wala Kac porządkowali teren, podcinali krzewy, wyrównywali alejki, kosili trawę. A sąsiad, którego profesor bliżej nie znał, wjeżdżał właśnie w bramę z taczkami pełnymi piasku, bo zamierzał zrobić dzieciakom piaskownicę.

Sąsiedzi pracowali z takim zapalem, że nie zwrócili na Minca najmniejszej uwagi.

Gawriłowa popatrzyła na nich z pewnym lękiem, a zaraz potem wpadła jej do głowy ciekawa myśl.

- Czy to przypadkiem nie wy, Lwie Chrystoforowiczu? - zapytała.

- Ja - odparł skromnie profesor.

- Oj, co to się wyrabia! - powiedziała Gawriłowa.

W tym momencie na podwórku zjawił się Korneliusz Udałow, który niósł na ramieniu dwie deski na przyszłą piaskownicę. Usłyszał słowa Gawriłowej i podejrzenia odżyły w nim z nową siłą. Ponieważ zasadniczo nigdy nie czuł wstrętu do pracy, to lekarstwo profesora podziałało nań w sposób umiarkowany, bez większego więc trudu zdołał przewyciężyć pęd do roboty. Rzucił deski na ziemię i ruszył za profesorem do mieszkania Gawriłowej.

Mieszkanie powitało profesora nieprawdopodobną, bajeczną wręcz czystością. Podłoga była wyszorowana do srebrnego połysku i pokryta lśniąca pastą, parapety i drzwi wypucowane do białości. Przez otwarte drzwi kuchni widać było równo rozwieszone, świeżo wyprane zasłony,

koszule Koli Gawriłowa i bieliznę pościelową, a w prześwitach między prześcieradłami iskrzyły się wypolerowane rondle.

Mikołaja nigdzie nie było widać.

Gawriłowa zatrzymała się na progu, bojąc się wejść do własnego mieszkania.

- Kola - powiedziała słabym głosem. - Koleńka.

Kola nie odzywał się.

Profesor starannie wytarł nogi w świeżo wyprane sukno i wszedł do pokoju. Kola obłożony podręcznikami leżał na kanapie i szybko coś notował.

Profesor pochylił się nad nim i zapytał:

- Jak się czujecie, młody człowieku?

Kola machnął ręką, jakby opędzał się od muchy, i sięgnął po nowy podręcznik.

- Kola - powiedział profesor. - Dzisiaj i tak już wiele zrobiłeś. Czy nie warto nieco odpocząć?

- Jakże głęboko się mylicie - odparł na to Kola, nie odrywając oczu od książki. - Przecież tyle jeszcze muszę dokonać, a życie jest krótkie. Mam zaległości w tym półroczu, a zwyczajnie i po ludzku, głęboko i poważnie chciałbym przerobić w tym roku dwie klasy. Może nawet trzy. Błagam więc, abyście nie odrywali mnie od nauki.

- Chłopiec ma rację - rzekł profesor zwracając się do Gawriłowej i Udałowa, którzy obserwowali tę scenę stojąc w drzwiach.

- Ale przecież on się przemęczy - powiedziała Gawriłowa. - On do tego nie przywykł.

- Nie martw się, mam - odparł na to Kola Gawriłow. - Mózg człowieka spożytkowuje zaledwie maleńką część swoich komórek. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie mam rezerwy. A propos, obiad stoi na kuchni, kolacja zresztą także. Bądź taka dobra i nie pracuj zbyt wiele, odpocznij, poczytaj, obejrzyj telewizję. Przecież masz wysokie ciśnienie.

Zacna niewiasta Gawriłowa znów wybuchnęła łkaniem.

Udałow wraz z profesorem zeszli na podwórze. Na widok sąsiadów Udałow zapragnął włączyć się do ich twórczej pracy, ale zdołał się powstrzymać. Zwrócił się do Minca:

- Lwie Chrystoforowiczu - powiedział z naciskiem. - Przecież to wasz środek. Przecież jesteście naszym jedynym chemikiem.

- I to w dodatku genialnym - dodał poważnie profesor, zadowolony z wyników eksperymentu.

- A to zdrowiu nie szkodzi? - pytał dalej Udałow.

- Nie szkodzi - odparł profesor. - Ale za to stwarza niebezpieczeństwo zmiany stylu życia.

- Jak prędko pójdzie do produkcji? - zapytał Udałow, który, aby nie tracić czasu, oblaamywał

zeschnięte gałęzie z drzewa.

- Co ma iść do produkcji?

- Środek przeciwko lenistwu.

Udałow zawsze brał byka za rogi i nazywał rzeczy po imieniu.

- Proszę zrozumieć, mój przyjacielu - powiedział profesor - że bez względu na to, jakie nauka wynajdzie środki w celu poprawienia ludzkich ułomności, środki te zawsze pozostaną zaledwie protezami. Na razie nie możemy i nie potrafimy zmienić natury człowieka. Planowe, konsekwentne, cierpliwe wychowanie człowieka-twórcy, człowieka-budowniczego na zawsze pozostanie naszym głównym zadaniem.

- To znaczy wszystko zostanie po staremu? - zapytał Udałow z rozczarowaniem w głosie.

- Obawiam się, że tak.

- A gdyby tak dać więcej? Dawaliście nam po kropli, a przecież można i po szklance?

Chyba że szkodzi?

- Nie, preparat jest zupełnie nieszkodliwy. Ale nie mamy prawa przeprowadzać doświadczeń, póki preparatu nie wypróbują w Moskwie, póki nie zatwierdzi go Ministerstwo Zdrowia, póki go wreszcie nie opatentujemy w celu uniknięcia konfliktów międzynarodowych.

- Po co tyle czekać? I co tu mają do rzeczy konflikty międzynarodowe? - oburzył się Udałow.

- To bardzo proste. - Twarz profesora nabrała wyrazu głębokiej mądrości przyprawionej odrobiną smutku. - Wyobraźcie sobie, że środek dostanie się w łapy rekinów imperializmu, wyzyskiwaczy i neokolonizatorów. Pomyśleliście o konsekwencjach? Każdy, nawet najszlachetniejszy wynalazek może być obrócony na szkodę ludzkości.

- Tak - westchnął Udałow. Wyobraził sobie, jak to właściciele plantacji w pewnych krajach Ameryki Łacińskiej będą za pomocą nowego preparatu wyciskać ostatnie poty z parobków i robotników sezonowych, jak kolonizatorzy będą poić preparatem niewolników w głębokich kopalniach diamentów. Jak najemni pismacy nieustannie będą klekotać na maszynach i jak przekonująco będą gadać w telewizji reakcyjni komentatorzy. Im dalej, tym gorzej. Gangsterzy cierpliwie i pracowicie będą podkopywać się pod banki, a fałszerze pieniędzy dzień i noc bez przerwy będą drukować swoje falsyfikaty. Nie, taki środek należy trzymać w tajemnicy, a nie propagować!

Udałow powiedział to wszystko profesorowi Mincowi i zaraz potem zabrał się do pielienia klombów.

Na miasto opadł ciepły, wonny, przyjemny wieczór. Zapłonęły jaskrawe gwiazdy. Ćmy krążyły wokół ulicznych latarni. Na rzece rozległ się niski, uspokajający głos syreny parostatku.

Profesor Minc stał w bramie i patrzył na ulicę. Ulicą posuwała się niewielka grupa ludzi uzbrojonych w szczotki i śmietniczki. Wśród nich Minc rozpoznał swoich znajomych z porannej hulanki w parku miejskim. Ludzie zamiatali jezdnię i chodniki, a po drodze niektórzy z nich zatrzymywali się, wspinali się na latarnie i wymieniali przepalone żarówki. Za tą grupką pracowitych szedł ogromny tłum gapiów, którzy gromko zastanawiali się, co to wszystko może znaczyć. Jedni mówili, że to pewnie aresztanci, którzy dostali dwa tygodnie za chuligańskie wybryki, bo przecież wśród pracujących znajdowali się alkoholicy i pasożyci, inni zaś utrzymywali, że to towarzystwo chce wygrać jakiś zakład albo po prostu robi to dla hecy. Ale niedawni lenie i bumelanci nie zwracali najmniejszej uwagi na ironiczne komentarze i spokojnie robili swoje.

Minc był bardzo zaniepokojony. Nie odważył się nikomu przyznać, że nie przewidział niebezpieczeństwa kryjącego się w eksperymencie. Nie znał intensywności współdziałania preparatu z leniwymi komórkami organizmu ludzkiego i nie wiedział, kiedy to działanie ustanie.

Za plecami profesora rozlegały się ciężkie oddechy malarzy. Malarze bez chwili przerwy pokrywali ściany domu wesolutkim żółtym kolorkiem i niczym podróżnicy arktyczni dążący do bieguna podtrzymywali się nawzajem przykładami z życia bohaterów.

Na ławeczce pod bzem rozpaczała Gawriłowa. Jej syn opanował już program fizyki i chemii z pierwszego półrocza i teraz dla odmiany postanowił wymienić tapety, a potem zdjąć i ponownie ułożyć parkiet w pokoju sąsiadki, samotnej starszej kobiety. Nikt na nieszczęście Gawriłowej nie zwracał uwagi. Mieszkańcy domu przekształcali pustynny dotychczas placyk za domem w stadion sportowy dla młodzieży z całej ulicy. Wkopali już słupy na boisku do siatkówki i koszykówki, a teraz właśnie budowali niewielki basen pływacki z trampoliną.

- Co robić? Co robić? - szeptał profesor. -Potrzebne jest antidotum.

Szybko przemknął się przez podwórze, przyciskając się do ścian, aby nie napotkać zrozpaczonego wzroku Gawriłowej, i poszedł do swojego mieszkania. Krople żółtej farby niczym motylki wpadały przez otwarte okno. Profesor przystąpił do obliczeń.

Zakończył je późną nocą. Malarze odnowili już fasadę domu i z braku farby cyklinowali drewniany parkan, który potem zamierzali wypolituować. Mieszkańcy domu wykopali już basen, pokryli jego ściany zaprawą cementową i właśnie podłączali rury wodociągowe. Jedynie Wasilij Wasiljewicz opuścił swój posterunek.

I to też nie z własnej woli. Po prostu jego żona, bojąc się o zdrowie swego sędziwego męża, namówiła sąsiadów, aby zwiążali Wasilija Wasiljewicza i odnieśli go na łóżko. Wasilij Wasiljewicz nie chciał zasnąć, niepokoił się, że bez niego koledzy spartaczą robotę, i dawał im z pościeli dobre rady oraz wykrzykiwał życzenia sukcesów w pracy.

Bumelanci i pijacy już wyczyścili całe miasto i dotarli nad rzekę, gdzie na przystani barek zaczęli sortować pnie drzew wedle rozmiarów i gatunków i układać je w zgrabne sterty.

Późną nocą Minc dokonał dwóch odkryć. Po pierwsze, wyprowadził wzór osłabionego preparatu, który nie powodował u człowieka niczego, poza normalną pracowitością. Po wtóre, obliczył, że działanie środka podanego rankiem zakończy się mniej więcej za godzinę.

Inny na miejscu Minca po prostu poszedłby spać. Ale Minc nie był taki. Chciał naocznie przekonać się o prawidłowości swoich obliczeń. W tym celu musiał jeszcze czuwać około godziny. Lew Chrystoforowicz postanowił spożytkować ten czas na przygotowanie osłabionej mieszanki. Doszedł też do wniosku, że doświadczenia na ludziach są zbyt ryzykowne i że w związku z tym normalny preparat będzie wypróbowywał tylko na kocie Łóżkinów, który do tego stopnia się rozleniwił, że przestał łowić myszy.

Najpierw należało odnaleźć buteleczkę z resztkami preparatu i rozcieńczyć go do właściwego stężenia. Flakon znalazł się w kieszeni marynarki. Na jego dnie było jeszcze dość środka, aby skłonić do wydajnej pracy załogę wielkiej instytucji. Minc postawił buteleczkę na stole i zaczął szukać pustego naczynia. Brał z półki butle, kolby, butelki, zlewki i flakony, wyciągał je spod biurka, zza szafy... O niektórych już dawno zapomniał, inne natomiast wywoływały w jego pamięci przyjemne wspomnienia o sukcesach lub też ciężkie westchnienia, świadczące o drobnych porażkach.

Oto kolba z niezastąpionym środkiem. przeciwko komarom, środkiem nie zabijającym ich, lecz zmuszającym do odlatywania na dwa metry. Z tego środka trzeba było w końcu zrezygnować, gdyż komary w drodze doboru naturalnego wyhodowały sobie żądła dokładnie dwa metry długie i właśnie nimi kłuły profesora spoza strefy ochronnej.

Oto środek na rozwój słuchu muzycznego, oto próbówka z nie wiadomo czym, oto flakon ze stymulatorem wzrostu pieczarek, pod którego wpływem grzybki w ciągu nocy osiągają metrową średnicę...

Profesor z taką miłością przestawiał naczynia z preparatami, że ani się spostrzegł, kiedy upłynęła godzina. Do rzeczywistości przywołał go hałas dobiegający z podwórka. Okazało się, że malarze zakończyli robotę i zbierali teraz narzędzia, z pewnym zdumieniem przyglądając się owocom swojej pracy, sąsiedzi przerwali budowę basenu i zegnali się, udając się na spoczynek. W oknie Gawriłowów zgasło światło. Znad rzeki zmęczonym krokiem wracali pojedynczo pasożyci.

- Co to będzie jutro? - powiedział w zadumie Lew Chrystoforowicz i położył się spać.

Miał nadzieję, że preparat nie całkiem wywietrzeje z organizmów ludzi.

Profesor spał mocno i śniły mu się sny, w których zawsze znajdował tematy dla pracy naukowej na dzień następny. Nie słyszał, jak cichutko otwierają się drzwi i ciemna ludzka postać,

osłaniając dłonią reflektor latarki elektrycznej, zatrzymuje się w progu. Promień latarki nieśmiało obiegł pokój, zatrzymał się na moment przy wezglowiu posłania, odbił się od łysiny profesora i zamarł na stole pośród butelek.

Postać podkradła się na palcach do stołu i zatrzymała przed szeregiem naczyń. Podnosiła i prześwietlała latarką flakony do tej pory, aż odszukała potrzebny. Wówczas człowiek schował go za pazuchę, wyszedł z pokoju i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. Profesor spał jak nowo narodzone dziecko i śnił o metodach zwiększenia wagi młodego bydła rzeźnego.

Rankiem profesor wstał przed wszystkimi i zanim przystąpił do nowych doświadczeń, usiadł przy oknie i zaczął wyglądać na podwórze.

Jako pierwsi poszli do pracy Wasilij Wasiljewicz i Wala Kac. Byli weseli i ożywieni. Odnosiło się wrażenie, że wczorajsze przemęczenie zupełnie im nie zaszkodziło.

- Jak leci? - zapytał ich Minc.

- Doskonale, Lwie Chrystoforowiczu - odparł Wala. - Dziś po pracy będziemy kończyć basen. Przyłączycie się do nas?

- Z przyjemnością - odparł profesor.

Humor mu się znacznie poprawił, gdyż przekonał się, że preparat daje efekty uboczne o najprawdopodobniej przedłużonym działaniu.

Potem na podwórku pokazał się Korneliusz Udałow, który również śpieszył do pracy. Na widok profesora skłonił mu się i nie wiadomo czemu złapał za odstającą kieszeń. Profesor niczego się nie domyślił i zapytał:

- Jak samopoczucie, Korneliuszu Iwanowiczu?

- Trudno o lepsze - odparł Udałow i zrobił perskie oko.

Zaraz za Udałowem wyszedł młody Mikołaj Gawriłow z podręcznikami i zeszytami pod pachą. Już w bramie krzyknął do matki, która wyglądała przez okno:

- Nie przemęczaj się, mamó. Masz wysokie ciśnienie. A kartofle obiorę, jak tylko wrócę z praktyki.

To również był dobry znak. Profesor odprowadził Gawriłowa wzrokiem, a potem zamienił kilka słów z jego matką.

Przekonawszy się, że preparat nikomu z jego znajomych nie zaszkodził, profesor podjął rejs zwiadowczy do sklepu Rimmy.

Rimma nudziła się, bo nie miała się z kim kłócić. Zamiast normalnego tłumu niecierpliwych pasożytów w sklepie szwendało się zaledwie dwóch jakichś nie znanych profesorowi facetów. A Lew Chrystoforowicz kupił dwie butelki lemoniady i powiedział groźnie do pasożytów: "Ja wam jeszcze dam popić, zobaczycie". Pasożyci nie zrozumieli profesora i

zwymyślali go od ostatnich, a Minc podążył do domu.

Na ulicy spotkał znajomych malarzy. Obaj nieśli pędzle i wiadra z farbą do nowego obiektu.

- Cześć, ojczulku! - zawołali. - Nieźle sobie wczoraj popracowaliśmy!

- Tylko dziś zbytnio się nie przemęczajcie - powiedział troskliwie Minc.

- Nic się nie bój, wszystko będzie w porządku - odpowiedzieli malarze. - Nie przemęczymy się, ale z przyjemnością popracujemy.

Szczęśliwy uśmiech nie opuszczał twarzy profesora, lecz kiedy doszedł do rogu ulicy Puszkina, uśmiech ustąpił miejsca wyrazowi najwyższego zaniepokojenia.

Pośrodku ulicy Puszkina, obok walca drogowego i generatora stała grupa robotników miejskich, ubranych w pomarańczowe kamizelki i plastikowe hełmy. Przed frontem brygady defilował Udałow, trzymając w jednym ręku ciemny, znany profesorowi flakon, w drugiej zaś łyżkę stołową. Nalewał na łyżkę płyn z butelki i podawał kolejnemu podwładnemu.

- To szczepionka - powtarzał przy tym Udałow - przeciwko epidemii grypy. Z obwodu przysłali. Wedle specjalnej listy. Każdy musi obowiązkowo zażył Robotnicy i technicy posłusznie otwierali usta i zażywali lekarstwo.

- Korneliuszu Iwanowiczu, nie róbcie tego! - krzyknął profesor, podbiegając do Udałowa.

Ale Udałow najpierw przekonał się, że ostatni członek brygady zażył preparat, a dopiero potem odwrócił się do profesora, oddał mu pustą butelkę i odciągnął pod stojące opodal drzewo.

- Ja bardzo przepraszam, że bez pozwolenia. Ale to dla dobra sprawy - powiedział półgłosem, aby go nie usłyszeli drogowcy. - Muszą dziś pracować do późnej nocy, bo inaczej kwartalny plan się zawali. Nic im nie będzie, jeśli chociaż raz przyłożą się do roboty. Zaszczepiłem też pracowników biurowych i dyspozytorów. Wedle moich obliczeń do wieczora wykonamy plan i wyjdziemy na prowadzenie w obwodzie.

Oczy Udałowa błyszczały podnieceniem.

- Jakże tak można - powiedział z wyrzutem profesor. - Musieliście wchodzić do mojego pokoju po ciemku. Przecież mogliście się potknąć, przewrócić, nabić sobie guza...

Dobry profesor był naprawdę zmartwiony.

- Nie denerwujcie się, Lwie Chrystoforowiczu - odparł Udałow. - Miałem ze sobą latarkę.

Odwrócił się do drogowców i powiedział gromko:

- Bo roboty, przyjaciele!

Ale z drogowcami działo się coś niezwykłego. Żaden z nich nie chwycił za łopatę lub młot pneumatyczny. Wszyscy coś nucili pod nosem, potem stanęli w kręgu, a brygadzysta pomachał w powietrzu ręką, zaprowadzając wśród nich muzyczny porządek.

- Co się dzieje? - zdziwił się Udałow. Brygadzysta uniósł dłoń do góry, prosząc w ten sposób o ciszę. Następnie powiedział:

- Raz, dwa, trzy!

I brygada ochoczo zaśpiewała na cztery głosy trudną wykonawczo gruzińską melodię ludową "Suliko". Drogowcy śpiewali czysto i pięknie. Żaden z nich nie sfalszował i nie zmylił taktu.

Udałow stał pod drzewem jak rażony gromem. W domach na całej ulicy pootwierały się okna i ludzie wsłuchiwali się w śpiew, którego mógłby pozazdrościć zespół "Orera".

- Co? Co? - Udałow patrzył gniewnie na profesora. - To wasze dowcipy?

- Chwileczką... - profesor powąchał pusty flakonik. - Tak myślałem. W ciemności pomyliliście butelki. To jest preparat polepszający słuch muzyczny i zdolność śpiewu chóralnego.

- Okropność! - wykrzyknął Udałow. I długo oni tak będą śpiewać?

- Długo - powiedział profesor.

- Ale co w takim razie dzieje się w biurze? A co w dyspozytorni?

- Nie rozpaczajcie - powiedział profesor wsłuchując się w melodyjne pienia drogowców. - Gwarantuję, że wasze przedsiębiorstwo budowlane zajmie pierwsze miejsce w obwodowym konkursie amatorskich zespołów artystycznych.

- No cóż - powiedział ze smutkiem Udałow. - To też coś...

Przełożył TADEUSZ GOSK

JAK GO ROZPOZNAĆ?

Nad Wielkim Guslarem rozlegał się grzmot gigantofonów nadających radosne pieśni masowe. Słońce coraz odważniej przebijało się przez chmury. Bardzo zaaferowani pionierzy w białych koszulkach biegali we wszystkie strony, a mieszkańcy miasta przepływali tłumnie pod transparentami, rozpiętymi w poprzek ulic. Autobusy wycieczkowe z odległych miejscowości stanęły ciasnym rzędem na placu, na którym dawniej wznosiły się sukiennice, a obecnie rozpościerał skwer i strzelał w górę monumentalny, przykryty brezentem Pomnik Odkrywcy. Tego właśnie dnia, w siedemsetpięćdziesięciolecie grodu, miało się odbyć uroczyste odsłonięcie pomnika.

Mężczyźni z domu numer szesnaście siedzieli na podwórku wokół, stołu rozchwanego od gry w domino, czekali na strojące się kobiety i nudę oczekiwania skracali sobie rozmową o przeszłości i terażniejszości.

Korneliusz Udałow, ubrany w białą koszulę z granatowym krawatem, z włosami zaczesanymi na bok, aby skryć łysinę, spierał się z Pogosjanem, który utrzymywał, że istnieją miasta znacznie wspanialsze i piękniejsze niż Wielki Guslar.

- Na przykład Erewan - mówił Pogosjan. - Dwa tysiące lat! 'Trzy tysiące lat! Pięć tysięcy lat na jednym miejscu!

- Tu nie o liczby chodzi - oponował Udałow. - Iwan Groźny o mało nie przeniósł tu stolicy z Moskwy.

- Facet był niegłupi - upierał się Pogosjan. - Rozmyślił się.

- Buntownicy przeszkodzili.

- Buntownicy też nie byli durnie.

- Trudno z tobą rozmawiać - wyznał Udałow. - Nie jesteś patriotą naszego rodzinnego miasta.

Stary Łożkin, ubrany w czarny garnitur pokryty na piersiach rzędami orderów i medali, zgodził się z Udałowem. Zatoczył ręką dookoła i powiedział:

- Nie na darmo nasi przodkowie nazwali Guslar Wielkim.

- Sami mieszkali, sami nazwali. Erewanu nikt nie nazywał wielkim. Po co nazywać? Każdy pies wie - zareplikował Pogosjan.

Rozmowa z kwestii ogólnych zoczyła na wycieczki osobiste i zmieniła się w zwyczajną pyskówkę. Sasza Grubin, który z okazji święta uczesał się i ogolił, słuchał tego, słuchał i wreszcie powiedział pozornie bez związku z głównym nurtem rozmowy:

- Wspaniale byłoby zasnąć i obudzić się za dwieście lat. I popatrzeć na nasz Guslar z dalekiej przyszłości.

Sąsiedzi przerwali kłótnie, pomyśleli i zgodzili się z Grubinem.

- Z drugiej strony - powiedział Udałow - na dwieście lat do tyłu też byłoby nieźle.

- To już lepiej na całe siedemset - odezwał się Wasilij Wasiljewicz. - Przybyłbyś do średniowiecza, a tu dokoła ludzie z kopiami i strzałami, zarośnięci i płacą podatki starożytnemu grodowi Kijowowi.

- Albo tatarsko-mongolskim najeźdźcom - poprawił go Łożkin.

- Może i najeźdźcom. Niedźwiedzie dokoła się szwendają, jelenie, dziki i tury. Ludziska bimber z miodu pędzą...

- Daliby ci oni popróbować tego miodowego bimbru! - zaproponował Grubin. - Oni by cię od razu rozpoznali.

- Jak? - zdziwił się Wasilij Wasiljewicz. Wszyscy roześmieli się, a Łożkin odpowiedział:

- Po odzieży by cię rozpoznali. I po akcencie. Oni przecież innym językiem mówili, starocerkiewnosłowiańskim.

- I zamiast miodu dostałbyś mieczem po karku - podsumował Grubin.

- Dobra, dobra! - nie poddawał się Wasilij Wasiljewicz. - Czyżbyście sądzili, że ja się do nich udam bez przygotowania? Najpierw poszedłbym do Akademii Nauk. Dajcie, powiedziałbym, konsultantów od starocerkiewnego języka. Poczytamy, popracujemy. Dajcie mi też muzealną odzież. Wtedy nie rozpoznają.

Sąsiedzi Wasilijowi Wasiljewiczowi nie uwierzyli. Zaczęli rozmawiać o podróżach w czasie. Jedni czytali o tym w literaturze fantastycznej, inni nie czytali, ale słyszeli.

Nagle Udałowowi wpadła do głowy interesująca myśl.

- Minie jakieś sto lat - powiedział on - i taka podróż stanie się całkiem powszednią możliwością. Wszak dla nauki nie istnieją żadne bariery. Turyści będą jeździć, naukowcy, podróżnicy. Powstanie masowy ruch w czasie, a życie stanie się do tego stopnia interesujące, że nawet nam się nie śniło. Powiedzmy, że uczniowie będą mieli chęć dowiedzieć się, jak tam było w starożytnym Egipcie. Nauczyciel przyciska guzik i już cała klasa gości u cesarzowej Kleopatry. Badajcie, powiada, dzieci, naszą mroczną przeszłość.

- To całkiem prawdopodobne - odparł Łożkin. - Trzeba będzie tylko ściśle przestrzegać zasad ruchu. Czytałem, co się dzieje, kiedy takie przepisy pogwałcić. W okresie mezozoicznym jeden zagapił się i rozdeptał motyla, a w rezultacie w Ameryce wybrali całkiem innego prezydenta.

Zamilkli. Pomyśleli. Potem Grubin powiedział:

- Tu nie ma żadnych wątpliwości. Gdyby takich zasad nie przestrzegali, to byśmy już tych

gości z przyszłych lat nieraz spotkali u siebie. Jakbyś się nie maskował, natura zawsze zdradzi. Zdradzi wychowanie, nieznamość jakiegoś drobiazgu, o którym wszyscy pozostali doskonale wiedzą. Skąd taki przybysz może na przykład wiedzieć, które miejsce zajmuje w lidze obwodowej nasza drużyna piłkarska?

- Szóste - odpowiedzieli chórem Pogosjan, Udałow i Wasilij Wasiljewicz.

- Widzicie - ucieszył się Grubin. - Na tym nas nie można złapać. A on by nie wiedział, bo już za sto lat odpowiednie dokumenty zostaną zniszczone.

- Ja też nie wiem - powiedział stary Łożkin. - Nie wiem nawet, która drużyna zajmuje pierwsze miejsce.

- "Metalowiec" z Serdobolska - wyjaśnił Pogosjan, Udałow i Wasilij Wasiljewicz.

- A ja nie wiem - upierał się Łożkin. - To znaczy, że ja także jestem podróżnikiem w czasie?

- Całkiem możliwe - rzekł Pogosjan i popatrzył surowo na Łożkina. - W tej kwestii nikomu nie wolno wierzyć.

- Nie bój się, Łożkin - wtrącił się zacny Grubin. - My ciebie znamy. W razie czego zaświadczymy, gdzie trzeba.

- Jeśli ktoś nie jest naszym człowiekiem, to Pogosjanowska żona, Berta - powiedział na to Udałow. - Wczoraj ciągnęła za ucho mojego Maksymka. Swój człowiek tak nie postępuje.

- Zasłużył sobie - powiedział Pogosjan. - Szybę rozbił. Teraz nie będzie więcej chuliganów.

- Gdybym spotkał przybysza z przyszłości - powiedział Grubin - od razu .bym mu zadał jakieś dwa lub trzy pytania.

- Nie zobaczysz żadnego przybysza - powiedział Pogosjan. - Co kulturalnego człowieka może zainteresować w naszej mieścinie?

- Jakże głęboko się mylisz! - wykrzyknął Łożkin. - Dzisiaj nasze miasto stanowi przedmiot zainteresowania w skali ogólnozwiązkowej. Z jednej strony mija siedemset pięćdziesiąt lat, z drugiej mamy odsłonięcie pomnika, to znaczy ktoś w górze oddał sprawiedliwość naszej wspaniałej przeszłości. Gości najechało ze wszystkich stron. Moskwa przez radio nadawała. Ja bym na miejscu potomków nie zastanawiał się ani przez chwilę, dokąd się wybrać na wycieczkę.

- Korneliusz! - zawołała przez okno Ksenia Udałowa. - Jesteśmy gotowe. Płaszcz weźmiesz?

- Nie wezmę!

- Deszcz się nie zapowiada - powiedział stary Łożkin. - W gazecie czytałem. A tam napisali, że wielki pisarz Pacchaweria przybył na uroczystości. Delegacja z Kamczatki. Tkaczka Fiodorowa-Dawydowa. Oczekuje się przybycia jednego z kosmonautów, którego nazwiska na razie nie podano. Nie licząc zwyczajnych turystów.

- Myślałby kto - rzucił pogardliwie Pogosjan, aby jego było na wierzchu. W rzeczywistości był szczerym, zapalonym patriotą Wielkiego Guslaru, ale o tym wiedzieli tylko jego krewniacy z Erewanu.

Stara Łożkina wyszła na dwór i zapytała:

- Długo tak będziecie gęby strzępić? Zaczną bez nas.

- Idę, słoneczko, idę - odparł Łożkin. - My tutaj przeprowadziliśmy poważną dyskusję naukową.

- Pewnie, pewnie - nie uwierzyła Łożkina.

Łożkinowie pierwsi wyszli na ulicę. Za nimi ruszyli pozostali. Wszyscy natychmiast zapomnieli o rozmowie, tylko Udałow ciągle myślał o przybyszach. Myśl o możliwości spotkania na ulicy gościa z przyszłości tak go zafrapowała, że z wielką podejrzliwością zaczął wpatrywać się we wszystkich przechodniów. Zaczął też we wszystkich dostrzegać dziwne cechy, których dawniej nie zauważał, a które mogły wskazywać na obcoplemienność, na perfidne maskowanie.

Z przeciwka szedł prowizor Sawicz z żoną, kierowniczką Domu Towarowego. Wydawałoby się, że Udałow zna Sawicza od niepamiętnych lat, ale dzisiaj łysina aptekarza błyszczała nie po ziemskiemu, a w dodatku Sawicz jakoś nienaturalnie trzymał żonę pod rękę. Może Sawicza nasłali? Ale Udałow natychmiast odpowiedział sobie: nie. Wątpliwe, aby z powodu jednej uroczystości warto było potomkom kierować rezydenta do Guslaru. Jeśli tylko Sawicza nie zastąpili sobowtórem, to Udałow zna go od jakichś dwudziestu lat. Całkiem już uspokojony powiedział:

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odparli Sawiczowie.

Przeszło czterech sportowców w błękitnych dresach. Sportowcy śpieszyli na defiladę. Udałow zrozumiał, że gość z przyszłości może skryć się wśród sportowców, a wtedy nie sposób go będzie rozpoznać. Potem jednak odrzucił tę myśl. Ludziom przyszłości trudno będzie znaleźć taki strój, a wszystkie prawdziwe dresy są zaksięgowane.

Z każdym krokiem Udałow nabierał coraz większego przekonania, że przybysz przeniknął do Guslaru i że należy koniecznie go odszukać i szczerze z nim porozmawiać. To bardzo ważne. Nikt przecież przed Udałowem nie wychodził na ulicę z zamiarem wykrycia podróżnika w czasie w tłumie najzwyczajniejszych ludzi. A nowe, chociaż proste podejście do problemu, może kryć w sobie obietnicę wielkiego odkrycia naukowego.

- Korneliusz, co się z tobą dzieje? - zapytała Ksenia. - Dlaczego zostajesz w tyle?

Korneliusz popatrzył na Ksenię i własne dzieci zupełnie nowym wzrokiem. Ich raczej nie należało podejrzewać. Z nimi wszystko było chyba w porządku. Udałow poczuł jednak, że między

nim a rodziną wyrasta mur obcości. Mężczyzna dążący do wzniosłego celu musi odrzucić powszednie troski i codzienne sprawy. Na wszelki wypadek zapytał żonę:

- Ksiusza, nie wiesz przypadkiem, które miejsce zajmuje w lidze obwodowej nasza drużyna piłkarska?

- Zwariował chłop! - odparła z przekonaniem Ksenia.

- Szóste, tatusiu, bo co? - zainteresował się ciekawski Maksymek.

- Zuch jesteś, synku - powiedział Korneliusz i zawstydził się swych podejrzeń.

- Nie odpowiedziałeś mi, co się z tobą dzieje? - zapytała z naciskiem Ksenia.

- Myślę - odparł Udałow.

- Jakoś dawno tego nie robiłeś - odpowiedziała Ksenia. - Patrz pod nogi, bo się przewrócisz.

Na skraju placu stały kioski z napojami chłodzącymi i z papierosami. Dopiero co postawiona trybuna wznosiła się przed pomnikiem spowitym w brezent. Ksenia zatrzymała się na widok Raisy Siemionowny, rejonowej lekarki. Zapragnęła w prywatnej niejako atmosferze omówić z nią wyniki swoich ostatnich analiz. Raisa Siemionowha ze wstrętem mrużyła oczy osłonięte ciemnymi okularami, ale na pytania odpowiadała, bo była związana przysięgą Hipo-kratesa. Udałow tymczasem kupił butelkę piwa i usiadł przy stoliku pokrytym błękitnym plastykiem. Te plastikowe stoliki, wyniesione ze stołówek, odgrywały rolę kawiarni na świeżym powietrzu.

Przy stoliku siedziało już dwóch kierowców autobusowych, którzy przywieźli turystów. Kierowcy klęli na czym świat stoi jakiegoś sierżanta ze sto dziesiątego kilometra. Udałow poczęstował kierowców papierosami i również trochę powymyślał sierżantowi, którego nigdy na oczy nie widział. Podtrzymywał w ten sposób rozmowę.

Ale tylko znikoma część świadomości Korneliusza zaprzątnięta była rozmową z szoferami. Jego oczy myszkowały po placu, przeskakiwały z jednej grupy ludzi na drugą, bo nie było czasu do stracenia. Jak dzisiaj człowiek przegapi przybysza, to nigdy więcej go już nie dopadnie.

W przejściu między stolikami zjawił się niemłody mężczyzna. Trzymał w ręku butelkę i szklankę, poruszał się niepewnie i nie mógł znaleźć wolnego miejsca. Udałowa coś ukłuło w serce. Szósty, siódmy, ósmy zmysł nakazał mu: "Spokojnie, Udałow. To on".

- Przysiądź się do nas - jakby zgadując myśli Udałowa powiedział jeden z kierowców, ten, który miał na imię Kola.

I w tej samej chwili malutki, znikomy, niezauważalny dla innych szczegół rzucił się Korneliuszowi w oczy: mężczyzna siadając nie podciągnął do góry nogawek, jak to robi każdy człowiek, któremu zależy na zachowaniu kantów. Korneliusz zastrygł uszami i wpił się wzrokiem w twarz przybysza. Twarz była nazbyt zwyczajna. Ani zanadto gładka, ani zbyt pomarszczona. Niczym maska. Mężczyzna trzymał pod pachą czarną, zniszczoną teczkę z mosiężnym zamkiem. Z

teczki wystawały rękawy czerwonego swetra czy bluzy. Spodnie turysty były trochę za krótkie i wymięte. Jak z młodszego brata. Między przyszwą wysokich kamaszy a mankietem spodni widniały kraciaste skarpetki. Oczy kryły się za przydymionymi szklami.

Ów mężczyzna mógł okazać się jedyną szansą. Korneliusz patrzył na jego zwyczajne, wygolone policzki i czekał, co powie przybysz. Przecież nie można człowieka zapytać: "A wy z jakiego wieku naszej ery?" Turysta pił piwo małutkimi łyżkami i milczał. - No i jak wam smakuje piwo? - zapytał go szofer Kola.

- Guslarskie "Żygułowskie" - dodał Udałow. - Jeszcze przed rewolucją słynęło.

- Wiem - odparł krótko mężczyzna i uśmiechnął się nieśmiało. - Już dawno chciałem spróbować.

- A wy skąd jesteście? - zapytał szofer Kola.

- Z Moskwy - odparł mężczyzna. - Umyślnie przyjechałem.

"Słusznie - pomyślał Udałow. - O Wołogdzie mówić nie powinien, bo mogą się znaleźć świadkowie. A Moskwa duża".

- Mają ludzie zdrowie - powiedział starszy z kierowców. - U was w Moskwie pomników brakuje, czy co?

"Zuch - pochwalił go Udałow w myśli. - Idzie mi na rękę".

- Pomniki bywają różne, towarzyszu - odparł mężczyzna. - Ja od wielu lat studiuje historię rosyjskiej północy, historię podboju Uralu i Syberii. Ten pomnik bardzo wiele mówi. Od dawna czekałem na jego odsłonięcie. Ale jakoś nigdy dotąd nie mogłem się wybrać.

- Gdybyście wybrali się wcześniej, pomnika by nie było.

Ale podróżnik w czasie nie dał się zaskoczyć. Odpowiedział natychmiast i to prawie bez akcentu:

- Ten pomnik powinien być stanąć wiele lat temu i w mojej wyobraźni istniał już od dawna.

- Pasja to wielka rzecz - powiedział starszy z kierowców. - Przyniosę jeszcze trochę piwa. Nasza grupa zostaje tu na noc i sierżant nam nie straszny.

- Dziękuję, ja już nie będę pił - powiedział przybysz, ale poznał po oczach szoferów, że mają niezachwiany zamiar i wyjął z kieszeni dziesiątkę.

Nie zdążył jeszcze włożyć ręki do kieszeni, a Udałow już wiedział, że dziesiątak będzie prosto spod prasy. Wiedział też, że jeśli oddać banknot do analizy, to okaże się, że sporządzono go nie wczoraj, lecz pojutrze.

Kierowca naturalnie nie wziął pieniędzy, przyniósł pół tuzina butelek i kiedy piwo już się skończyło, musiał biedny przybysz sam pójść do kiosku i przynieść dalsze cztery butelki.

- No i jak? - zapytał Udałow, kiedy mężczyzna, chwytając się nieco na nogach, wrócił do

stolika. Sprzedawczyni niczego nie zauważyła?

- A co miała zauważyć? - zapytał mężczyzna i zaczął świdrować Udałowa przenikliwym spojrzeniem zza okularów. Udałow zmieszał się.

- Nic - odparł. - Żartowałem.

- Na jakież to temat był pan uprzejmy żartować, jeśli wolno spytać?

“Ale charakter mają ci nasi potomkowie!” - pomyślał Udałow, ale nie powiedział tego na głos i zaczął się wykręcać.

- Jest taki dowcip - powiedział. - Dwóch facetów postanowiło robić fałszywe pieniądze. Zrobili banknot czterorublowy. Poszli do sąsiada, żeby im rozmienił. Sąsiad wziął czterorubłówkę i dał w zamian dwa papierki po dwa ruble.

Nikt się nie roześmiał, tylko starszy kierowca zapytał:

- A banknoty czterorublowe bywają?

- Nie! - odparł twardo podróżnik w czasie. - Wiem z całą pewnością, że Radziecki Bank Emisyjny nie wypuszczał i nie wypuszcza banknotów w odcinkach dwu-i czterorublowych.

- Za zdrowie ministra finansów! - zaproponował Kola. - Aby i nadal nie mącił nam w głowie i wypłacał pensje dziesiątkami.

- Nowiutkimi - wtrącił Udałow.

- Nam bez różnicy, stare czy nowe - odparł Kola.

- Ach, o to wam chodzi? - domyślił się mężczyzna. - Mam dużo nowych papierków. Przed samym odjazdem dostałem premię.

Wyjął z kieszeni plik nowiutkich, lśniących banknotów. Co najmniej dwadzieścia sztuk.

- Takimi właśnie mi wypłacili.

- Gdzie? - zapytał szybko Udałow.

Ale nie uzyskał odpowiedzi, bo wtrącili się kierowcy.

- Czegoś się do człowieka przyczepił? - zapytał Kola. - Gdzie należało, tam wypłacili. Nie nasza sprawa.

Gość z przyszłości patrzył na Udałowa z głęboką niechęcią i marszczył brwi. Demaskatorskie pytania były mu nie w smak.

“Nie szkodzi, jeszcze cię przyciśniemy do muru - myślał Udałow. - Znajdziemy ważne argumenty”.

Na trybunie przed pomnikiem pojawili się ojcowie miasta i goście honorowi. Towarzysz Biełow podszedł do mikrofonu. Ludzie nadstawili uszu.

- Pójdę już. Dziękuję - powiedział przybysz.

- Ja z wami - rzekł Udałow.

- Obejdę się bez waszego towarzystwa - odparł mężczyzna, błysnął okularami i zaczął bokiem, niczym krab, przeciskać się w pobliże trybuny.

- Daj ty mu wreszcie spokój - powiedział szofer Kola. - Niech sobie spaceruje.

- Trzeba - zamknął dyskusję Udałow. - To nie nasz człowiek.

Natychmiast tego zresztą pożałował, bo obudził ciekawość kierowców.

- W jakim sensie nie nasz? - zapytał starszy z nich. - Nie bądź, bracie, taki tajemniczy!

- Mam pewne podejrzenia - odparł Udałow i dał nura w tłum, aby dopędzić przybysza. W głowie mu szumiało od wypitego piwa, chętnie by poleżał na trawce, ale nie mógł sobie na to pozwolić, gdyż od całkowitego zdemaskowania potomka dzielił go tylko jeden krok.

- Korneliusz! - zawołała Ksenia, dojrawszy w tłumie jego łysinę. - Dokąd to?!

Na szczęście akurat wtedy towarzysz Bielow dał znak ręką, orkiestra dęta huknęła, brezent opadł i obnażył spiżowy Pomnik Odkrywcy.

Nagle Udałow ujrzał wprost przed sobą plecy przybysza, który nie zauważył zbliżającej się pogoni, gdyż był właśnie zajęty. Zapisywał mianowicie dane wywiadowcze. Udałow uprzejmie zaczekał, aż mężczyzna skończy notatki, bo szpieg i tak nie miał dokąd uciekać.

Wreszcie przemówienia skończyły się, przybysz schował notes do teczki i wtedy dopiero Udałow trącił go delikatnie w ramię.

- Wy tutaj? - zdumiał się mężczyzna. - O co chodzi?

- O to, żebyście się do wszystkiego szczerze przyznali.

- Zdumiewacie mnie - odparł przybysz i spróbował zniknąć w tłumie.

Ale Udałow trzymał go mocno za połą marynarki.

- Zrozumcie - powiedział - że wy tam wszyscy powinniście być niezmiernie humanitarni i rozumni. No więc jak już wpadłeś, to przynajmniej sobie trochę porozmawiamy.

- Dlaczego wam się wydaje, że jesteśmy humanitarni i rozumni? - zdziwił się przybysz. - Gdzie to wyczytaliście?

- Zakładam - odparł Udałow. - Bo inaczej nie byłoby sensu żyć na tym świecie.

- Bardzo szlachetny punkt widzenia - powiedział przybysz - ale do mnie się nie odnosi. Jestem zwykłym egoistą, który bez najmniejszego pożytku dla innych przeżył większość swoich lat... Egoistą, który kocha pieniądze i nie kocha własnej żony. Zapewniam was, że mówię najszczerzą prawdę.

- Dobra, dobra! Wszędzie trafiają się kaleki moralne. Jako wyjątki potwierdzające regułę - powiedział Udałow. - Chciałbym do was przyjechać.

- No to przyjeżdżajcie - powiedział przybysz.

- No to przyjadę - rzekł Udałow.

- Osiedlić się? - zapytał przybysz.

- Tak. Albo czasowo.

- Wielu chce - powiedział przybysz. Nastąpiła pauza. Udałow pragnął coś jeszcze powiedzieć, dać dowód gościnności, nawiązać serdeczny kontakt.

- A u nas tu okolica też nie najbrzydsza - powiedział w końcu. - Tereny wprost zachwycające. Las, wzgórza, polowanie na cietrzewie.

- Polowanie jest wielkim okrucieństwem - powiedział gość z przyszłości. - Zwierzęta należy chronić, starać się zrozumieć, a nie wyniszczać.

- Słusznie - poparł go Udałow, który w zeszłym tygodniu wybierał się na polowanie, ale zaspał i myśliwi udali się na łowy bez niego. - Całkowicie się z wami zgadzam. Co innego posiedzieć sobie z wędką...

- A jaka różnica? - zapytał surowo przybysz. - Czy ryba nie chce żyć?

- Pewnie, że chce - westchnął Udałow.

I znów nastąpiła pauza. Kontakt nie wychodził. Mężczyzna w roztargnieniu przysłuchiwał się oracjom i rozglądał dokoła, wypatrując w tłumie drogi ucieczki.

- Ale wielu porządnych ludzi - powiedział wreszcie Udałow - było zapalonymi myśliwymi. Weźcie na przykład Turgieniewa. To zeszło-wieczny literat, autor książki "Zapiski myśliwego".

- Czytałem - odparł przybysz. - A jednak mordowanie żywych istot jest amoralne!

- On baptysta, czy co? - rozległ się głos za plecami Udałowa.

Udałow odwrócił się i zobaczył szofera Kola, który powodowany ciekawością i chęcią udzielenia pomocy Korneliuszowi w jego łowach na obcego człowieka, przecisnął się pod trybuna i słyszał całą rozmowę.

Przybysz błysnął okularami i odparł:

- Jeśli chcecie się dowiedzieć, czy mam ideały - odpowiem, że mam. Jeśli macie na myśli wiarę w jakiegoś Boga, to nie.

- Sam pewnie schaboszczakiem się zażera - powiedział Kola do Udałowa, wyjął paczkę "Bielomorów" i zapalił. - A szerzy szeptaną propagandę przeciwko hodgwl.

Przybysz z przyszłości nie był dość silny, aby walczyć z dwoma przeciwnikami naraz. Wywinął się więc i ze zręcznością, zadziwiającą u człowieka w jego wieku, prześlizgnął się pod łokciem sąsiada, dał nura w tłum i zaczął przedzierać się ku skrajowi placu. Udałow chciał pogonić za nim, ale szofer Kola, który wyraźnie nadużył piwa, puścił mu w twarz kłąb dymu i powiedział zdecydowanie:

- Nie wygłupiaj się, nie pędź za człowiekiem. Wytłumacz lepiej, co w nim takiego jest? Sam czuję, że nie to, ale nie potrafię sformułować.

- Ee... tam, takie tam prywatne sprawy -spróbował wykręcić się Udałow.

- Nie, tak nie da rady - odparł Kola - gadaj!

Trzymał Udałowa mocno za klapy, ludzie zaczęli się już na nich spoglądać i Udałow, lękając się awantury, powiedział:

- Chodźmy stąd.

- Chodźmy - zgodził się Kola.

Wydostali się z tłumu. Piwo bulgotało w głowie. Przybysza nie było widać. Pogoń za człowiekiem z przyszłości nie powiodła się. Chociaż było całkiem możliwe, że on wcale nie przyjechał z przyszłości.

Udałow, całkiem już zrezygnowany, wziął od Koli papierosa i opowiedział mu uczciwie, jak na spowiedzi, o wszystkich swoich podejrzeniach.

Kola okazał się niegłupi. Zrozumiał zasadniczą ideę, ale odniósł się do niej krytycznie. Miał wątpliwości podobne do tych, które wysuwał Pogosjan:

- Po co niby człowiek miałby wlec się z przyszłości do Guslaru, nawet w święto?

- Nic nie rozumiesz - powiedział Udałow, opierając się o szeroką, woniejącą benzyną pierś kierowcy. - Chociaż jesteś moim przyjacielem, to jednak nie rozumiesz, jaką dzisiaj szansę straciliśmy. Przecież mogliśmy go o wszystko wypytać.

Kola popatrzył na Udałowa ze współczuciem, przesunął na czubek głowy ośmiokątną, estońską czapkę, wypluł niedopałek i powiedział:

- A ty się, stary, nie przejmuj. Jeśli będzie trzeba, twój Kola każdego chojraka potrafi przyprzeć do ściany. On cię skrzywdził? Skrzywdził, nie mów, że nie! To go znajdziemy i przyciśniemy. Ty tylko Mikołajowi powiedz. Powiedz, a zaraz przyprzemy. Idziemy łapać tego szpiega.

Przyjaciół Mikołaj szedł przodem nie bardzo pewnym, zamaszystym krokiem. Udałow dreptał z tyłu i mamrotał:

- Źle mnie zrozumiałeś, Kola. On mnie nie skrzywdził. Z nim tak nie wolno...

- Nie zostawaj w tyle - powiedział Kola. - Jego już od dawna szukają. W notesiku zapisywał, a mięsa nie je. Zaraz my go o wszystko wypytamy! Nie wykręci się.

Gość z przyszłości uciekł w stronę rzeki, pod mury wielkiego soboru. Dotarł do zielonej ławki ustawionej na skwerze, usiadł i znowu otworzył swój notes. Z ławeczki nie było widać placu. Docierał do niej jedynie odległy gwar głosów i poszczególne słowa oratorów, wzmocnione przez gigantofony. Ale okrężna droga wybrana na chybił trafił przez Kolę i Udałowa doprowadziła ich właśnie do skwerku. Właśnie do tej ławki.

Na widok prześladowców przybysz wepchnął notes do kieszeni, złapał teczkę i chciał

zniknąć. Ale Kola go rozpoznał.

- Stój! - powiedział. - Ręce do góry! Nie próbuj uciekać!

- Ani mi się śni - odparł z godnością przybysz. - Jeśli potrzebujecie pieniędzy, weźcie, ile trzeba. Ja mam skromne potrzeby.

Chciał wyjąć swoje nowiutkie banknoty, ale Udałow powstrzymał go gestem.

- Nie jesteśmy rabusiami - powiedział. - Źle nas zrozumieliście.

- Nie jesteśmy rabusiami - powiedział Kola. - Nas nie da rady przekupić. My cią zdemaskowaliśmy. Zjawiłeś się do nas z przyszłości. Przyznaj się!

Udałow spojrział na Kolę z wyrzutem. Taka bezpośredniość mogła wszystko zepsuć.

- To nieprawda - odparł przybysz. - Wy mi tego nigdy nie udowodnicie.

- Wcale nie musimy ci tego dowodzić - powiedział Kola. - Zaraz cię zrewidujemy i znajdziemy fałszywe dokumenty.

- Nie mam przy sobie dokumentów - powiedział przybysz. - Zostawiłem je w hotelu.

- Oni nie biorą ze sobą dokumentów - zgodził się Udałow. - To nawet całkiem rozsądne.

Może zresztą wtedy już nie będzie dokumentów.

- To już wszystko? - zapytał przybysz. - Mogę sobie iść?

- Przyznasz się, to pójdziesz - odparł Kola.

- Zastanówcie się - przekonywał Udałow. - Czy to warto tak się upierać? My tracimy czas, wy tracicie czas. A my się wami interesujemy wyłącznie z naukowego punktu widzenia. I z żadnego innego.

- Tak jest - powiedział Kola. - Nas forsa nie zblatujesz.

Przybysz zmarszczył brwi i nad czymś się zastanawiał. Widać zrozumiał, że nie zdoła uciec i że lepiej będzie istotnie szczerze się do wszystkiego przyznać, a potem pójść swoją drogą.

- No! - ponaglał go Udałow. - Z jakiego jesteście wieku?

Przybysz westchnął głęboko. Spod przydymionych szkieł potoczyły się łzy.

W tej samej chwili dwie dziewczyny w spodniach i kolorowych bluzeczkach pojawiły się na stopniach soboru.

- Ach - powiedziała jedna z nich, nie zauważając dramatycznej sceny. - Jakie zachwycające siedemnastowieczne freski! Jaka ekspresja!..

- A piec z malowanych kafli? Widziałas, Nelli, ten cudowny piec?

- Widziałam. Patrz, kto tam jest na dole! Dziewczęta zbiegły ze schodów i podeszły do mężczyzn.

- Sergiuszu Piotrowiczu! - szczebiotały jedna przez drugą. - Mieliście całkowitą, absolutną rację! Sąd Ostateczny ma niekanoniczną kompozycję! Guslarska szkoła istniała! Rappa-port

poniósł klęskę!

“Sprowadził posiłki przy pomocy telepatii - pomyślał Udałow. - Teraz ich jest troje, a nas tylko dwóch. A te dziewczyny to może nawet nie dziewczyny, tylko milicjanci”.

- Co za szczęście! - wykrzyknął przybysz. - A ja już straciłem nadzieję, że was tu zobaczę!

- Grożą wam? - zapytała podejrzliwie jedna z dziewcząt, wwiercając się wzrokiem w Udałowa.

- Nic podobnego! - powiedział szofer Kola i pociągnął Udałowa za rękaw.

- Zaraz wszyscy nasi tu będą - powiedziała dziewczyna.

“Ilu ich tu jest? - pomyślał Udałow. - Przecież, jeśli wydam im się niebezpieczny, mogą mnie zlikwidować”.

I rzeczywiście, w drzwiach świątyni ukazali się pozostali, co najmniej dziesięciu ludzi z aparatami fotograficznymi, notesami i kamerami filmowymi, wysocy i niscy, młodzi i starzy, a razem z nimi Helena Siergiejewna z miejskiego muzeum.

“Oj, niedobrze” - pomyślał Udałow, posłusznie wycofując się w ślad za Kola.

- A oto i profesor! - wykrzyknął jeden z przybyszów.

- Wydział historii sztuki rad jest powitać swojego szefa przy tych starożytnych murach.

- Sergiusz Piotrowicz!

- Sergiusz Piotrowicz! - sypało się ze wszystkich stron.

- Szanujecie swojego profesora? - zainteresował się Kola.

- Pewnie - powiedziała dziewczyna. - On nas wszystkich wychował! Jego cały świat zna!

Oddalając się w wianuszku swych uczniów i współpracowników, profesor obejrzał się i mrugnął do Udałowa. Cieszył się, że zdołał się pozbyć namolnych wariatów.

Udałow poczuł do niego głęboką wdzięczność. Przecież uczony mógł zawołać milicję. Opadł na ławkę i zwiesił głowę. Kola usiadł obok niego, zapalił nowego papierosa i powiedział:

- Nie poszczyliło się nam, przyjacielu Korneliuszu. Ale pomysł miałeś obiecujący.

- Trzeba o nim jak najprędzej zapomnieć. Bądź człowiekiem i nikomu o tym ani słowa.

- Co tam ja, siądę za kółko i tyle mnie widzieli. A ty na co liczyłeś? Gdyby on rzeczywiście był stamtąd?

- No, żeby opowiedział nam o świetlanej przyszłości.

- Taaak - przeciągnął Kola. - Pójdę już. Niezły jesteś' chłop, tylko masz trochę nierówno pod sufitem. Już w szkole nas uczyli, że takich podróży nie może być. Masz tu na pamiątkę! - wsunął coś Korneliuszowi do górnej kieszonki marynarki i odszedł. Obejrzał się, pomachał-ręką i uśmiechnął się przyjaźnie.

Udałow nie kwapił się z powrotem na plac. Polowanie na profesora mógł zobaczyć ktoś ze

znajomych. Nieładnie. Sięgnął do kieszeni, żeby sprawdzić, co też szofer Kola zostawił mu na pamiątkę. Była to kartka papieru, kalendarzyk formatu karty do gry, jakie ludzie przezorni noszą na wszelki wypadek w portfelach. Na górze kalendarzyka widniał złoty napis: "KALENDARZ NA ROK 2075".

Na odwrocie kartki był obrazek - miasto z długimi domami, nad nimi unoszą się aparaty latające i świeci słońce. Obrazek był przestrzenny i mikroskopijne listeczki na drzewach leciutko szeleściły w powiewie wietrzyku przyszłości.

- Stój! - krzyknął Udałow w pustkę. -Potem powiedział: - Ech, Kola!

Pod obrazkiem nagle pojawił się napis:

"Pomysł miałeś dobry, ale później się omyliłeś. Nie miej do mnie żalu".

Udałow nigdy już nie zobaczył szofera Koli.

Przełożył TADEUSZ GOSK

WZAJEMNOŚĆ

Misza Standal wstydził się bardzo sterczeć pod> oknami Aleny Wiszniak, ale w żaden sposób nie potrafił się od tego powstrzymać. Księżyc już wzeszedł i teraz skradał się nad Wielkim Guslarem, nurkując w półprzezroczyste chmury i odrzucając je do tyłu niczym muślinowy tren, aby potem ukazać się światu w srebrzystej nagości. Poszczekiwały psy. Obok, po drugiej stronie parkanu miarowo dyszała Antarktyda, zła suka należąca do ciotki Aleny. Antarktyda nie szczekała, usiłowała tylko precyzyjnie przycisnąć pysk przez szczeliny między sztachetami i odgryźć Miszy rękę.

Z okna padało na zarośla niepokojące, pomarańczowe światło. Ową niecodzienną poświatą rzucała lampa z abażurem, wisząca nisko nad stołem. Ciotka siedziała plecami do okna i piła herbatę. Alena czytała. Kiedy przewracała stronicę, poprawiała jednocześnie kosmyk włosów spadający na czoło, a Misza zachwycał się gestem ręki i kolorem kosmyka. Raz Alena w zamyśleniu odwróciła się do okna i Miszy wydało się, że ich spojrzenia spotkały się. Natychmiast osłabł i chwycił się parkanu. Zdążył jednak cofnąć rękę i Antarktyda kłapnęła jedynie zębami.

Ciotka poruszyła głową. Widocznie powiedziała coś do Aleny. Alena przesunęła dłonią po książce, żeby się nie zamknęła, wstała i ruszyła do drzwi. Misza cofnął się o krok. Trzasnęły drzwi, Alena wyszła na ganek i brzęknęła rączką wiadra. Antarktyda zawyla i trzema susami znalazła się przy ganku. W jej skomleniu Misza wyraźnie usłyszał plotkarską obmowę. Alena jednak nie zrozumiała. Powiedziała tylko:

- Pójdiesz ze mną do pompy?

Patrząc na sylwetkę Aleny, Misza czuł, że wiążą go z nią mocne nici gorącego uczucia. Pojmował nawet, że w jego nastrojach nastąpił moment tak krytyczny, że gotów jest podejść do dziewczyny i oświadczyć się. Przeszkadzała mu w tym zła suka, której trudno było się pozbyć.

Kiedy Misza w ten sposób rozmyślał, Alena podeszła do furtki i odsunęła rygiel. Jej cień wyrysował się ostro w prostokącie pomarańczowego światła. Antarktyda, nie czekając, aż furtka otworzy się całkowicie, wyskoczyła na ulicę, rzuciła się na Standala, chwyciła go za rękaw i zaczęła ciągnąć w kierunku Aleny. Misza opierał się. Alena rozpoznała łup Antarktydy i powiedziała:

- To wy, Misza? Prawie się przestraszyłam. Co wy tu robicie o tak późnej porze?

Misza w obecności Aleny krępował się walczyć z suką, starał się więc tylko tak trzymać rękę, żeby Antarktyda nie rozerwała mu rękawa.

- Przechodziłem tędy - odpowiedział.

Pies warknął głośniej, zarzucając Miszy kłamstwo.

- Dokąd to szliście? - zapytała Alena.

- Niedaleko, do sąsiedniego domu. Po prostu spacerowałem.

- Puść go, Anka - powiedziała Alena do suki. - On po prostu spacerował.

Alena poszła w stronę pompy. Pies nie puszczał Miszy, lecz prowadził go za swoją panią.

W takiej sytuacji Misza zdecydował się kontynuować rozmowę.

- Chciałem was zobaczyć - powiedział. - Zatrzymałem się pod waszymi oknami.

- Zachowujecie się nieprzyzwoicie - oświadczyła Alena. - Wczoraj też peszyliście mnie swoimi spojrzeniami.

- Przepraszam - powiedział Misza. - Ja nienaumyślnie. Po prostu nie mogłem oczu oderwać.

- Nie dawałam wam żadnego powodu - powiedziała Alena. Następnie powiesiła wiadro na haku i zaczęła pompować wodę.

- Pozwólcie, że wam pomogę - powiedział Misza zapominając o psie.

- Jak chcecie - odrzekła Alena i wyprostowała się, ustępując mu miejsca. Misza pompował wodę, a pies zwisał mu na rękę. Musiał wobec tego pompując wodę jednocześnie podnosić i opuszczać psa. Alena patrzyła na księżyc.

- Chcielibyście znaleźć się tam? - zapytała.

- Powiedzcie swojej suce, żeby mnie puściła.

- Oj, jak śmiesznie - powiedziała Alena. - Anka, ile razy mam ci powtarzać? Widzicie, że ona mnie nie słucha. Będę musiała sama dopompować.

- Wiadro już dawno jest pełne - powiedział Misza. - Pompuję tylko po to, żeby was tu jak najdłużej zatrzymać.

- Dziwak - powiedziała Alena. - Dobranoc. I bądźcie uprzejmi nie włączyc się za mną więcej. Jeśli ciocia się dowie, postara się o to, żeby was usunęli z pracy.

- Drobiazg - powiedział Misza. - Nie zależy mi na tej pracy. - Szli z powrotem ku furtce.

Misza w jednej ręce niósł wiadro, a z drugiej zwisała mu suka.

- Jeszcze raz dobranoc - powiedziała Alena. - I zapamiętajcie sobie, że choć Anka jest zwykłą kundlicą, to potrafi człowieka zagryźć na śmierć. Następnym razem może was chwycić za gardło.

- Smutno mi bez was - odparł Standał. Antarktyda puściła Misze i wślizgnęła się do ogródka.

Misza poczekał, aż za Alena zamkną się drzwi i poszedł sobie. Postanowił, że nie zwlekając uda się do Głumuszki.

Głumuszka mieszkała za tartakiem na skraju starej poręby, w domu, który niegdyś jeszcze przed rewolucją należał do gajowego. Z biegiem lat gajowy, podążając za lasem, przeniósł się o

jakieś dziesięć kilometrów za miasto, a w domu zmieniali się przypadkowi gospodarze, póki nie rzucili go na pastwę losu. I wtedy zamieszkała w nim Głumuszka.

Nikt nie wiedział, skąd przyszła i co dawniej robiła. Mieszkała w ruderze już drugi rok, żywiła się byle czym, do cerkwi i na cmentarz nie chodziła, zbierała butelki pozostawione w lasku podczas sobotnich pikników i odnosiła je do punktu skupu na bazarze.

Początkowo na Głumuszkę nikt nie zwracał uwagi. Raz tylko zajrzała do niej urzędniczka z ubezpieczalni, żeby zapytać o jej emeryturę, ale Głumuszka do emerytury nie miała żadnych uprawnień, a w dodatku powiedziała, że co miesiąc otrzymuje przekaz z Wołogdy, od siostrzenicy, co było nieprawdą. Głumuszka lubiła włóczyć się po lesie i zapuszczała się daleko, aż za Konopatówkę, a nawet za Sidorowskie Bagna. Zbierała zioła i grzyby. Kiedyś wyleczyła Miłowidową krowę, na której weterynarz już postawił krzyżyk. Potem zdarzyło się, że przyszła do biura tartaku i powiedziała strażnikowi, że nocą zostanie podjęta próba wywiezienia ciężarówki desek. Strażnik nie uwierzył, ale jednak trochę się zdenerwował, w związku z czym nie mógł zasnąć i zatrzymał półtoratonówkę z deskami. Otrzymał za to pochwałę, a o Głumuszcze opowiedział żonie. Żona z kolei spotkała kiedyś Głumuszkę na drodze i zapytała ją, co urodzi córka - chłopca czy dziewczynkę. Głumuszka poprosiła o dwa dni zwłoki i powiedziała, że chłopca. Syna nazwano Jurą, a żona strażnika przyniosła Głumuszcze mendel jaj.

Tak rosła sława. Sława niezbyt trwała i niepewna, gdyż wraz ze wzrostem liczebności miłośników Głumuszkińskiego talentu mnożyli się również wrogowie, zawistnicy i sceptycy. Kontrowersje wokół jej osoby nasiliły się zwłaszcza po tym, kiedy Głumuszka, jak ludzie powiadali, skłoniła do małżeństwa ze Stołypinem przyjeżdżną kobietę, która miała narzeczonego w Ar-changielsku. Stołypin, kierowca z tartaku, zaprzeczał słuchom, że dostał od Głumuszki lubczyk, ale im uporczywiej zaprzeczał, tym mniej ludzie wierzyli. A młoda żona świata poza nim nie widziała.

Do Głumuszki biegały sprzedawczynie z Domu Towarowego, uczennice i uczniowie dziesiątej klasy, niektóre staruszki i gospodynie domowe. Pod osłoną nocy do jej okienka pukali również mężczyźni. Głumuszka z wolna omotała miasto Wielki Guslar swoim czarnoksięstwem, ale nikomu nie udało się złapać jej na gorącym uczynku. Kiedy do starej przyszło dwóch aktywistów z kółka ateistycznego i zażądało, aby za godziwą opłatą przygotowała im środek przeciwko miejscowemu popowi, odpowiedziała im tak:

- Niepotrzebnie się wygłupiacie. Nie jestem czarownicą, a tym bardziej znachorką. Wstyd nawet wysłuchiwać takich propozycji od ludzi na pierwszy rzut oka kulturalnych. Idźcie z Bogiem, bo doniosę waszej dyrekcji.

Aktywiści musieli odejść z niczym.

Misza Standal, rzecz oczywista, odnosił się sceptycznie do opowiadań o umiejętnościach starej. Kiedyś nawet zaproponował redaktorowi swojej gazety napisanie materiału demaskującego szarlatanę, ale redaktor odrzucił do tyłu rzeźbioną, masywną głowę i odradził. Wytłumaczył przy tym, że starucha nie stwarza zagrożenia społecznego, a gazecie nie uchodzi zajmować się babskimi plotkami. Zaciekawiony tym wszystkim Misza wypytał konfidencjonalnie grono znajomych i nawet spotkał się z pewną niewiastą w średnim wieku, utrzymującą, że Głumuszka pogodziła ją z mężem. Niewiasta pracowała na stanowisku bibliotekarki w Technikum Rzecznym i trudno ją było posądzać o nadmierną zabobonność.

Misza uspokoił się, zapomniał o Głumuszce, zepchnął ją na samo dno świadomości. Niewykluczone, że Standal, nieetatowy publicysta gazety miejskiej, nigdy by już o czarownicy nie wspomniął, gdyby w odwiedziny do ciotki nie przyjechała Alena Wiszniak, mistrzyni sportu w tenisie, finalistka ogólnozwiązkowa mistrzostw w deblu, blondynka o czarnych oczach, w której natychmiast beznadziejnie się zakochał. Standal był mężczyzną o wyglądzie całkowicie niesportowym i nawet nie lubił chodzić na plażę, gdyż wstydził się swej białej cery i miękkiego brzucha. Poza tym nosił okulary i przypominał młodego Gribojedowa.

Misza przedsięwziął kilka prób zbliżenia się do Aleny Wiszniak. Przeczytał nawet w tym celu książkę o tenisie i zaprenumerował czasopismo "Tenis". Przeprowadził też z Aleną wywiad, który nie ukazał się w gazecie, gdyż akurat zbliżały się pielienia i sianokosy oraz mistrzostwa świata w piłce nożnej. Chodził za Aleną po ulicach i gapił się na nią w miejscach publicznych, niewiele jadł i w swych korespondencjach mylił oczywiste fakty.

Misza Standal, człowiek inteligentny i zrównoważony, absolwent Uniwersytetu Leningradzkiego zapisał bardzo złymi rymami gruby brulion, schudł, wpadł w rozpacz i postanowił wreszcie pójść do Głumuszki, zdając sobie doskonale sprawę z tego, jak bardzo jest to głupie i nielogiczne. Ale w życiu następuje czasem taki moment, że rozsądek schodzi na dalszy plan. Rozsądek Miszy właśnie odszedł.

Misza po raz ostatni obrócił się w stronę pomarańczowego okna, zdjął okulary, przetarł je chusteczką, rozejrzał się nerwowo na boki i ruszył ku tartakowi, udając, że spaceruje, i zagrzewając się wspomnieniami o twarzy Aleny, opromienionej srebrzystym blaskiem księżyca. Po jej twarzy przebiegały cienie chmur, oczy wydawały się czarne i bezdenne, a zęby błyszcząły, niczym odlane z księżycowej materii. Przy samym tartaku kończył się asfalt. Dalej była nierówna, gruntowa droga z głębokimi koleinami wyjeżdżonymi jeszcze podczas wiosennych roztopów. W głębi kolein pozostawała woda, a w każdej takiej kałuży odbijał się księżyc. Domki przedmieścia już spały i gapiły się ciemnymi oknami na późnego wędrowca. Latarnie stały daleko od siebie i cień Miszy

wyrastał do niesłychanej długości, potem rozdawał się, przekręcał i skracał w miarę zbliżania do następnej latarni. Za parkanami budziły się psy i wściekle obszczekiwały Misze aż do granic swoich podwórek. Miszy było nieco nieswojo, ale nie dlatego, żeby lękał się samotności, lecz raczej dlatego, że obawiał się spotkać, w tym miejscu i o tej porze, któregoś ze swych zwykłych, dziennych znajomych.

Za ostatnimi domami trzeba było skręcić z drogi w kierunku sosen. Księżyc świecił nadal. Ścieżka wiodąca do domu Głumuszki była doskonale widoczna, Misza więc bez trudu omijał korzenie podstawiane mu przez drzewa. Mimo woli przyspieszył jednak kroku i ostatnie metry, dzielące go od chatynki, przebył biegiem, jakby gonił ruszający właśnie pociąg. Dobiegł i zatrzymał się. Stał na polance. Dom Głumuszki wykrzywił się i jednym rogami zapadł w ziemię. Dranice dachu, posiwiałe ze starości, błyszcząły w świetle księżyca. Płot z nierównych kołków sprawiał wrażenie szeregu kopii, ustawionych przez wojów księżęcej drużyny. Okiennice były zamknięte, ale spoza nich przebijało mętne światło. Głumuszka nie spała, ale czy go przyjmie? A może akurat ma klienta? Misza wyobraził sobie nawet, że klientem może być ktoś z redakcji. I wtedy konsekwencje będą okropne. Przystąpił z nogi na nogę, niczym skoczek wzwyż przed rozbiegiem. Nie pobiegł jednak, lecz zaczął wolniutko skradać się na palcach, aby najpierw zajrzeć przez szczelinę w okiennicach i przekonać się, czy może bezpiecznie wejść.

Pod oknem rosły gęste łopiany i pokrzywy. Najpierw pod nogami Miszy z ogłuszającym trzaskiem złamał się patyk, a następnie sam Misza wpadł po kolana w niewidzialną jamę i w tej niewygodnej pozie znieruchomiał.

Drzwi otworzyły się.

- Wchodźcie - powiedział głos. - Nie ma co stać pod oknem.

Misza wyplątał się z łopianów i wszedł na ganek. Czuł się parszywie. Bo niby z jakiej racji włóczy się nocą po lesie i wystaje pod podejrzaną chatynką? Kto go do tego zmusza? Zaraz jednak odrzucił te myśli, gdyż kładły się brzydkim cieniem na czystym afekcie, jakim pałał do Aleny Wiszniak.

Za uchylonymi drzwiami nie było nikogo. Była jedynie niska, pusta sień, słabo oświetlona gołą żarówką zawieszona pod sufitem.

- Wycierajcie nogi - powiedział głos.

Misza posłusznie szurnął podszwami po słomiance.

Żadnych innych wskazówek nie otrzymał, popchnął więc drzwi wiodące do izby. Drzwi otworzyły się miękko i bezszelestnie. Z izby uderzyło mu w twarz jaskrawe światło, jakie bywa w szpitalach i przychodniach lekarskich. Misza znalazł się w obszernym pomieszczeniu o równych, czysto wybielonych ścianach. Pod ścianami stały ławki. Na ławkach siedzieli ludzie, którzy jak na

komendę odwrócili się w kierunku przybysza.

- Dobry wieczór - powiedział mężczyzna z zawiązanym policzkiem, w którym Misza rozpoznał Korneliusza Udałowa, kierownika komunalnego przedsiębiorstwa budowlanego. Co was tu sprowadza? Siadajcie obok, jest jeszcze trochę miejsca. Jak długo czekaliście na wizytę?

- Jaa...w ogóle nie czekałem - powiedział Misza. - Chyba sobie pójde. Wpadnę jutro.

- Jutro nie ma co - powiedział Udałow. - Jutro nie przyjmują. A ja na przykład zapisałem się trzy dni temu.

Udałow otworzył dłoń, na której widniał, wy-rysowany ołówkiem kopiowym, wielki numer dwadzieścia osiem.

- Siadajcie - powiedział. - Jeśli drzwi były otwarte, to przyjmą. Nas już niewielu zostało.

Ponieważ Standal był ostatni i dla nikogo z obecnych nie stanowił konkurencji, do Udałowa przyłączyli się pozostali pacjenci.

- Siadajcie - rozległo się ze wszystkich stron. - Ona szybko przyjmuje.

I Misza usiadł na krawędzi ławki.

W poczekalni zastał sześć osób. Były to osoby bardzo różne i najwidoczniej różne też były przyczyny, które ich tam sprowadziły. Udałowa bolał ząb.

- Was też? - zapytał Udałow.

- Nie - odparł Misza.

- A ja trzy noce nie spałem. Poszedłem do przychodni, a dentystka mówi, że trzeba rwać. Wtedy żona do mnie: "Korneliusz, Głumuszka potrafi zamawiać. Ona naszemu Pogosjanowi zamówiła. Nawet nerwu nie trzeba było usuwać". No to przyszedłem.

- A co z tym? - zapytał Misza półgłosem.

- Nie poznajecie? Ze stacji meteorologicznej.

- Ze stacji meteorologicznej?

- Co wy tam szepczecie - powiedział siedzący naprzeciw mężczyzna w kapeluszu nasuniętym nisko na oczy i z podniesionym kołnierzem płaszcza. - Ja bardzo bym prosił nie rozgłaszać!

- Jasna rzecz - zgodził się Udałow. - My tu wszyscy bez rozgłaszania. Jaki dureń się przyzna. Po prostu mój znajomy zainteresował się wami. No to mu powiedziałem, że jesteście ze stacji meteorologicznej. Nawet nazwiska nie wymieniłem.

- Wasz znajomy pracuje w naszej gazecie i całkiem możliwe, że go tu redakcja przysłała - odparł mężczyzna w kapeluszu. - Nie możemy mu zaufać.

- Z gazety? - zapytał grubas z kozłem na smyczy. - W takim razie lepiej sobie pójdziecie. Wcale nie mamy ochoty trafić do felietonu. I bez tego człowiek ma dość kłopotów. Ja się cieszę

opinią!

Kozioł zadarł brodaty pysk, lekko uniośł przednie nogi, oparł się kopytami o kolana grubasa i polizał go w brodę.

- Niech idzie - powiedziała malutka kobieta zawinięta w szarą chustę, gdy grubas odpychał kozła.

- Ja nie z ramienia gazety - zapewnił gorąco Standal. - Daję słowo honoru! Ja z własnej inicjatywy.

Obite czarną ceratą drzwi do następnej izby otworzyły się i wyszedł z nich brodaty mężczyzna z plecakiem na ramionach. - Promieniał ze szczęścia i nie widział nikogo z obecnych.

Człowiek ze stacji meteorologicznej poderwał się, pospiesznie podbiegł pod drzwi i zapytał:

- Można wejść, czy sami zaprosicie?

- Zdejmijcie kapelusz - rozległ się głos z białej izby. - I wchodźcie. Przecież nie mogę do jutra was tu przyjmować.

- Po co on tu przychodzi? - zapytał znowu Misza, gdy tylko zamknęły się drzwi za pracownikiem stacji meteorologicznej.

- Prognozy opracowuje - odparł Udałow - i skarży się na los. Dziesięć pomyłek w ciągu dwóch tygodni. Klimat nam się ostatnio okropnie zepsuł i niczego nie można być pewnym, chociaż nad głowami latają sputniki meteorologiczne.

- A co ona ma z tym wspólnego?

- Powiadają, że potrafi, a on wyzbył się już wszelkiej nadziei. Chłopi go męczą. Pytają: kosić, czy poczekać. A co on może odpowiedzieć?

- Dziwne - powiedział Misza.

- A jednak - nalegał Udałow - ciekawe, z jaką sprawą przyszliście? Mam nadzieję, że nie przysłali was z redakcji, żeby zdemaskować?

- Ja mam sprawę prywatną - odparł Misza. - A ząb bardzo was boli?

- Teraz można wytrzymać. U mnie tak zawsze. Kiedy tylko przyjdę do lekarza, ból zaraz ustaje.

- To nerwy - powiedział mężczyzna z kozłem. Kozioł naciągał smycz, bo chciał wyjść na dwór.

- A zęby to w ogóle choroba nerwowa - poparła go kobieta w szarej chusteczce. - Wrzód też.

- A wy cierpicie na wrzód żołądka? - zapytał Misza.

- Nie - odparła kobieta. - Cierpię dlatego, że córka mi się za męża wybiera. A jego jesienią biorą do wojska. Co tu mówić o zakładaniu rodziny! To znaczy, że nie jesteście z gazety?

- W ogóle to z gazety, ale teraz nie z gazety - wyjaśnił Misza.

- Jeśli potrzebujecie lubczyka powiedział mężczyzna z kozłem - to radzę zachować wyjątkową ostrożność.

- Nie, co wy - powiedział Misza i poczerwieniał.

- Jasne, że nie z gazety - powiedział mężczyzna dotychczas milczący, z wypłowiałymi brwiami, ubrany w wysokie myśliwskie buty i wataną kurtkę. - Zakochał się. Patrzaj, Iwan, on się zakochał.

Jego sąsiad, strażak, który do tej pory drzemał z kaskiem opartym o donicę z fikusem, obudził się i potwierdził.

- Spokojny, diabeł - powiedział mężczyzna w waciaku, wskazując na strażaka. - Już piąty raz przychodzi, przyzwyczał się. A ja nie, nie mogę.

- Piąty raz? - zdumiał się Udałow. - A co mu się takiego stało?

- Węza parcianego zgubił - powiedział mężczyzna w waciaku. - Często gubi rozmaite przedmioty wyposażenia przeciwpożarowego.

- I ona znajduje?

- Za każdym razem - powiedział mężczyzna w waciaku. - Poprzednio trzy gaśnice mu odszukała. Dobry z niej człowiek, serdeczny. A mnie kłusownicy zamęczyli. Tajną ścieżkę znają. No to przyszedłem, żeby mi stara powiedziała, którędy ta ścieżka biegnie. Jestem ze straży rybackiej.

Wyszedł meteorolog, szybkimi ruchami zwijając mapę synoptyczną.

- No i jak? - zapytał go mężczyzna w waciaku.

- Od jutra pogoda będzie bez opadów! I to do końca tygodnia. Przecież mówiłem! - kapelusz meteorologa przewędrował z czoła na czubek głowy, twarz mu błyszczała od potu. - Segejda nie uwzględnił antycyklonu znad Antylów. A ja mu mówiłem, że zaczepi. On na to, że za daleko. A trzeba było uwzględnić.

Jako następna zniknęła za drzwiami kobieta w szarej chuście. Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, z gabinetu zaczęło dobiegać mamrotanie, szybko wzmagające się do niewyraźnego krzyku. Widać kobiety kłóciły się. Po niespełna dwóch minutach kobieta w szarej chustce wbiegła do poczekalni, przyciskając do piersi zawiniątko z darami, które przyniosła Głumuszce.

- I nie przychodźcie do mnie więcej ze swoimi wstrętnymi propozycjami! - krzyczała za nią czarownica. - Chcecie ludzi pozbawić szczęścia? Tak? No to się wam nie uda!

- Jestem matką! - krzyknęła niewiasta na odchodnym. - Ja złożę skargę!

- Następny - powiedziała Głumuszka.

Misza nie mógł jej dojrzeć, bo drzwi otwierały się w jego stronę i dobiegał zza nich jedynie

swarliwy głos czarownicy.

- Iwan, teraz ty - powiedział mężczyzna w waciaku.

- Co zgubiliście? - zapytała Głumuszka, nie zamykając drzwi.

- Wąż gdzieś się zapodział. Porucznik mówi: ty, Sidorenkow, ostatni miałeś go w ręku. Ty, powiada, musisz go znaleźć.

- Przyjdź jutro o ósmej trzydzieści - powiedziała Głumuszka.

- Następny.

Wobec tego teraz przypada moja kolejka - powiedział mężczyzna w waciaku. Strażnik znów zapadł w drzemkę.

Niezwykłość oglądanych scen pozwoliła Standalowi zapomnieć na moment o ukochanej. Zamiast ciemnej chatynki, czarnego kota na piecu, ciężkiego, duszącego aromatu ziół i dekoktów była poczekalnia z fikusem. I synoptyk. I Iwan z węzem pożarniczym. Udając się do czarownicy, Misza Standal gardził sobą i przeklinał Alenę, która zmusiła go do podejmowania takich rozpaczliwych kroków. Ale właściwie ta haniebnosc, nienaturalność wyprawy do izdebki czarownicy łączyła się w jego świadomości z nieodwzajemnioną miłością, miłością bez wyjścia. A tymczasem znalazł zwyczajną przychodnię. Nieoficjalną, lecz powszednią różniącą się od przychodni rejonowej jedynie rodzajem dolegliwości pacjentów. Ku swojemu przerażeniu Standal zrozumiał nagle, że może uzyskać tu pomoc, ale nie wiedział już, czy istotnie tej pomocy pragnie.

- A wtedy ja jej mówię... - usłyszał nagle słowa grubasa z kozłem. - Albo ona mnie pokocha, albo będę zmuszony zwrócić się do sądu. Sytuacja bez wyjścia.

- Tak - zgodził się Udałow. - Sytuacja rzeczywiście bez wyjścia.

- Dostaję ci ja od niej lubczyk...

- Nareszcie - wymknęło się Standalowi.

- Co?

- Ja tylko tak, głośno myślałem.

Misza tymczasem myślał: wreszcie znalazł się człowiek, który nie gubił węża pożarniczego, nie interesuje się drogami cyklonów i nie poluje na kłusowników. Człowiek, który pokochał i oczekuje wzajemności.

- Dostaję ci od niej lubczyk i od razu biegnę tam. A ona na mnie z pyskiem. Wówczas powstał problem: jak ją tym lubczykiem napoić?

Z drzwi gabinetu wyszedł mężczyzna w waciaku, pogwizdując w zadumie jakąś pieśń masową. Obudził strażaka i wyszedł z nim na dwór, a do gabinetu wśliznął się Udałow. Grubas utracił wszystkich słuchaczy poza Standalem, wobec czego zapytał go:

- Mam kontynuować swoją opowieść?

- Tak, naturalnie - odparł Misza. - Ja mam taki sam problem.

- Również ona?

- Również. Ale nie słyszałem początku waszej historii i jeżeli nie weźmiecie mi tego za złe...

- Oczywiście, chętnie powtórzę. Tym bardziej że macie ten sam kłopot. Odejdź! Odejdź ode mnie! Nie lubię!

Te ostatnie słowa odnosiły się do kozła, który po psiemu łąsił się do grubasa.

- A więc mam sąsiadkę, Aidę. Cholera, jakiej świat nie widział. Stara panna, sucha jak deska i tak dalej. Nienawidzę jej, a mnie doprowadzić do nienawiści nie jest łatwo. Dwa razy w ciągu ostatniego miesiąca niszczyła graniczny parkan, pomyje wylewa tylko pod moim oknem i w dodatku prześladowuje mnie swoją pogardą. Żmija!

- To o niej mówiliście? - zapytał Standal.

- Pewnie, że o niej, żeby ją szlak trafił! Zrozumiałem, że jeszcze dzień takiej męczarni i albo trafię do domu wariatów, albo zaskarżę ją do sądu, albo posunę się do rękoczynów. I w dodatku ten przeklęty kozioł!

Grubas wskazał palcem kozła, który skorzystał z okazji i polizał go po palcu długim, szorstkim językiem.

- Ten kozioł regularnie, umyślnie wpuszczany do mojego ogrodu, zżera wszystkie plody mojej pozazawodowej pracy. Wszystkie. Przy czym najbardziej smakuje mu słabe, delikatne pędy rzadkich roślin. Poszedłem ci ja więc do tej Głumuszki i otrzymałem od niej lubczyk. Wróciłem do domu i zacząłem się zastanawiać, w jaki by tu sposób zadać ten lubczyk mojej sąsiadce, zmusić ją do tego, aby traktowała mnie po ludzku i tym sposobem położyć koniec zastarzałym waśniom...

Z drzwi gabinetu wyszedł Korneliusz Udałow, miętosząc w ręku opatrunek, z którego wystawała przybrudzona wata.

- Dziękuję, towarzyszeko doktor - powiedział do czarownicy. - Obawiałem się, że trzeba będzie rwać. A ja i tak już mam trzy mostki.

Zaraz za Korneliuszem Udałowem do poczekalni weszła malutka, pomarszczona staruszka w szarej, samodziałowej sukience i łapciach. Trzymała się bardzo prosto, a jej oczy błyszczały bystro i przenikliwie. Siwe włosy miała starannie przewiązane błękitną chusteczką.

- Dwóch zostało? - zapytała czarownica. Dwóch - odparł Misza, drętwiąc z przerażenia.

- Wobec tego wchodźcie obaj. Problem macie podobny - powiedziała Głumuszka.

- Ja na ciebie, Misza, tutaj zaczekam - powiedział Udałow. - Nie spieszy mi się, a samemu iść nie bardzo przyjemnie.

Pierwszy do gabinetu wszedł kozioł, za nim grubas, a na końcu Misza.

- Siadajcie - powiedziała staruszka. - Zmęczyłam się coś dzisiaj. Niedługo inspektor finansowy się do mnie dobierze. Tyle będę miała ze swojej dobroci.

Czarownica usiadła przy starym biurku, wymazanym atramentem i pokrytym różnymi, nie zawsze przyzwoitymi napisami. Grubas zajął miejsce na krześle przed biurkiem, a Misza skromnie przycupnął na ławce u pieca.

Izba była czysto zamieciona i niemal pusta. Jedynie stary chodnik przecinał ją na ukos, a okienko zasłaniały dwie doniczki z geranium. Pod oknem stała oszklona szafka. W szafeczce były słoiki i butelki z papierowymi etykietkami. Na piecu suszyły się różne zioła.

- Wyście u mnie, dobry człowieku, już w tych dniach byli - powiedziała Głumuszka. - Coś nie tak wyszło?

- Nie tak - przyznał się grubas.

- Opowiadajcie - poleciła Głumuszka. -Tylko krótko.

- Przyszedłem do domu - powiedział grubas. - A ona na mnie już czeka. Z krzykami, że niby ja jej spodnią bieliznę ze sznurka ukradłem. Myślę sobie, w jaki sposób wytrzymać takie nerwowe napięcie, jak jej podrzucić lubczyk? Nie znalazłem wyjścia. A ona szaleje. Przemęczyłem się do wieczora...

- Krócej - powiedziała Głumuszka. Kozioł tupnął nogą. Nie spodobał mu się ton czarownicy.

- Ja krócej - zgodził się grubas. - Jak tylko się ściemniło, podkradłem się do jej okna i wlałem lubczyk do czajnika z esencją. Czajnik stał na parapecie. A potem widzę, że ona zamierza napić się herbaty, zdejmuje pokrywkę, wacha i mówi na głos: "Herbata stara, zwietrzała. Trzeba nową zaparzyć". No i cały ten lubczyk wylała do wiadra z pomyjami, a wiadro wystawiła na dwór. Zanim zdążyłem zareagować, jej wredny i szkodny kozioł podszedł do tego wiadra i napił się pomyj. A z samego rana czekał już na mnie pod drzwiami, żeby miłość wyrazić, i od tej pory chodzi za mną jak przywiązany. Chciałem przed nim uciec, autobusami jeździłem, w domu się zamykałem, ale on przez okno włazi, a ta cholera Aida na cały świat krzyczy, a ja... Boże, jaki ja jestem nieszczęśliwy!

- Ciekawe - powiedziała staruszka. - Powiadacie, że kozioł was pokochał?

- A co, nie widać?

- On ma zupełnie inny metabolizm - powiedziała czarownica. - Nawet nie wiem, jak wam pomóc... A wy, młody człowieku, przestańcie się śmiać. Nie ma w tym nic śmiesznego. Człowiekowi się nie poszczęściło.

- Ja się nie śmieję - powiedział Misza, nie mogę spędzić z twarzy idiotycznego uśmiechu. - To tylko nerwowy grymas.

- Nie, ja się nie obrażam, rozumiem, że jestem śmieszny - powiedział grubas płaczliwym głosem. - Mnie miłość tej kobiety była potrzebna nie dla niskich korzyści, lecz dla uzyskania spokoju i zachowania delikatnych roślinek w moim ogródku.

- Roślinkom nic teraz nie grozi. Kozioł nie zrobi wam krzywdy.

- Ach, jeszcze i ten kozioł! - Grubasowi zbulgotało w gardle, a głowa opadła mu na blat biurka.

“Działa - myślał Misza. - Lubczyk działa! I będę mógł jutro wypróbować jego skuteczność”. Na duszy było mu trwożnie i wesoło. I znów przed oczami Miszy Standała zamajaczyła twarz Aleny opromieniona światłem księżyca. Ale tym razem jej wargi szeptały coś czułego. Zanim Misza zdołał zrozumieć ten szept, obok niego ciężko przemaszerował grubas z kozłem radośnie podskakującym do góry, a Głumuszka zadała Miszy pytanie:

- A wy, młody człowieku, w kim się zakochaliście?

- W dziewczynie - powiedział Misza. - W Alenie. Ona przyjechała w odwiedziny, mieszka u swojej ciotki. Wybaczcie mi z łaski swojej kłopot, który wam sprawiam.

- Nie szkodzi, nie szkodzi, to mój obowiązek - powiedziała Głumuszka. - Jaką uczelnię kończyliście?

- Uniwersytet Leningradzki. Wydział Filologiczny. A tutaj pracuję w gazecie jako nietatowy publicysta. Mam dyplom uznania.

- Bardzo mi miło. A nie wstyd wam, młody człowieku, prosić zacofaną staruszkę o miłosne ziele? Przesiądźcie się tutaj, na krzesło, bo przez całą izbę niewygodnie się rozmawia.

Misza przesiadł się bliżej biurka i poczuł się od razu nieswojo, jak na egzaminie albo w dziale kadr.

- Jesteście podobni do młodego Gribojedowa - powiedziała w zadumie staruszka.

- Już mi to mówili - zgodził się Standał.

- Namiętność opanowała was nieoczekiwanie, czy też narastała stopniowo?

- Chyba nieoczekiwanie - powiedział Standał. - Ujrzałem ją i już.

- Chcę was uprzedzić - powiedziała Głumuszka - że wzajemność spowodowana sztucznymi środkami może z czasem zaniknąć, co doprowadzi do tragicznych następstw.

- Wiem. Ale dłużej już nie zniosę pogardy i obojętności. Wy, pewnie, nigdy się nie kochaliście.

- Ja? Kochałam i to nie raz - odparła Głumuszka.

- Przepraszam. Nie chciałem was dotknąć.

- Może jednak uciekniecie się do bardziej konserwatywnych metod? - powiedziała czarownica. - Może otoczycie dziewczynę troską, uwagą i czułością, wykażecie swą odwagę,

uczciwość i szlachetność? Wtedy Alena was pokocha.

- Kiedy? - zaproponował Standal. - Za dziesięć dni moja ukochana wyjeżdża na zgrupowanie do Kaługi i nigdy więcej już jej nie zobaczę.

- Jak chcecie - powiedziała Głumuszka. - Zostaliście uprzedzeni. Wobec tego muszę was strofografować i zrobić analizę krwi.

- A nie można bez formalności? Dajcie mi po prostu lubczyk.

- Och, mój Boże - westchnęła staruszka. - Czyżbyście wy, człowiek kulturalny, wierzyli w takie brednie?

- Niby dlaczego mam nie wierzyć? Przecież widziałem rezultaty.

- Pleciecie głupstwa, Standal. Nie chcecie chyba powiedzieć, że o dwa kilometry od miasta Wielki Guslar mieszka czynna czarownica, innymi słowy wiedźma?

- A jak mam was nazywać?

- Jak chcecie; eksperymentatorką, filantropką, przybyszką z sąsiedniego układu gwiazdowego, która spóźniła się na swój statek, wreszcie laureatką Nagrody Nobla w dziedzinie genetyki.

- Ale nie zaprzeczacie, że jesteście czarownicą?

- Wcale nie chciałam, żeby ludzie tak o mnie mówili. Stańcie pod ścianą, zaraz włączę oświetlenie. Przesuńcie się trochę w lewo. Wcale tego nie chciałam. Żyłam sobie cicho i spokojnie, prowadziłam wrywkowe obserwacje, zbierałam w lesie puste butelki i sprzedawałam je po dwanaście kopiejek sztuka. Reszta była dziełem czystego przypadku. Wystarczy, możecie siadać. Dajcie mi serdeczny palec lewej ręki. Gdzie to się spirytus zapodział? Nie wiecie przypadkiem, czy do apteki przywieźli wreszcie watę? Tak, na czym to stanęłam? Aha, wszystko było dziełem przypadku. Pokochałam mieszkańców tego miasta i nie potrafiłam odmówić im pewnych drobnych usług. Skoro wiem więcej niż oni, umiem więcej od nich i mogę pomóc w nieszczęściu, czy mam moralne prawo odmówić? Nie wrywajcie palca! Będę zmuszona ukłuć was jeszcze raz. Wstyďte się! Dorosły człowiek, beznadziejnie zakochany, a boi się zwyczajnej

- A po co wam moja krew? - zapytał Standal.

Czarownica wycisnęła kilka kropelek do próbowki, zatkała ją tamponem z waty, potrząsnęła i obejrzała pod światło.

- Grupa B - powiedziała. - Grupa B ze zwiększoną zawartością białych ciałek.

- Nic nie rozumiem - powiedział Standal.

- Wcale nie musicie rozumieć. Ludzie uwierzyli, że jestem osobą dosyć tajemniczą, może nawet wiedźmą. Nie chciałam wyprowadzać ich z błędu. A wasza krew potrzebna jest do przygotowania substancji, którą nazywacie lubczykiem. Substancja ta, zawierająca wasz kod

genetyczny, po zmieszaniu z pożywieniem obiektu waszej namiętności, nieznacznie przebuduje jego strukturę nerwową. Innymi słowy staniecie się jakby bliźniętami o identycznej krwi. Nie, źle to sformułowałam. Staniecie się bliscy duchem. Ona nabierze do was sympatii tego samego rodzaju, jaką wy odczuwacie do niej. Mogłabym wytłumaczyć to dokładniej za pomocą wzorów, ale z waszym humanistycznym wykształceniem nic z tego nie zrozumiecie. Mój Boże, jak ja się stęskniłam za inteligentnym, wykształconym człowiekiem! Nawet przed wami zaczynam otwierać duszę. Najwyższy czas wracać do domu!

- A więc to jednak czary?

- Masz ci los! Tłumaczy człowiek, tłumaczy, a on znów swoje. Czarów i cudów nie ma. Jest chemia. A dlaczego macie zwiększoną zawartość białych ciałek? Zęby nie dokuczają?

- Prawie nie. A jak wytłumaczycie historię ze złodziejami w tartaku albo odszukiwanie zagubionego sprzętu pożarniczego, albo wreszcie zęb Udałowa? To wszystko też chemia?

- Nie wierzycie mi. Widzę, że nie wierzycie. Sprzęt odszukałam przy pomocy zwykłego detektora. Trzymam go na piecu. Złodziei wykryłam lokatorem telepatycznym, który zresztą zepsuł mi się i nie da się naprawić z powodu braku części zamiennych. To wszystko jest takie proste, że nawet wstyd o tym mówić. Muszę zresztą przyznać, że bez telepatolokatora pracuje się znacznie trudniej. Przyjęłam zasadę, aby pomagać wyłącznie tym ludziom, których intencje są czyste i szlachetne. Do pewnego stopnia. A jaką mogę mieć pewność, że nie popełniłam błędu?

- Ale moje intencje są zupełnie czyste.

- Wątpię. Chcecie zawrócić w głowie niewinnej dziewczynie. No i dobra. Ja i tak niedługo wyjeżdżam.

Głumuszka ustawiła na biurku najrozmaitsze słoiki i flakoniki, coś mieszała, wywoływała w naczyniach syk i zmiany barwy.

- Wolalabym, żebyście przyszli jeszcze raz, ale obawiam się, że nie będziecie mieli dość odwagi. Wstyd wam nie pozwoli. Przecież nie spodziewaliście się zastać u mnie takiej klienteli? Nie bójcie się, zaraz dostaniecie ten swój lubczyk.

Udałow odprowadził Misze niemal do samego domu. Szef przedsiębiorstwa budowlanego nie zrobił tego z sympatii do Standala, lecz po-prostu dlatego, że lękał się samotnie wracać przez ciemne miasto. Udałow był gadatliwy, jak człowiek, który nieoczekiwanie pozbył się kłopotu.

- Weźmy tego kozła - mówił - zadziwiająca historia! Taka miłość ze strony cuchnącego zwierzaka. A ona mi nawet do ust nie zaglądała, tylko przyłożyła coś do policzka i już. Kanał, powiada, oczyszczony, płuczcie usta dwa razy dziennie ciepłym roztworem sody. Sody, powiada, a ja tej sody zupełnie nie znoszę. Mam zbyt rozwiniętą wyobraźnię...

Księżyc zaszedł, latarnie świeciły czerwonym blaskiem. Kiedy przechodzili obok domu Aleny, Standal usiłował nie patrzeć w jej okna. Butelkę z lubczykiem zaciskał w kieszeni, aby przypadkiem nie wypadła albo się nie wylała jej zawartość.

- No i widzicie - kontynuował tymczasem Udałow, zaglądając w twarz Standalowi. - Zdziwiająca historia... Żyjemy w drugiej połowie dwudziestego wieku, w dobie elektroniki i rakiet. A pod bokiem niczym relikwiarz przeszłości mieszka sobie staruszka, która potrafi dokonywać niektórych cudów. Nigdy bym nie uwierzył, gdybym sam nie zobaczył. Z jednej strony zabobon, z drugiej zaś jeszcze nie do końca wyjaśnione możliwości ludzkiej psychiki. Wszak nie na darmo ludzie wierzyli w czary. Znaczą dawniej, za cara. I teraz też jeszcze niektórzy wierzą. W dobie elektroniki.

- Może ona was z pomocą elektroniki wyleczyła - powiedział Misza.

- Ha, ha, śmieszne. Z pomocą elektroniki! I wam elektroniczny lubczyk dała? Rozumiem. I kozła też z pomocą elektroniki?

- Czym to się może skończyć? - powiedział Standal.

- O sobie mówicie? Pokocha. Jeszcze jak pokocha. Są już precedensy.

- Chodzi mi o staruszkę. Nie powinna mieszkać wśród nas.

- I to się nazywa wdzięczność! Felieton napiszecie? - oburzył się Udałow.

- Jaki tam felieton!

- Właśnie! Jesteśmy na miejscu. Życzę szczęścia w miłości. Udałow ruszył w stronę swojego domu, który stał kilkaset metrów dalej, a Standal ostrożnie wy dobył wolną ręką klucz i powoli włożył go do zamka, aby nie obudzić gospodyni mieszkania, od której wynajmował pokój.

Noc spędził bardzo niespokojnie, często budził się i odpędzał koszmary. Śniło mu się, że Głumuszka zmusza go do picia rozmaitych paskudztw i grozi wszczęciem postępowania sądowego.

Ranek był słoneczny i pogodny. Standal długo wpatrywał się we flakonik z lubczykiem, zanim odtworzył w pamięci wszystkie szczegóły nocnej wyprawy.

Pewnie mi się to jednak śniło - powiedział na głos i już zamierzał wyrzucić buteleczkę przez okno, gdy nagle ujrzał przez nie Alenę idącą w kierunku bazaru z koszykiem na zakupy w raku. Alena promieniowała takim blaskiem, że Standal zacisnął buteleczkę w dłoni i popędził do umywalni, aby dokończyć formalności porannych ablucji i pospieszyć na bazar za Aleną.

Rozminął się z nią, zaczął szukać na okolicznych ulicach, wpadł w rozpacz i zamierzał już pomknąć w stronę jej domu, ryzykując spotkanie ze złą Antarktydą, gdy nagle dojrzał postać Aleny za zwierciadlaną witryną sklepu spożywczego. Wszedł do środka i ogromnie się speszył.

Najwięcej klientów było w dziale monopolowym. Misza rzucił się tam, wcisnął w kolejkę

przy samej ladzie za plecami jakiegoś zwalistego mężczyzny. Alena tymczasem kupowała ser oraz masło i nie widziała go. - Co wam podać, młody człowieku - zapytała ekspedientka.

- Puskę soku mango - odparł Standal.

- To w dziale warzywniczym - powiedziała ekspedientka ze zdziwieniem. - Nie widzicie, że handluję napojami wysokowymi, bodajby je szlag trafił?!

- Tak, tak, widzę - powiedział Standal. - Doskonale widzę.

Alena spojrzała w jego stronę, wobec czego Misza nieco przysiadł.

- Jakiś nienormalny - powiedział któryś z klientów.

- Normalniejszy od was - odparła sprzedawczyni z nieoczekiwanym rozdrażnieniem w głosie. - Normalniejszy, bo chce się napić naturalnego produktu.

Standal na ugiętych nogach przekradał się do działu warzywniczego. Alena wyszła już ze sklepu, wobec czego bez dalszych przeszkód kupił sobie puszkę soku z mango.

Brakowało mu jeszcze szklanki. Ukradł ją w samoobsługowej stołówce, ukrył pod koszulą i jak na złość akurat w tej samej chwili, podszedł do niego redakcyjny kolega, kierownik działu listów. Standalowi koszula odstawała na brzuchu i kolega zrezygnował z podania mu ręki. Westchnął współczująco i delikatnie się odwrócił.

"No tak - pomyślał znękaný Standal, lawirujący między stolikami w kierunku wyjścia - jeszcze tego tylko brakowało, żeby w robocie koledzy zaczęli gadać, że jestem alkoholikiem i w dodatku mam lepkie ręce".

Wyszedł na ulicę i natychmiast zrozumiał, że wszystkie jego starania były daremne. Alena zniknęła. Misza pomknął ulicą Puszkina, skręcił w Czerwonoarmijską, zajrzał do księgarni. Alena jakby się pod ziemię zapadła.

Wtedy Misza Standal, ściskając w jednym ręku puszkę soku manguowego, w drugim zaś skradzioną szklankę, poszedł, gdzie go oczy poniosą.

Nogi same przywiodły go do parku. Aleje zalane były porannym słońcem, poprzekreślane cieniami starych lip i całkowicie puste. Misza wyszukał ustronną ławeczkę w cieniu rozłożystego drzewa, usiadł na niej i oddał się rozpacz. Tak wszystko doskonale się zapowiadało i tak paskudnie skończyło. A teraz w dodatku iść trzeba do stołówki i zwracać szklankę, ryzykując spotkanie z innym redakcyjnym kolegą... Można zresztą poczekać i użyć szklanki zgodnie z przeznaczeniem.

Standal wyjął z kieszeni scyzoryk, zrobił w puszcze dwie dziurki i właśnie zamierzał ugasić pragnienie egzotycznym sokiem, gdy usłyszał czyjeś kroki.

Uniósł głowę.

Do ławeczki zbliżała się Alena Wiszniak. Bez najmniejszego wysiłku niosła ciężki koszyk z

zakupami i patrzyła na Standala spokojnymi, brązowymi oczyma.

- Zachciało się pić? - zapytała, a Standal spróbował ukryć za plecami rękę z puszką, jakby go przychwycono na wstydlivej czynności.

- Co z wami?

Alena wznosiła się nad Misza, niczym posąg greckiej bogini, a słoneczne promienie przenikały przez jej bujne włosy i złociły brzoskwiniowy puszek na policzkach. Na ten widok Standal odzyskał spokój. Zrozumiał bowiem, że nie boi się już pięknej Aleny, że dziewczyna niebawem przestanie się nad nim znęcać, przestanie patrzeć z wysoka.

- Postawię koszyk na ławce - powiedziała Alena. - A skąd wzięliście szklankę? Przynieśliście z domu?

- Ukradłem - powiedział Standal.

- To bardzo nieładnie - zauważyła Alena. - Poczęstujecie mnie sokiem? Okropnie się zmęczyłam.

- Naturalnie - ucieszył się Standal, bo zdobycz sama szła mu w ręce. - Przecież ja na was czekałem.

- Doprawdy?

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia. Alena przymrużonymi oczyma patrzyła na słońce i zachowywała się tak, jakby początkowo zamierzała za moment wstać i pójść sobie, ale ranek był taki piękny i rozleniwiający, że nie mogła się na to zdobyć. Standal zapomniał o lubczyku i z zapartym tchem wpatrywał się w czarujący profil dziewczyny.

Chyba sobie pójde - powiedziała nagle Alena. - Zapomnieliście o mnie.

- Poczekajcie! - wykrzyknął Standal. - Dlaczego? Ja o was pamiętani.

- Wobec tego spełnijcie obietnicę.

- Obietnicę?

- Słuchajcie, Standal. Zachowujecie się dziwnie. Chce mi się pić, a wy dusicie puszkę w rękę, jakbyście żalowali mi odrobiny zwyczajnego mangowego soku.

- Tak, tak - powiedział Standal i przechylił puszkę. Gęsty żółty płyn przeleciał obok szklanki, wobec czego Alena wyciągnęła rękę i pomogła Standalowi. Rękę miała miękką i ciepłą.

Standal przypomniał sobie o lubczyku. Trzeba było nalać go do szklanki i to tak, żeby Alena tego nie zauważyła.

- Starczy już - powiedziała Alena. - Dla mnie starczy, bo dla was nic nie zostanie.

- Zaraz powiedział Standal, stawiając puszkę z sokiem na ławce i odsuwając rękę ze szklanką jak najdalej od Aleny. Wolną ręką usiłował otworzyć w kieszeni buteleczkę z lubczykiem.

Patrząc na jego niezręczne ruchy, Alena roześmiała się i cały park rozbrzmiał srebrzystymi

dzwoneczkami jej głosu.

- Popatrzcie! powiedział Standal, patrząc ponad jej głową. - Szybciej! Alena odwróciła się, a Standal wyszarpnął flakonik i opróżnił go do szklanki.

- Co się stało? - Alena znów patrzyła na Misze, ale buteleczka powędrowała już za oparcie ławki. Standal głęboko odetchnął.

- Bardzo śmieszny gołąb - powiedział. - Już odleciał.

Alena napiła się i oddała szklankę Miszy. Misza wylał do niej resztę soku i zaczął pić nie spuszczać oczu z dziewczyny. Sok ściekał mu na koszulę, ale nie zauważył tego, bo lękał się, że Alena odejdzie, obrazi się, a wówczas lubczyk nie podziała.

- Wystarczy - powiedziała Alena. - Ktoś tutaj idzie. Zuch jesteście, Misza. Tylko nie bójcie się mnie. Traktuję was zupełnie inaczej niż sądzicie.

"Zaczęło się" - pomyślał Misza z drżeniem w sercu.

- Jestem bardzo nieśmiała i dopiero teraz nabrałam trochę odwagi. Kiedy wczoraj odeszliście, napisałam do was list. Nie pogniewaliście się?

- Wczoraj? - zapytał głupio Misza.

- A czemu się dziwicie?

- Wczoraj - powtórzył tępo Misza.

- Pomyślałam sobie... Dajcie mi jeszcze trochę soku. Zachowuję się jak mała dziewczynka...

Alena upiła soku, postawiła szklankę na ławce, Standal poruszył się niezręcznie, szklanka wywróciła się i reszta soku wylała się na ziemię.

- Weźcie - powiedziała Alena, podając Miszy błękitną kopertę.

Chwyciła koszyk i uciekła aleją.

Misza rozerwał kopertę.

"Misza! Wybaczenie, że was niepokoję, ale chyba jestem głupia i zbyt szczerą. Ale kiedy ujrzałam was po raz pierwszy, takiego mądrego i podobnego do młodego Gribojedowa, zrozumiałam nagle, że już od kilku lat marzyłam o spotkaniu właśnie z wami... Nie gniewajcie się, że traktowałam was tak nieuprzejmie, a nawet pogardliwie, lecz obawiałam się, że domyślicie się moich prawdziwych uczuć..." Misza czytał list i po plecach biegały mu mrówki, a całym ciałem wstrząsały dreszcze szczęścia i wstydu. Ślepy dureń!... Wróble i inne ptaszęta licznym stadkiem zebrały się u jego nóg i piły resztki rozlanego soku. Misza nagle powiedział sobie: - A co będzie, gdy plus dodać plus uczyni minus? Co będzie, jeśli Alena po tym soku przestanie mnie kochać?

Poderwał się z ławki i pobiegł aleją, starając się dopędzić Alenę i do wszystkiego się przyznać. Biegł tak szybko, że przechodnie rozpryskiwali się przed nim na wszystkie strony i

głośno wyrażali niezadowolenie z jego manier, a ptaki, już zakochane w Miszy, krążyły nad jego głową i starały się usiąść mu na ramiona, aby dać wyraz swoim uczuciom. Misza dopędził Alenę przed jej domem, akurat przy ulicznej pompie.

Stali tam bardzo długo, a suka Antarktyda wściekała się za ogrodzeniem. Denerwował ją nie tylko Misza, lecz także ptaki, oszalałe od soku i miłości. Misza gadał jak najęty, Alena zaś patrzyła nań ufnyimi brązowymi oczyma, zapominając, że trzyma w ręku ciężki kosz z zakupami.

Wieczorem Misza namówił Alenę na spacer do tartaku, bo niczym mordercą ciągnęło go na miejsce przestępstwa. Alena wiedziała o jego nocnej wyprawie do czarownicy, ale nie miała mu tego za złe, śmiała się i straszyla, że po wypiciu soku z lubczykiem pokocha on siebie bardziej niż wszystkich pozostałych ludzi łącznie z Aleną. Misza odrzucał taką możliwość i rozpaczliwie walczył z miłością do samego siebie. A miłość ta nieustannie narastała i ciągnęła go przed lustro, aby mógł spojrzeć w swą przystojną, inteligentną twarz.

- Nie szkodzi - powiedziała Alena. - Przynajmniej nie będziecie teraz już tacy nieśmiali jak dawniej. To wam pomoże w życiu.

- W naszym życiu - poprawił ją Standal.

Doszli do lasu za tartakiem. Znowu świecił księżyc i znowu w jego blasku twarz Aleny wydawała się w trójnasób piękna i zagadkowa.

- Oto i chatka - powiedział Standal. - Pewnie znowu w środku czeka kolejka pacjentów. Warto byłoby Głumuszce podziękować.

- Za co? - zdziwiła się Alena.

- Za wszystko. Za dobroć. Mogliście mnie przecież nie zauważyć.

- Niegodziwiec - powiedziała Alena bez szczególnej złości. - Chcieliście ukraść moje uczucia, oszołomić mnie czarodziejską trucizną.

Nie, wcale się nie gniewała. Pochlebiali jej nawet, że młody dziennikarz z jej powodu był u czarownicy.

- Coś nie widać światła - powiedział Standal. - Czyżby dzisiaj nie przyjmowała?

Stali na skraju polanki, w cieniu sosen. Drzwi izby otworzyły się bezszelestnie i Głumuszka, ubrana w swoją samodzielną sukienkę i błękitną chusteczkę, wyszła na zewnątrz i zwiną pobięła w stronę pobliskiej rzeczki. Standal otworzył usta, aby zawołać staruszkę, lecz Alena trąciła go łokciem.

- Milcz - szepnęła.

Czarownica zatrzymała się na brzegu, wydobyła zza pazuchy jakiś czarny przedmiot i skierowała go ku górze. W niebo trysnął ostry promień światła.

- Dziwna babcia - wyszeptała Alena.

Minęła minuta, dwie...Coś rozbłysło na niebie, a po chwili miękko opadł stamtąd ogromny latający talerz i zawisł nad ziemią. Z włazu w jego dnie wysunęła się drabinka sznurowa.

Głumuszka zrzuciła z siebie sukienkę, chusteczkę oraz perukę i przekształciła się w dwu-nogą smukłą istotę, dokładnie taką samą jak te, które schodziły po sznurowej drabinie na ziemię.

- Nareszcie! - powiedziała Głumuszka. Przybysze zatrajktotali coś w odpowiedzi, prawdopodobnie nakłaniając ją do pośpiechu.

- Nie - odparła Głumuszka i wskazała ręką w kierunku chaty.

Dwunogie istoty pobiegły tam i pomogły Głumuszce przenieść do statku kilka skrzynek i zawiniątek.

- Dziękuję - powiedział do Głumuszki jeden z przybyszów.

Ich mowa nie przypominała żadnego z ziemskich języków, lecz Alena i Misza doskonale ją rozumieli, gdyż słowa dźwięczały im w głowach.

- Dziękuję. Znaleźliście się w ciężkich warunkach, sami na obcej planecie, ale mimo to nie zapomnieliście o potrzebach nauki. W ciągu dwóch lat zebraliście bezcenny materiał etnograficzny. Mam nadzieję, że nikomu nie zdradziliście swej prawdziwej istoty? Nie ujawniliście swoich nadludzkich możliwości?

Głumuszka chwilę milczała, ale potem odpowiedziała bardzo pewnym głosem:

- Nie, kapitanie.

Statek odleciał na swoją gwiazdę bezdźwięcznie jak się pojawił. Alena z Miszą wzięli się za ręce i wolno poszli w kierunku miasta.

Przełożył TADEUSZ GOSK

SKARBNICA MĄDROŚCI

Korneliuszowi Udałowi ukazał się we śnie przybysz z kosmosu.

- Posłuchaj, Korneliuszu - powiedział. - My w galaktyce wiemy, że jesteś bardzo przychylnie usposobiony do idei przyjaźni kosmicznej.

- Oczywiście - zgodził się Korneliusz. - Wierzę w możliwość kontaktów i w miarę sił...

- Zaczekaj - przerwał mu przybysz. - Mam niewiele czasu.

Przybysz był otulony błękitnym pledem i w blasku trudno było odróżnić jego kształty. Korneliusz rozumiał, że spotkanie odbywa się we śnie, ale do przebudzenia nie było mu spieszo, zawsze lubił pomówić z nowym człowiekiem.

- My tu w galaktyce naradziliśmy się - kontynuował przybysz, podlatując bliżej i obejmując Udałowa zasięgiem swego blasku. - I doszliśmy do wniosku, że jesteś odpowiednim człowiekiem. Sam rozumiesz.

- Rozumiem - rzekł Udałow.

- I oto w dowód wdzięczności za twoje przeszłe i przyszłe zasługi składamy ci coś w darze, coś na skalę kosmiczną. Jednocześnie muszę cię uprzedzić, że podarunek ten jest jakby egzaminem dla waszej planety i dla całej ludzkości. Jeśli potrafisz się nim posłużyć, będzie to znaczyć, że ludzkość już dorosła. Jeśli nie - trzeba będzie jeszcze poczekać.

- A dlaczego wasz wybór padł właśnie na mnie? - zapytał Udałow przez skromność.

- Przecież powiedziałem, wzięliśmy pod uwagę twoje zasługi. A poza tym chyba ty właśnie jesteś najbardziej przeciętnym i zwyczajnym człowiekiem w Guślarze Wielkim i najbardziej typowym, jakiego Ziemia do tej pory nosiła.

- Ja? - spytał Udałow z pewną urazą.

- Tak, ty - odpowiedział przybysz. - Zresztą to nieważne. Spieszę się. Za chwilę energia się wyczerpie. Ażebym mógł utrzymać z tobą telepatyczną łączność, musieliśmy w tym czasie wyłączyć światło na dwudziestu trzech planetach. A więc przyjmuj podarunek i do widzenia. Na wypadek, gdybyś sobie nie poradził, powiedz tylko na głos "gra skończona". I wszystko wróci na swoje miejsca.

Udałow nie zdążył niczego odpowiedzieć, nie zdążył nawet ręki wyciągnąć po ten dar, gdy przeleciała błyskawica i Udałow przebudził się.

Był wczesny poranek. Za oknem padał deszcz. Obok spała Ksenia i wzdychała we śnie. Ciekawe, pomyślał Udałow, czy ona słyszała naszą rozmowę? Gdzieś za trzecią ścianą zadzwonił budzik. Piąta trzydzieści. Stary Łóżkin wstaje pewnie na poranną gimnastykę. Potem będzie karmić ptaszki. A może to wszystko tylko mu się śniło? Może nie było żadnego przybysza?

Udałow wyciągnął spod kołdry ręce. Ręce były puste. Daru ani śladu.

- Bzdura - burknął Udałow i znowu zasnął.

Powtórnie otworzył oczy o wpół do ósmej. Maksymek wybierał się do szkoły. Ksenia krzątała się w kuchni.

- Lekcje odrobiłeś? - zapytała syna. - Znowu wczoraj z Szaszką ganialiście za piłką aż do zmroku.

- Nic nie było zadane - odpowiedział Maksym Udałow, bardzo podobny do swojego ojca z zadartego nosa, z pszenicznego koloru włosów i ze skłonności do zbytniego fantazjowania.

- Jak to nie zadali? - gniewała się matka. - Sprawdziłam w dzienniczku. Z historii o buncie strzelców to komu zadali, mnie czy tobie?

- Ja o buncie umiem - wykręcał się Maksym.

- Boże, gdybym tylko mogła sprawdzić - mówiła Ksenia. - Już ja bym twoich lekcji dopilnowała, popamiętałbyś u mnie ruski miesiąc. Ale tyle roboty, cały dom na mojej głowie.

- Kseniu, po co mnie obudziłaś? - odezwał się Udałow. - Przecież do biura idę dziś na jedenastą. Mówiłem ci wczoraj.

- Wszystko jedno, wstawaj - odpowiedziała Ksenia, która z łatwością przenosiła swoje rozdrażnienie z jednego członka rodziny na drugiego. - Ileż to razy prosiłam: zreperuj zamek w przedpokoju. Pewnego pięknego dnia wszystkich nas wyniosą, a ty nawet nie zauważysz. Syn się znowu lekcji nie nauczył. O buncie strzelców nic nie wie.

- Nic nie wie, ale i tak więcej od was - wybuchnął Maksymek. - Wy pewnie nawet nie wiecie, że Suworow go stłumił.

- Historię to rzeczywiście doszczętnie zapomniałem - przyznał się Udałow.

I wtem coś jakby pyknęło w jego mózgu i jak gdyby strona otwartego podręcznika stanęła mu przed oczyma. Udałow przejrzał tę stronę i powiedział zupełnie spokojnie.

- Kiepsko was uczą, synku, jeśli twierdzisz, że Suworow stłumił powstanie strzelców. Przede wszystkim trzeba pamiętać, że za plecami stała caryca Sofia, starsza siostra Piotra I, i książę Golicyn, jej główny dowódca. Suworow, który nawiasem mówiąc, urodził się dopiero w 1730 roku, nie mógł mieć z tym nic wspólnego.

Powiedziawszy to Udałow spuścił nogi z łóżka, namacał bambosze i wstał. Syn Maksymek, tak jak stał przy drzwiach, po prostu skamieniał z wrażenia. Ksenia wyszła z kuchni z pokrywką od rondelka w ręku i zapytała:

- Ty tak sam z siebie, czy gdzieś zajrzałeś?

- Sam z siebie - powiedział Udałow. - Pamięć mam dobrą. Spiesz się, Maksymku, do szkoły i na przyszłość nie oszukuj tatusia. Też mi powiedział, Suworow...

- Chodź do stołu - poprosiła go Ksenia, udobruchawszy się. - Kasza stygnie.

- Miałem zadziwiający sen - zwierzył się Udałow, polewając kaszę mlekiem. - Że niby zjawiał się u mnie przybysz z kosmosu i mówił: "Przyjmij, towarzyszu Korneliuszu Udałow, za twoje ogromne zasługi, niezwykle podarunek".

- Dostaniesz w końcu kręćka na punkcie swoich przybyszów, Kornelciu - pozałowała go Ksenia. - A gdzie ten podarunek?

- W tym właśnie sęk, że nie wiem. Obudziłem się, a podarunku jak nie ma, tak nie ma.

- No właśnie. A wiesz, że wczoraj mi się przyśnił czołg. Wisiała na nim bielizna sąsiadów. Pewnie to też coś znaczy...

- Na pewno - przyznał Udałow rozczarowany. Żał mu było swojego niezwyklego snu.

- A przy okazji chcę ci coś powiedzieć - kontynuowała Ksenia. - Wczoraj dostałam rachunek za elektryczność - dwa ruble czterdzieści dwie kopiejki. Pomyśleć tylko, ile to prądu sama lodówka pożera!

- Dwa czterdzieści trzy - automatycznie poprawił ją Udałow. - A przybysz, aby przeniknąć do mojego umysłu, musiał kilka planet zostawić bez światła.

- Dwa czterdzieści dwie - powiedziała Ksenia. - Sprawdziłam.

- No tak, dwa czterdzieści trzy.

- Co ty ze mnie idiotkę robisz? Przecież, jak dostałam rachunek, od razu schowałam go do szkatułki. Kiedy zdążyłeś tam szperać?

- Nie widziałem twojego rachunku na oczy - szczerze obraził się Udałow. - Po p» stu tak mi się wydawało, że dwa czterdzieści trzy.

- No to zaczekaj!

Ksenia wyjęła z komody pod lustrem kolorową szkatułkę fiedoskinskich mistrzów, którą dostała w prezencie ślubnym od kolegów szkolnych Udałowa. Otworzyła ją i wyjęła leżącą na samym wierzchu błękitną kartkę - rachunek za elektryczność.

- Masz - rzekła z przekąsem. - Naciesz się.

Ale kartki mężowi nie oddała, ponieważ zobaczyła, że na niej jest napisane: "Dwa ruble czterdzieści trzy kopiejki".

- A jednak szperałeś - powiedziała z przekonaniem.

- Nie szperałem. Domyśliłem się - nie ustępował Udałow.

- Kłamiesz. Jesteś zazdrosny. Szperałeś, szukałeś moich listów.

- A komuś ty potrzebna do szczęścia? - odparował Udałow.

- A jednak byłam potrzebna, nie pamiętasz już, jak mi się Kola Siemionichin oświadczał?

- Ależ ten twój Kola zapomniał o tobie ze dwadzieścia lat temu!

- Dlaczego zapomniał? Bo najlepsze lata na ciebie straciłam.

Ksenia pogładziła się po rozłożystych biodrach i zaszlochała.

- No, no - powiedział Udałow śpiesząc do wyjścia. - Nie płacz już, daj spokój...

Udałow szedł do pracy bez pośpiechu. Opuścił dom wcześniej, niż zamierzał, więc wybrał dalszą drogę do biura budowlanego - ulicą nadbrzeżną, obok soboru, obok osiemnaste wiecznego domu kupców Anuczinów przez rynek - wrześnieowy, kolorowy, wesoły.

Po drodze Udałow myślał o wydarzeniach, które doprowadziły do władzy Piotra I. Przedtem nie zdarzyło mu się o tym myśleć, stale brakowało czasu. A teraz zrozumiał, że niestety wie mało, bardzo mało z zakresu podręcznika. A tak by chciał poznać dokładniej rolę bojarzyna Szakłowitego, ale podręcznik o tej roli prawie nic nie wspominał.

Ulicą szły dzieci. Korneliusz przyśpieszył kroku i zrównał się w końcu z jakąś dziewczynką, popatrzył na jej lekko błyszczącą teczkę ze sztucznego tworzywa i powiedział na głos:

- After morning tea I go to school.

Przy czym wypowiedział to mniej więcej poprawnie.

- Cóż to? - zapytała dziewczynka, odwróciwszy się. - Czyżby pan tę lekcję przerabiał?

- Właśnie przerabiam - przyznał się Udałow. I poczerwieniał od mimowolnego kłamstwa.

W szkole uczył się niemieckiego, ale później językami się nie zajmował. I dziwne było nie to, że powiedział po angielsku jedno zdanie, wiedząc przy tym, że jest ono rzeczywiście angielskie. Zdanie mógł przypadkowo podsłuchać i zapamiętać. Dziwny był fakt, że Udałow znał cały podręcznik języka angielskiego do klasy piątej. Cały, calusieńki. I mógł na każde zawołanie zacytować dowolną stronę, włącznie z notką wydawniczą zamieszczoną na ostatniej stronie, gdzie wymieniono nakład, nazwisko korektora i datę oddania podręcznika do druku.

Potem, myśląc o tych wydarzeniach, Udałow nie mógł sobie darować, jak to się stało, że od razu na to nie wpadł, iż to jest właśnie ten kosmiczny dar. Ale wtedy się nie domyślił. Zdziwił się tylko i poszedł dalej.

Na ławce przy technikum siedzieli przyszli pracownicy żeglugi śródlądowej i wkuwali trygonometrię. Do głowy Udałowa wtargnęły tangensy oraz inne funkcje i z miejsca przemieszały się z wyczerpującymi wiadomościami o przygotowywaniu mącznych dań, gdyż z sąsiedniego domu wyszła akurat otyła kobieta z książką kucharską w ręku.

“Dziwna rzecz - pomyślał Udałow. - Co to człowiekowi chodzi po głowie”.

Przy wejściu na rynek na chwiejącym się stoliku leżał stos białych książek. Obok - garść monet w różowej mydelniczce. Na okładce pod wizerunkiem starożytnej królowej widniał napis: “Tajemnica złotej trumny”. Wiele ludzi, wychodząc z rynku, zatrzymywało się przy stoliku i

kupowało książkę, mając nadzieję, że to kryminał lub książka szpiegowska. Znajomy Udałowa, pracownik miejscowej gazety, Misza Standal, także nabył książkę o złotej trumnie i przywitawszy się z Korneliuszem zapytał:

- A wy nie kupujecie?

- Nie interesuje mnie archeologia - odpowiedział głośno Udałow. - Ta publikacja jest nudna jak flaki z olejem.

- Proszę państwa! - nie pozwoliła mu dokończyć sprzedawczyni. - Gorąco polecam powieść o tajemnicach Egiptu. Kto zabił Nefretete? Zagadka starego domu na brzegu Nilu!

- Otóż to - przemówił mentorskim tonem Standal. - Mało czytacie, Korneliuszu Iwanowiczu.

- Czytam, ile mogę - odparł Udałow z godnością. - Nie mniej od innych. Ale ta praca ma charakter specjalistyczny. Dla fachowców.

- Skąd on może wiedzieć - powiedziała sprzedawczyni. - Dostaliśmy tę książkę dopiero dziś w nocy. Poza tym stoję tu zaledwie piętnaście minut. Jacy to są ludzie! Plotą niestworzone historie, aby tylko komuś humor zepsuć.

- Ach tak! - oburzył się Udałow, tracąc panowanie nad sobą. - To proszę, otwórzcie swoją tajemnicę na stronie... przypuśćmy, na stronie sto trzydziestej. Otworzyliście? Zaczynani jedenasty wiersz od góry.

Standal przewracał strony. Wokół zgromadził się tłum gapiów.

"Tutaj właśnie, w północnej części stolicy - przymknąwszy nieco oczy, recytował Udałow - zostały znalezione ozdoby z imionami innych królów i królowych: w ograniczonej ilości należące do Amenhotepa IV, w wielkiej ilości do Semnochkere oraz Tutenchamona. Razem z tabliczkami Nefretete..."

- Dostyc! - krzyknął Standal. - Jesteście iluzjonistą?

- Misza - powiedział Udałow z wyrzutem. - Przecież mnie znacie. Mnie każdy pies zna w tym mieście.

Udałow odwrócił się szukając poparcia wśród tłumu. Wiele ludzi stało wokół, trzymając w rękach otwarte na sto trzydziestej stronie białe książki; poruszali wargami, sprawdzając Udałowa.

- Nie ma tak dobrze - powiedział łysy facet w bluzie. - Powiedz pan lepiej coś ze strony sto dwudziestej, choć jeden wiersz. I od samej góry. Możeś się, bratku, sto trzydziestej specjalnie wyuczył.

- Proszę bardzo - powiedział Udałow. - Tylko nie o to chodzi...

- Mów pan, mów pan! - Ludzie zaczęli szukać strony sto dwudziestej.

- Państwo by lepiej za książki płacili! Okładka biała, a wszyscy biorą do ręki. Kto mi

później kupi? - żaliła się sprzedawczyni, ale jej nie słuchano.

- "le lat żyła ona" - powiedział Udałow. - Oczywiście "le" zostało przeniesione ze strony sto dziewiętnastej, która kończy się wyrazem "wiele".

- Bezbłędnie, a niech go gęś kopnie! wpadł w zachwyt człowiek w bluzie. Wyjął z kieszeni bufiastych spodni wojskowych wielkie czerwone jabłko "jonathan" i podał Udałowowi. - Jedz, nie wstydz się. Z takim talentem powinienes się dalej uczyć.

- Dziękuję - powiedział Udałow, pesząc się strasznie. Wyobraził sobie nagle, jak on musi wyglądać w oczach kogoś, patrzącego na to z boku. Stoi sobie kierownik miejskiego przedsiębiorstwa budowlanego przy wejściu na rynek i mamrocze o starożytnej Zjednoczonej Republice Arabskiej. Zrobiło mu się wstyd.

- Korneliuszu Iwanowiczu - powiedział Standal, doganiając Udałowa, który usiłował się wymknąć. - Musze z wami pomówić.

W ślad za nim rozbrzmiewał głos sprzedawczyni, która wreszcie odzyskała mowę.

- Kupujcie nowy kryminał o tajemnicach sarkofagów! Kto zabił Nefretete i jej męża? Dzisiaj dostaliśmy z Moskwy...

Standal nie zdążył schwytać Udałowa za łokieć, gdy nowe wydarzenia odwróciły uwagę naszego nawiedzonego bohatera. Po ulicy, zadarłszy głowy do góry w tym celu, aby obejrzeć wierzchołki cerkwi Praskowii Płatnicy, szła grupa zagranicznych turystów, rzadko pojawiających się w Wielkim Guslarze. Grupa składała się głównie ze starszych dam z pięknie ufryzowanymi puklami siwych włosów, w kapeluszach przyozdobionych papierowymi i nylonowymi kwiatami. Mężowie tych kobiet, zaoceaniczni emeryci, poobwieszani byli aparatami fotograficznymi, "Polarois" bądź "Canon", i mieli całkiem rzeński wygląd.

Turyści z ożywieniem dzielili się uwagami. Udałow jadł czerwone jabłko i nie mógł ruszyć się z miejsca, ponieważ wszystko rozumiał. Do ostatniego słowa. I nawet znał słowo w słowo treść angielsko-rosyjskich rozmówek, które wystawały z tylnych kieszeni zagranicznych gości. Turyści rozmawiali ze sobą z wyraźną intonacją wykrzyknikową.

- Cóż to jest, do diabła! Co za porządki!

- Co za wspaniała barbarzyńska architektura!

- Mój Boże, jaka tu wilgoć w tym miasteczku!

- Pani Henry, niechże pani tylko popatrzy na tego tuziemca z jabłkiem w ustach. Jaki on jest pocieszny! Co za słowiańska bezpośredniość!

- Diabli wiedzą, co za porządki! Czas na śniadanie, a tłumaczka gdzieś się zapodziała!

- Ta cerkiew wyglądałaby zadziwiająco na tle katedry Notre Dame de Paris!

- Co za skandal! Płacimy pełnowartościową walutą, a tłumaczka gdzieś przepadła!

- Ach, co pan mówi!

- Niechże pani tylko popatrzy na tego tuziemca z jabłkiem w gębie!

I wtedy Udałow zrozumiał, że tuziemiec to on. Wówczas ogarnął go gniew. Zrobił krok naprzód i przemówił z miłym brooklińskim akcentem:

- Proszę wybaczyć nieuczonemu tuziemcowi, ale chyba powinniście państwo skrócić teraz w lewo. Wyjdziecie prosto na hotel "Wołogda".

- Ach! - powiedziała pani Henry. - Przepraszam, co pan powiedział?

- Przecież wyraził się nie mniej jasno niż prezydent Nixon - odparł jej mąż. - Posłuchajmy go lepiej i pójdźmy w lewo. Proszę wybaczyć, sir.

Cała grupa turystów posłusznie skrzyła za mężem pani Henry i tylko jeden niewysoki turysta z wypomadowanymi kędzierzawymi włosami pozostał na miejscu.

- A pan czego stoi? - zapytał go po angielsku Udałow. - Ach tak, oczywiście, przecież pan jest Portorykańczykiem i nie wszystko pan zrozumiał.

Udałow niedbale przeszedł na hiszpański i powtórzył instrukcję w ojczystym języku Portorykańczyka.

- O, dziękuję, senior! - krzyknął turysta. - Ja nie zawsze rozumiem, kiedy się mówi po angielsku tak szybko jak pan.

I machnąwszy połamami długiej, piaskowego koloru marynarki, turysta rzucił się w pogoń za współtowarzyszami.

Pani Henry, skracając za róg, powiedziała do męża w nadziei, że Udałow nie usłyszy:

- Wydaje mi się, że widziałam go koło "Nationalu" w mundurze generała dywizji.

Udałow usłyszał to jednak i tylko się uśmiechnął gorzkim, pobłażliwym uśmiechem.

Wreszcie Standał ochłonął na tyle, że był w stanie otworzyć usta i zapytać:

- Korneliuszu Iwanowiczu, dlaczego nigdy nie mówiliście...

- A co miałem mówić - odrzekł Udałow. Machnął ręką i szybko poszedł do biura, aby po drodze wszystko przemyśleć i podjąć decyzję. Błyskawicznie działająca wyobraźnia sprawiła, że Korneliusz ujrzał się nagle w roli głównego tłumacza "Inturista". Oto wita on samolot na lotnisku Szeremietiewo, z którego wychodzą wysocy Murzyni.

- Witajcie - mówi do nich Udałow w języku suahili.

Za Murzynami kroczą mieszkańcy wysp Malediwy.

- Prosimy bardzo - zaprasza ich Udałow w ojczystym języku wysp.

Zbiegają po trapie japońskie dzieci ze lśniąco-białymi małymi żurawiami w rączkach.

- Z okazji waszego przybycia... - zaczyna Udałow w języku Krainy Wschodzącego Słońca.

A za nim już biegnie naczelnik z Wydziału Międzynarodowego.

- Towarzyszu Udałow! - woła nieswoim głosem. - Towarzyszu Udałow! Oto wasz paszport dyplomatyczny. Natychmiast wsiadajcie do samolotu. Jesteście niezbędni w Addis Abebie. Znalaziono tam napis w nieznanym nauce języku. Organizacja Narodów Zjednoczonych nalega na waszą kandydaturę.

Udałow leci do Addis Abeby. Czarna Afryka rozpościera się pod skrzydłami. Słonie, nosorożce, unosząc ciekawie głowy, odprowadzają samolot rykami i przyjaznymi okrzykami. A cesarz Etiopii we własnej osobie czeka na lotnisku wraz ze switą etiopskich akademików.

- Jak się leciało? - pytają Korneliusza.

- A dziękuję - odpowiada on po etiopsku. A tam już czeka go nominacja na ambasadora lub nawet radcę do pewnego afrykańskiego kraju, którego języka nie zna nikt na świecie, oprócz Udałowa...

"Ftalan dwumetylu - osiem gramów - pojawiła się myśl w mózgu Udałowa - wodorotlenek amonowy... nie, na cóż mi on tutaj?" Udałow spojrział w górę i zobaczył w otwartym oknie apteki farmaceutę Sawicza, piszącego coś właśnie w grubym notesie.

- Chce pan wynaleźć jakieś lekarstwo? - zapytał Udałow.

- Tak, przyszło mi coś do głowy.

- A wodorotlenek amonowy - zażartował Udałow - to jak po naszemu?

- Wodny roztwór amoniaku, czyli po prostu amoniak - powiedział Sawicz i jego oczy zaokrągliły się ze zdziwienia. - A co, rozmawiałem ze sobą na głos?

- Jak by tu powiedzieć... - odrzekł Udałow i poszedł dalej. W tej chwili głowa jego była wypełniona wiadomościami, zdobytymi po drodze w ciągu dwóch godzin. I Korneliusz zaczął wreszcie rozumieć, że jego osobista pamięć nie ma tu nic do rzeczy. Sytuacja wyglądała na znacznie bardziej skomplikowana. Z jakiej przyczyny zyskał on zdolność momentalnego wchłaniania, jak gąbka, dowolnej informacji pisemnej, w której pobliżu się znajdował. I w tym celu nie musiał wcale ani otwierać książki, ani zaglądać do cudzych notesów. Po prostu należało tylko podejść bliżej. Udałow mógł, na przykład, położyć obok siebie kilka podręczników i po sekundzie już wiedział, co w nich było napisane do ostatniej kropki.

- Ciekawe diabelstwo - powiedział Udałow. - A jeśli od tego łeb człowiekowi pęknie?

W tym momencie Udałow przechodził koło kiosku z gazetami. Wchłonał przy tym od razu treść wszystkich gazet i czasopism, nawet starych, które leżały na ladzie i były rozwieszane po bokach. Między innymi ten właśnie numer czasopisma "Zdrowie", w którym była mowa o tym, że normalny człowiek wykorzystuje najwyżej jeden procent swojego mózgu. Pozostałe komórki leżą bez ruchu, jak darmozjady, po próżnicy zużywają jedzenie i witaminy.

- Aha - rzekł Udałow i zatrzymał się pośrodku ulicy. - Wszystko jasne. To jest właśnie ten

dar. Okazuje się że nie był to sen, lecz fantastyczna rzeczywistość. Jakże ja, z moimi nowymi zdolnościami, nie mogłem wpaść na coś tak oczywistego? Przecież to wstyd i hańba!

A jeśli świecący przybysz powiedział prawdę, to dar ten trzeba umieć wykorzystać w taki sposób, aby przyniósł on pożytek ludzkości i sprzyjał międzynarodowej przyjaźni i wzajemnemu zrozumieniu.

Jaki następny krok winien przedsięwziąć rozumny człowiek, który, jeśli zechce, jutro może zostać akademikiem lub przynajmniej członkiem-korespondentem Akademii Nauk? Pójść do biblioteki? Nie, nie wolno. Tam niechcący można wchłonąć tyle różnych bredni, że nawet dziewięćdziesiąt dziewięć procent mózgu nie da sobie z nimi rady. Oddać się w ręce medycyny? Szkoda wolności.

A nogi w tym czasie, niezależnie od myśli, niosły i niosły Udałowa naprzód, aż zawiodły do drzwi przedsiębiorstwa budowlanego. Ręce bezwiednie otworzyły drzwi, a język sam przez się powitał obecnych tam współpracowników. A ponieważ głowa Udałowa zaprzątnięta była niezwykle myśłami, więc w odpowiedzi na pytanie księgowego, czy trzeci rejon ma zamknąć sprawozdania, Udałow odpowiedział zagadkowo: "Akademia Nauk wie lepiej" - i wszedł za przegrodę, do gabinetu.

Tam spoczął na krześle, oparł łokcie o plik zestawień i, stale jeszcze nie uświadamiając sobie, gdzie się znajduje, kontynuował swoje rozmyślenia.

Nęciła go kariera dyplomatyczna. Czarny samochód "Wołga" przed bramą rezydencji, pełni szacunku cudzoziemcy z cocktailami i z whisky w wypielęgnowanych palcach oraz ich sekretarki w wydekoltowanych sukniach. Chciałoby się także spróbować swoich sił w programie kosmicznym. "Tylko pan, profesorze Udałow, może nam odpowiedzieć, czy warto podłączyć do tej rakiety trzeci stopień". A wokół stoją bohaterowie-kosmonauci i czekają na odpowiedź. Przecież od decyzji Udałowa zależy, czy mają lecieć na Marsa, czy raczej się wstrzymać. Albo można jeszcze odkryć tajemnice starożytnej cywilizacji i dowiedzieć się, czy istniała Atlantyda, czy tylko się przywidziała. Taka droga wiodła do cichego akademickiego gabinetu i bezpłatnych skierowań do domu wczasowego dla wybitnych myślicieli. No i oczywiście do międzynarodowych kongresów...

"Nie - postanowił wreszcie Udałow. - Z opublikowaniem nie ma się co spieszyć. Nie jest wykluczone, że jutro wszystko minie i okażę się durniem. W czasie przerwy obiadowej zajdę do technikum i wchłonę w siebie wyższą matematykę. Nigdy nie zaszkodzi. A potem do muzeum. Dowiem się, co tam mają o Piotrze I".

- Wy do mnie? - zapytał, podnosząc głowę.

- My już piętnaście minut staramy się zwrócić na siebie waszą uwagę, Korneliuszu Iwanowiczu - powiedział mężczyzna o czekoladowych oczach, z boksterskim nosem i żółtą

importowaną teczką.

- Nawet dłużej - poparł go malutki staruszek. Staruszek był w okularach, a soczewki okularów były tak grube i silne, że mieściła się w nich tylko dziesięciokrotnie powiększona tęczówka błękitnego koloru, z żyłkami. Staruszek także trzymał w ręku żółtą importowaną teczkę.

- Aha, zjawiliście się - powiedział Udałow.

I w jednej chwili poznał do ostatniego wiersza treść wypchanych teczek. Leżały tam głównie sprawozdania, zaświadczenia, specyfikacje i czyste blankiety spółdzielni, dostarczające ich instytucji wyrobów żelaznych, zamków, kluczy i wszelkich drobiazgów.

Goście usiedli naprzeciw Udałowa i mężczyzna z boksterskim nosem powiedział:

- Mamy dziś piękny dzień, Korneliuszu Iwanowiczu.

Dzień był paskudny, wietrzny, ponury, pochmurny. Całe szczęście, że choć deszcz przestał padać. Udałow w milczeniu zgodził się z gościem i mimochodem przestudiował wszystkie papiery, znajdujące się u tamtego w kieszeniach. I zrozumiał, że może stać się największym rewizorem współczesności, wyjątkowym rewizorem, którego ze względu na znajomość języków będą zapraszać na delegacje służbowe do republik związkowych, do krajów obozu socjalistycznego i może nawet na Zachód. A na drzwiach jego gabinetu zawiśnie skromna tabliczka: "Komisarz milicji pierwszej rangi, naczelnik wydziału specjalnego do szczególnie ważnych poruczeń - K. L. Udałow."

- Tak, dzień jest niezły - przyznał staruszek i powiększone żyłki pod okularami wyraźnie się zaczerwieniły. - A wy do nas, jak słyszeliśmy, macie pretensje. Bezpodstawne i krzywdzące.

- A właśnie - powiedział Udałow zagadkowo i zastukał palcami o blat biurka.

- Nie, Korneliuszu Iwanowiczu, tak nie można - rozpaplał się mężczyzna z boksterskim nosem i wrzucił barczystymi ramionami. - Spółdzielnia się stara, wykonuje i przekracza plan, bez zakłóceń zaopatruje wasze biuro w towary wysokiej jakości i w zamian za to taka wdzięczność? Ja pójdę aż do miejskiej rady narodowej.

- A choćby do powiatowej - rzucił niedbale Udałow. Treść jednej z karteczek w prawej górnej kieszeni marynarki człowieka z boksterskim nosem niesłychanie go zainteresowała. Wyskrobywanie na specyfikacji było tak nieudolne, że widziało się to gołym okiem.

- Dlaczego wy tak, towarzyszu Udałow - molestował staruszek. - Wszystkie dokumenty mamy ze sobą. Najlepszy metal daliśmy na te zasuwki. Doświadczonym majstrom powierzyliśmy robotę. Pracowali dniami i nocami. I wszystko, okazuje się, na nic? A premia kwar-taJna?

- Zaczekaj - przerwał mu współtowarzysz. - Jeśli się jest z czegoś niezadowolonym, to po co zaraz taką oficjalną drogą? Powiedźcie, ja powiem Porfirjiczowi, a Porfirjicz już zrobi, co trzeba.

- Zrobię - powiedział starszek. - Najlepiej polubownie.

- A zasuwki gną się pewnie od wiatru - powiedział Udałow. - Zamki widelcem nawet można otworzyć. Budowę domu wypoczynkowego trzeba było przerwać. A towar sprzedaliście na lewo. Czyż nie tak było?

- Nic podobnego - z przekonaniem zaprzeczył Porfirjicz.

- A trzy tysiące osiemset nieuczciwych rubelków podzieliście między sobą?

- Jakie pieniądze! - oburzył się starszek. Współtowarzyszowi wystąpił nagle pot na czole.

- Ile? - zapytał.

- Trzy tysiące osiemset co do kopiejki. Przecież do tej pory wszystkie wasze obliczenia leżą w kieszeni spodni. Ołówkiem napisałeś tak: "Porfirjiczowi dać siedemset dwadzieścia. Szurowowi - trzysta. Udałowowi, jeśli będzie podskakiwał, dać stówę na odczepnego". Czy to nieprawda?

Człowiek o czekoladowych oczach stracił panowanie nad sobą. Zerwał się z krzesła, sięgnął w popłochu do kieszeni.

- Zdrajca! - jęknął.

Porfirjicz z krzesła nie wstawał. Porfirjicz zbladł tylko. Nawet oczy mu pobladły.

- Trzy tysiące osiemset? A mnie siedemset dwadzieścia? Tak... Nie będzie dla ciebie, bezczelny draniu, żadnej litości od ludu ani na tym, ani na tamtym świecie - wyrzekł cienkim, lecz surowym głosem.

- A zeznanie dla milicji napiszemy od razu - przemówił Udałow, kując żelazo, póki gorące.

- Ja nic nie wiem - powiedział człowiek z boksterskim nosem, usiłując przeżuć wyciągniętą ze spodni notatkę. Napisał ją jednak na dobrym, grubym papierze, który jakoś nie dawał się żuć.

- Nie pomoże - zauważył Udałow. - W prawej kieszeni marynarki Porfirjicza leży podrobiona specyfikacja na blachę.

- A leży - powiedział Porfirjicz. - Lepiej niech sam już posiedzę jako niewinny współnik, ale tę żmiję wsadzę do kryminału.

- I słusznie - zgodził się Udałow. - On was i przedtem za nos wodził.

- Fy ne oszmielicze szę - usiłował krzyknąć z zapchanymi ustami dyrektor spółdzielni. - Ja szę poszkarzę.

- Skarż się, skarż - powiedział mściwie Porfirjicz.

- Nie ma dla niego ratunku - dodał Udałow. - Przecież macie w kieszeni niezbite dowody.

I widząc, że trzeba zadać ostatni cios i znokautować przeciwnika, Udałow postarał się przypomnieć sobie, co mówi w takich wypadkach oficer śledczy na filmach. Niedawno usłyszane słowa błądziły mu po głowie... "Wasze karty zostały odkryte! ..." Nie, nie to... "Ręce do góry!"... Nie. Blisko, całkiem blisko. Aha. I Udałow wyrzekł straszliwym głosem sakramentalne słowa, że

jemu samemu stanęły dęba na głowie przerzedzone złociste włosy.

- Gra skończona! Siadajcie i piszcie zeznanie. Szczere przyznanie się do winy - oto jedyna rzecz, która może złagodzić wasz los!

Błysnęła błyskawica, zapachniało ozonem, blady jak płótno dyrektor spółdzielni opadł na krzesło, wyjął długopis i przy pomocy Porfirjicza zaczął pisać zeznanie.

A Udałow poczuł nagle straszną pustkę w głowie. Taką pierwotną, niežnością pustkę. Nie pamiętał treści ani jednego z tych papierków, które leżały w teczkach spółdzielców. Zapomniał języka angielskiego i hiszpańskiego, nie mógł przypomnieć sobie ani jednej funkcji trygonometrycznej. Wypadły mu z głowy nawet dobitne rymy poematu opublikowanego w ostatnim numerze czasopisma "Ogoniok".

- Ale dlaczego? - krzyknął zrozpaczony. - Za co?

Spółdzielcy popatrzyli na niego wystraszonym wzrokiem i jeszcze szybciej zaczęli pisać zeznanie.

- Sami zanieście na milicję - przykazał im Udałow i niczego więcej nie uświadamiając sobie, rzucił się do wyjścia.

Znowu kropił deszczyk po pożółkłych liściach. Było cicho i jakoś zwyczajnie. I z jasnością oddalającego się nocnego grzmotu zadźwięczały w uszach Udałowa słowa przybysza: "Na wypadek, gdybyś sobie nie mógł poradzić, powiedz na głos słowa: gra skończona i wszystko wróci na Swoje miejsce".

- Ależ ja nie chciałem! - krzyknął błagalnie Korneliusz Udałow, wznosząc ku niebu ręce. - To nieporozumienie. Ja potrafię się nim posłużyć. To przypadkowa pomyłka.

...Udałow wrócił do domu i do wieczora nie przemówił ani słowa. Nie zgodził się na rozmowę z Miszą Standalem, który oczekiwał go przy bramie, nie chciał jeść ulubionej zupy z kluskami. Leżał na kanapie, nie zdjęwszy nawet spodni, i przeżywał swoją pomyłkę, która nie tylko zamknęła przed nim drogę do kariery dyplomatycznej, ale i pozbawiła całą ludzkość może na zawsze przyjaźni z rozwiniętą galaktyką.

I dopiero wieczorem, wypiwszy na uspokojenie sto gramów pieprzówki i wypowiedziawszy niezrozumiałe dla domowników słowa: "Może zorientują się i zmienią decyzję", Udałow podszedł do stolika syna i zapytał go:

- Gdzie masz podręcznik do historii?

- A po co, tato? Nie mamy jutro historii. Nie zadawali.

- Głupi jesteś - odpowiedział ojciec. - Po prostu chcę przeczytać o Piotrze I. A trygonometrii nie chowaj... Człowiek uczy się, póki żyje... W galaktyce z naszą tępotą aż wstyd się pokazać.

Przełożył ELIGIUSZ MADEJSKI

BULWA

1

Przywiozłem Lucynie "polankę". Na jej widok Lucyna opadła na kanapę i siedziała bez ruchu co najmniej trzy godziny (daję słowo, że wcale nie przesadzam). Nie znam przyjemniejszego zajęcia niż ofiarowywanie przedmiotów, na widok których obdarowywani tracą mowę i zamieniają się w słup soli. Usiadłem więc naprzeciwko i z wielką próżnością zacząłem wpatrywać się w Lucynę, czekając, aż przyjdzie do siebie na tyle, aby zapoznać mnie ze swymi planami na najbliższe dni.

- To będzie... - powiedziała wreszcie. - Wszyscy padną trupem!

Wszyscy, to znaczy przyjaciółki i w ogóle znajome, a może nawet cała żeńska ludność miasta. Oczami duszy ujrzałem makabryczny widok: Lucyna idzie ulicą odziana w strój z polanki, a na jej widok kobiety, młode i niemłode, piękne i niezbyt przystojne chwieją się i kładą pokotem na klombach pod ścianami domów. Natychmiast zrobiło mi się ich żal, wołałbym bowiem, aby padli trupem mężczyźni i to nie wszyscy, lecz tylko moi konkurenci, którzy kręcą się wokół Lucyny, podczas gdy ja z narażeniem życia łowię dla niej "polanki" lub zjeżdżam na dno kopalni. W życiu zawsze tak bywa. Odyseusze krążą po oceanach, sprzyjając pierwotnej akumulacji kapitału, niewolnicy wiosłują na galerach albo mrą w kopalniach, a księżniczki otoczone gronem pochlebców cieszą się z życia w oczekiwaniu na bogate dary.

- Polanka - powiedziała Lucyna rozmarzonym głosem, gdy ja wciąż jeszcze znęcałem się w myśli nad pochlebcami mojej pięknej damy i dlatego postarałem się zakłócić jej błogi nastrój.

- Wiesz, dlaczego właśnie "polanka"? - zapytałem.

- Nie. Pewnie dlatego, że piękna, pewnie dlatego, że jej ornament gra wszystkimi barwami tęczy, niczym polanka wśród lasu...

- Nic podobnego. Tego motyla ochrzczono tak na cześć Teodora Polanowskiego, Teodora Fiodorowicza Polanowskiego, jeśli mam być dokładny.

- Tak? - powiedziała Lucyna roztargnionym tonem, gładząc smukłymi, długimi palcami delikatny puszek polanki. - To ciekawe. Polanowski.

Zupełnie jej to nie interesowało. Znów znieruchomiała, a ja chciałem opowiedzieć jej o Polanowskim, przekonać ją, że Polanowski jest brzydki, nudny i natrętny, nierozważny, a nawet głupi... Teodor Fiodorowicz różnił się od wszystkich pozostałych śmiertelników zadziwiającym uporem, który można było porównać z uporem mrówki, zajadłością buldoga i zdolnością poświęcenia się dla sprawy, nawet wówczas, gdy owa sprawa w oczach innych śmiertelników nie

warta była funta kłaków. Chociaż, któż to może powiedzieć, co istotnie jest najważniejsze w naszym zawikłanym, skomplikowanym świecie? Dobrze było żyć w spokojnym, prowincjonalnym dwudziestym wieku, kiedy wszystko było jasne i oczywiste. Newton był czczony jako autorytet, a w szkołach studiowano prace Eurypidesa, kiedy ludzie z zółwią prędkością latali prymitywnymi samolotami, nikt się nigdzie nie spieszył, a na malutkich przystankach zatrzymywały się sapiące pociągi. Teraz o leniwej błogości owych czasów mogą marzyć jedynie babcie, a wnuki, jak to wnuki, nie dosłuchują do końca rozlewnych babcinych opowieści i uciekają, odlatują, dematerializują się... Pewnie się już zestarzałem, bo w przeciwnym razie niby dlaczego miałbym zatęsknić do spokojnej przeszłości?

2

Polanowski łączył w sobie tempo i zdecydowanie naszych czasów z pełną uporu konsekwencją wieku minionego. Był ideałem, który wypadł poza strumień czasu i jakimś cudem utrzymał się w przestrzeni. Cudem, ale jakże mocno!

Wezwał mnie do siebie kierownik kopalni Rodriguez i powiedział:

- Lee, mamy gości. Gościowi trzeba pomóc. Zaprowadzisz go do kopalni?

- Za późno - odparłem. - Od wczoraj kopalnia jest unieruchomiona i ty wiesz o tym lepiej ode mnie. Lada chwila może ruszyć woda.

- To szczególny wypadek, Lee - powiedział Rodriguez, mrużąc prawe oko. - Poznajcie się.

Dopiero teraz spostrzegłem w kącie gabinetu mężczyznę, który siedział złożony we troje i gapił się w podłogę. Jednak pierwsze wrażenie było mylne. Facet tylko czekał na właściwy moment, aby rzucić się do walki. Pokonał już niezłomnego Rodrigueza i teraz zamierzał stłamsić mnie.

- Dzień dobry - powiedział, prostując po kolei wszystkie stawy. - Nazywam się Polanowski, Teodor Piodorowicz Polanowski. Słyszeliście o mnie?

Nie miał wątpliwości, że słyszałem o nim. A ja nie słyszałem, do czego natychmiast przyznałem się bez wielkiego wstydu.

- Ja natomiast o was słyszałem - powiedział Polanowski z pewną urazą. - Rodriguez powiedział mi, że jesteście najlepszym zwiadowcą w kopalni, że znacie ją jak swoje pięć palców. Powiedział też, że akurat nie macie nic do roboty. Zgadza, się?

- Rodriguez wie lepiej - powiedziałem.

- Teraz, gdy was zobaczyłem, ja również nie mam co jdo tego najmniejszej wątpliwości -

oświadczył Teodor głosem surowego, lecz sprawiedliwego egzaminatora. - I dlatego liczę na was.

Odwrociłem się do Rodrigueza i przybrałem wyraz niesłychanego zdumienia. Ten Teodor zupełnie mi się nie podobał, a w ogóle to miałem wolny tydzień, który chciałem spożytkować na wyprawę w góry.

- Słuchajcie! - powiedział Teodor, świdrując mnie potężnym nosem, któremu było wyraźnie ciasno na zbyt wąskiej twarzy. - Liczę na was. Jesteście moją ostatnią nadzieją, bo Rodriguez samego nie chce mnie puścić do kopalni.

- Tego tylko brakowało! - powiedziałem. - Żywi stamtąd nie wyjdziecie.

- Uprzedzam was - oświadczył na to Teodor - że mimo wszystko wejdę do kopalni, choćbym miał iść sam. I jeśli tam zginę, cała odpowiedzialność, mam na myśli odpowiedzialność moralną, spadnie na was.

Wydobył z kieszeni gigantyczną dłoń i wyprostował masywny palec, aby skierować go oskarżającym gestem w stronę Rodrigueza. I w moją.

- Wybaczcie, profesorze - powiedział Rodriguez z niezwykłą galanterią, o którą nigdy bym go nie posądził - nie zapraszaliśmy was i gdybyśmy wiedzieli wcześniej o waszym przyjeździe, nigdy nie wyrazilibyśmy zgody na lądowanie o tej porze roku. Przylećcie do nas za trzy miesiące, a wtedy wszystko będzie w porządku.

- Za trzy miesiące nie będę miał tu nic do roboty i wy doskonale o tym wiecie - powiedział Polanowski. - Muszę zejść do kopalni dziś lub jutro.

- Przecież lada moment popłynie woda! - wykrzyknąłem. Zrobiło mi się żal Rodrigueza. Szef nie był niczemu winien i zawołał mnie tylko po to, abym potwierdził, że teraz istotnie do kopalni schodzić nie można.

- Zdążę - powiedział Teodor. - Bywałem w znacznie gorszych opałach. Takich warunków nawet nie potraficie sobie wyobrazić. Zawsze wychodziłem cało, przecież to moja praca i muszę ją wykonywać.

- Wszyscy pracujemy - powiedziałem. Rodriguez przekładał jakieś papiery na biurku i walka z Teodoreem spadła na moje barki.

- Jeśli nie zejść do kopalni - oświadczył Polanowski - to nie dokonam odkrycia.

- W naszej kopalni wszystkie odkrycia zostały już dokonane.

- Tak? A co wy wiecie o entomologii?

- Absolutnie nic.

- Jak wobec tego możecie utrzymywać, że wszystko zostało już odkryte?

Otworzył teczkę, którą dotychczas trzymał pod pachą. W teczce między dwoma arkusikami przezroczystego plastyku spoczywał, niczym cenny klejnot, kawałek motylego skrzydła. Nieduży,

wielkości dłoni. Skrzydło było intensywnie błękitne, ale doskonale widziałem, że wystarczy obrócić je o kilka stopni, aby okazało się, że jest pomarańczowe, a gdy obracać je dalej, to pozielenieje.

- Wiecie, co to jest? - zapytał Teodor.

Nie spodobał mi się jego inkwizytorski ton.

- Wiem - odparłem. - Dlaczego niby mam nie wiedzieć? To fragment skrzydła motyla, który nosi u nas nazwę tęczaka i jeszcze wiele innych.

- Widzieliście go sami?

- Sto razy.

- Co wiecie o tym motylu?

- Niewiele. Żyje na drzewach.

- Wielkość?

- One bardzo wysoko latają. No, powiedzmy, ma jakieś pół metra rozpiętości skrzydeł.

- A ile tych skrzydeł?

- Chyba dwa? A może cztery? Nie liczyłem.

- Osiem - poprawił mnie Rodriguez nie odrywając się od papierków. - I sześć par nóg. Chłopcy mi kiedyś przynieśli. Chciałem zachować, zawieźć do domu, ale mole zjadły.

- Możecie mi schwytać przynajmniej jeden egzemplarz? - nie dawał za wygraną profesor.

- Kiedy? Teraz ich nie ma. Gdy będą drzewa, będą i motyle. Dlatego właśnie radzę wam przyjechać za trzy miesiące. Naoglądacie się ich, ile dusza zapagnie. Ale te motyle okropnie cuchną. Tak samo jak kwiaty na drzewach. Gorzej niż amoniak.

- Nieważne - machnął ręką Teodor. - Dla nauki nie jest ważne czy coś cuchnie, czy nie cuchnie, skoro w żadnym zbiorze na całym świecie nie ma ani jednego kompletnego egzemplarza. Skoro nikt nie zna cyklu życiowego tej istoty, skoro tylko ja mam na ten temat pewne idee...

- Jakież to idee?

Zawsze tak bywa, że człowiek zajmuje się pracą, a tu mu na głowę spada wujaszek Teodor z ideami.

- Moje idee dotyczą cyklu życiowego tych istot.

- Po co więc włączyć do kopalni?

- Słuchajcie, Lee, nigdy nie zastanawialiście się, skąd biorą się wasze tęczaki?

- Z bulwy. Niby skąd mogły by się brać?

Te moje słowa wtrąciły uczzonego męża w niejakie zmieszanie.

- Tak sądzicie? Domyśliliście się, czy też widzieliście?

- Mogą wylęgać się tylko w bulwie - odparłem.

- Wobec tego idziemy do kopalni. Znajdziemy tam poczwarki.

- I co dalej?

- Dalej? - Teodor znów osłupiał ze zdumienia. - Będziemy hodować tęczaki na Ziemi! Wiecie, czym jest materia, z którego zrobione są te skrzydła? To przecież niesłychanie piękny, wytrzymały, po prostu nieprawdopodobny materiał!

Rodriguez wydobyl ze sterty papierzysek prognozę meteo na najbliższe dni.

- Proszę spojrzeć - zwrócił się do Polanowskiego. - Temperatura już przekroczyła normę. Dziś w południe radiacja słoneczna osiągnie poziom krytyczny. Widzicie, że chciałem pójść z wami na rękę, wezwałem Lee i niczego mu wcześniej nie mówiąc, zaproponowałem zejście do kopalni. Jego zdanie pokrywa się z moim. Wobec tego sprawę uważam za zamkniętą. Jutro obejrzyjecie sobie kielkowanie pędów, a jest to widok naprawdę niezwykły... Przyjeżdżają tu do nas filmowcy, malarze, artyści. Potem schwytaicie motyle, w czym z przyjemnością wam pomożemy.

- Teraz nie chodzi mi o motyle. Trzeba odszukać wczesne stadia metamorfozy. Kiedy motyle wylecą, będzie już na to za późno. Czyżbyście tego nie rozumieli?

- Doskonale rozumiem, ale do kopalni nie wpuszczę - powiedział Rodriguez. - Definitywnie.

Przesunął sobie selektor, gdyż istotnie w każdej chwili mogli zjawić się goście, których trzeba było odpowiednio rozlokować. Każdy z nich był przekonany, że właśnie on jest główną ozdobą uroczystości.

- Kosmodrom? - zapytał Rodriguez. - Drugi statek z Ziemi jeszcze nie wylądował?

- Dostanę się do kopalni. Nie myślcie, że potrafię mnie powstrzymać. Mnie usiłowały powstrzymać indywidualności znacznie silniejsze od was - oświadczył Teodor.

- No i jak? - zainteresował się Rodriguez, który sam uważał się za silną indywidualność.

- Nic z tego nie wyszło! - Teodor zachrząsał stawami, obrócił się na pięcie i jednym, niewiarygodnie długim krokiem opuścił pokój.

- Dobrze się u nas urządziliście? - krzyknął Rodriguez głosem gospodarza.

Polanowski nie odpowiedział i Rodriguez zwrócił się do mnie:

- Przypilnuj go, bo rzeczywiście może poleżeć na dół.

- Przy szybie jest dyżurny.

- Mimo wszystko miej go na oku. Jeśli profesor utonie, nauka nigdy nam tego nie wybaczy.

Wyszedłem z budynku. Nad doliną, naga, szarą i obrzydliwie monotonna wznosiły się tumany lodowatego kurzu. W zagłębieniach gruntu leżał gruby szron. Zbliżał się wieczór. W powietrzu wyczuwało się jakiś niepokój i napięcie, które zawsze poprzedzało eksplozję wiosny. Wiał silny wiatr i kurz kłębił się wokół pudełkowatej konstrukcji wyciągu szybowego, zasypywał

drogi dojazdowe i wielkimi zwałami gromadził się przy pierścieniu suszarni. Na ciemniejącym niebie zapłonęła zielonkawa wstęga - lądował statek. Kosmodrom leżał o dwieście kilometrów dalej. Strasznie mnie tam ciągnęło. Ciągnęła sama atmosfera osiedla kosmodromowego, w którym jest wiele nieznanym ludzi, zamieszania i hałas, gdzie człowiekowi nowiny spadają z nieba na głowę. Wróciłem do Rodrigueza i poprosiłem go, aby wysłał mnie po gości. I tak ktoś będzie musiał po nich wyjechać.

Z kosmodromu wróciłem późno. Było już prawie ciemno, księżyc, a jest ich tutaj aż sześć sztuk, po kolei wytaczały się zza horyzontu i pędziły po nieboskłonie. Poszedłem do kopalni, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Na szczycie wzgórek, przy wylocie nowego szybu, spotkałem chłopaków z pierwszej zmiany. Stali wokół wypukłości i spierali się o to, czy pęd wykielkuje jutro, czy jeszcze nie. Wzgórek w ciągu dnia urósł i teraz sięgał mi już do ramienia. Powiedziałem, że kiełek jutro jeszcze się nie pokaże, a chłopcy mi uwierzyli, bo siedziałem tu od pięciu sezonów i uchodziłem za weterana. Teodora przez cały wieczór nigdzie nie widziałem i prawdę mówiąc zapomniałem o nim. Mało to dziwaków trafia na naszą planetę? Zapytałem, kto dyżuruje przy kopalni, dowiedziałem się, że Achundow, i poszedłem do domu.

Kiełek mało mnie interesował, bo widziałem go już pięć razy. Ostatecznie nawet najwspanialszy widok, dla którego ludzie przelatują pół galaktyki, może się w końcu znudzić. Dla nich to jest cudo, a dla mnie powszednia robota. Zacząłem przygotowywać sprzęt na wyprawę w góry. Karenina pokazała mi kiedyś groty, której ściany oblepione były cudownymi szmaragdami. Chciałem przywieźć Lucynie ładną drużę. Do gór miałem pół dnia jazdy, a do groty jeszcze co najmniej dzień marszu.

Położyłem się o drugiej w nocy, a o trzeciej obudził mnie Rodriguez i zapytał, kiedy ostatnio widziałem Teodora Połanowskiego. A ja go, jak już mówiłem, nie widziałem przez cały wieczór. Miałem go niańczyć, czy co?

- Nie ma go w pokoju i na całym terenie - martwił się Rodriguez.

- Pokręci się przy szybie i wróci - powiedziałem. - Tam dyżuruje Achundow. On go nie wpuści.

- A jednak...

Szef każe, personel musi: ubrałem się, zwymyślałem, na czym świat stoi entomologię i jej zwariowanych adeptów, no i poszedłem pod wieżę wyciągową, aby dowiedzieć się, czy Achundow nie widział przypadkiem tego cholernego Teodora.

Achundow Teodora nie widział, a to z tej prostej przyczyny, że był wyłączony. Widocznie Połanowski zaszedł go od tyłu, przyłożył do nosa gałgan nasycony narkotykiem i Achundow momentalnie usnął. Sami byliśmy sobie winni. Przywykliśmy do tego, że tutaj wszelka zwierzyna

pojawia się dopiero latem i dopóki pad nie wykiełkuje, nie mamy się czego obawiać. Kto zresztą z własnej woli wlezie do naszej kopalni? Achundow siedział przed drzwiami, patrzył w gwiazdy i ani mu było w głowie spodziewać się jakiegoś napadu.

Trzeba było wzywać Rodrigueza i lekarza, cucić Achundowa, który oświadczył, że nic nie widział i niczego nie słyszał.

Gdyśmy to już wiedzieli, Rodriguez powiedział:

- Po prostu nie wiem, co teraz zrobić - i popatrzył na mnie.

- A jak wygląda ostatni komunikat? Może on sam wydostanie się na powierzchnię?

- Komunikat jest do niczego - odparł Rodriguez. - Zresztą sam słyszysz.

Owszem, słyszałem coraz głośniejszy szum dobiegający spod ziemi. Kopalnia ożywała.

- Wobec tego pójdę - powiedziałem.

- Kogo ci dać?

- Nikogo. Samemu łatwiej.

- Ale mnie z sobą weźmiesz?

- Nie masz doświadczenia. W dodatku, zanim cię przygotujemy, będzie już za późno. A ja mam wszystko na podorędziu, bo wybierałem się z samego rana w góry. Naciągnę tylko skafander i już.

- Ja cię przepraszam, Lee - powiedział Rodriguez.

- To nie twoja wina - odparłem. - Przecież prosiłeś, żebym go pilnował.

Drzwi nadszybia były wyłamane czysto i fachowo. Ja bym tak nie potrafił.

Sprawdziłem szczelność skafandra, wziąłem zapasowy zbiornik i maskę tlenową dla Teodora, liny, noże i czekan. Rodriguez klepnął mnie po hełmie. Do świtu brakowało jeszcze dwóch godzin i mieliśmy nadzieję, że woda przed wschodem słońca nie ruszy, chociaż nie mieliśmy pewności. Rodriguez i Achundow zostali na powierzchni, aby utrzymywać ze mną łączność. Doktor poszedł obudzić Sinha i przysłać go tu na wszelki wypadek z drugim skafandrem. Rodriguez włączył awaryjne zasilanie głównej windy. Poprzestaliśmy na tym, gdyż nie chcieliśmy budzić ludzi i wzniecać popłochu.

Wszedłem do windy, a Rodriguez pokazał mi gestem, abym starał się zbyt długo nie siedzieć pod ziemią. Sam nie miałem na to wielkiej ochoty, bo dotychczas nie zdarzyło mi się zjeżdżać na dół w takim momencie.

Byłem sam i w wielkiej kabinie windy czułem się nieswojo, gdyż zawsze schodziłem pod ziemię z całą zmianą. Ściany głównego szybu połyskiwały w świetle reflektora czołowego. Zawartość soku w złożu była znacznie wyższa od normalnej. Mdlący zapach wypełniał całą kopalnię. Był to zwykły, niezbyt przyjemny zapach, którym wszyscy byliśmy, jak się zdawało,

przesyceni do końca swoich dni. Nawet przez niskie buczenie windy przebijały westchnienia, szmery i bulgotanie, co sprawiało wrażenie, że za ścianami szybu poruszają się spragnione wolności żywe istoty.

Na dole w głównej komorze wydobywczej powstałem z minutę, zastanawiając się, w którą stronę Teodor mógł się udać. Tunel wiodący na zachód chyba go nie zainteresował. Był zbyt szeroki, wydeptany i gładki. Nie wiedziałem, czy Polanowski miał przy sobie chociaż latarkę. Pewnie miał. Sprawiał wrażenie człowieka przewidującego.

Ze ścian płynęła woda i spąg głównej komory był nią pokryty do wysokości jakichś pięciu centymetrów. Opuściłem przyłbicę hełmu.

- Jak ci leci? - zapytał Rodriguez. Włączyłem nadajnik.

- Dużo wody - odparłem.

Wielki płaskacz wypadł ze ściany i ruszył ku windzie, jakby zamierzał udać się nią na powierzchnię. Zwierzak głośno taplał się w wodzie, wobec czego pogroziłem mu czekaniem, żeby zachowywał się przyzwoiciej.

- Którędy teraz pójdziesz? - zapytał Rodriguez.

- Nowym szybem - odparłem. - Opada w dół i twój entomolog z pewnością dojdzie do wniosku, że najszybciej dotrze nim do najbardziej zapadłych kątów kopalni. On przecież stara się dojść do najgłębszych partii.

- Najgłębszych i najbliższych środka - powiedział Rodriguez. - Wczoraj wypytywał mnie o wszystko, a ja mu jak ten głupi pokazałem plany. Teodor wcale nie ukrywał, że zamierza szukać swoich poczwerek w głównych pniach.

- Ładne rzeczy! - powiedziałem ze złością. - Przecież tam jest kompletny potop.

Nie przerywając rozmowy szedłem w dół potykając się i ślizgając na słodkawej masie złoza i od czasu do czasu przeskakując przez nierozebrałe fragmenty transportera.

- Rodriguez - powiedziałem. - Która to brygada zostawiła tu jakieś pięćdziesiąt metrów transportera?

- Wiem o tym - odparł Rodriguez. - Usiłowali mnie przekonać, że to peryferyjny chodnik i że nie ma sensu wynosić stamtąd ciężarów, żeby za parę dni ciągnąć je z powrotem. Wyraziłem zgodę na pozostawienie. Na zasadzie eksperymentu.

- W wyniku tego eksperymentu trzeba będzie sprowadzać z Ziemi nowy transporter.

- Dobra, dobra - odparł Rodriguez. - Czasami trzeba zaryzykować.

- Im się po prostu nie chciało zabrać sprzętu i na tym polega cały twój eksperyment.

Byłem w paskudnym nastroju, Rodriguez doskonale to rozumiał i nie reagował na moje zrzęczenie.

W posuwaniu się naprzód przeszkadzały mi różne zwierzaki. Zimą mieszkańcy kopalni śpią albo spokojnie drążą swoje chodniki. A teraz... niektóre z nich miały okropnie złośliwe usposobienia i przerażający wygląd. W skafandrze nie musiałem się ich lękać, ale przecież Teodor zeszedł tu praktycznie nagi. Niby zwierząt zagrażających życiu na dole nie było (w zeszłym roku przyjeżdżali biologowie, badali je i kroili), ale pamiętam jak dziś, że Achundow nastąpił na jakiegoś robaka i leżał potem przez tydzień z nogą jak kłoda.

Chodnik zakręcił w lewo i zaczął opadać w dół pod większym kątem. To był chodnik zwiadowcy prowadzący do wielkiej komory niemal w samym środku złoża. Komora była pochodzenia naturalnego. Zamierzaliśmy ją wykorzystać do własnych celów, ale w pobliżu przebiegały główne pnie naczyniowe, wobec czego zostawiliśmy komorę w pierwotnym stanie, aby nie uszkodzić pokładu.

Szedłem chodnikiem, po przyłbicy hełmu ściekał płyn i trzeba ją było od czasu do czasu ocierać, aby ciecz nie zgęstniała. Reflektor niewiele dawał, gdyż jego światło migotało w kroplach wody, oślepiało i przeszkadzało patrzeć do przodu.

- Pomyślałem nagle: jaka to głupota, że nie nazywamy rzeczy po imieniu! Przecież pierwsi zwiadowcy nazywali wszystko zwyczajnie. Złoże na przykład nazywali bulwą. Dopiero my, służba eksploatacyjna, nakleiliśmy na bulwę oficjalną etykietkę: złoże.

3

Kiedy zaproponowano mi przyjazd na tę planetę, z początku myślałem, że chodzi o prawdziwą kopalnię. Kiedy mi wytłumaczono, jak jest w istocie, zdecydowanie odmówiłem. A potem przemogła ciekawość, i w końcu tu przyjechałem. Wcale tego zresztą nie żałuję. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Robota jak robota. Sama planeta też mi się podoba, bo cała jest jedną wielką, białą plamą.

Chociaż kopalnie są tu najważniejsze i najbardziej interesujące. Pamiętam, jak kiedyś usiłowałem wytłumaczyć Lucynie,- co to wszystko znaczy.

- Wyobraź, sobie, kochanie, planetę, na której pory roku zmieniają się dwukrotnie szybciej niż u nas. W pobliżu równika rozpościera się na niej rozległa równina otoczona górami. Panuje tam okropnie kontynentalny klimat. Zimą nie ma ani kropli wilgoci, a mrozy dochodzą do stu stopni. Jak sądzisz, co tam rośliny robić mogą zimą?

Lucyna marszczy swe piękne czołko.

- Pewnie zrzucają liście.

- To by nie pomogło.

- Wiem - oświadczyła Lucyna. - Nie podpowiadaj. Rośliny usychają i zagrzebują nasiona w ziemi.

- Skomplikujemy zadanie. Lato jest krótkie trwa niecały miesiąc. W tym czasie rośliny powinny zakończyć cykl rozwojowy, wydać nowe nasiona...

- Wiem - przerwała mi Lucyna. - One bardzo szybko rosną.

- Teraz sprowadzę do wspólnego mianownika wszystkie twoje teorie i nieco je uzupełnię. Wyobraź więc sobie bardzo wielką roślinę. Tak wielką, aby mogła osiągnąć korzeniem do wody, która tam zalega bardzo głęboko pod ziemią. Ten korzeń jest nie tylko pompą tłoczącą wodę do łodygi, lecz także spiżarnią magazynującą substancje odżywcze. Po prostu bulwą. Tyle tylko, że półkilometrowej średnicy.

- Pół kilometra! - wykrzyknęła Lucyna i rozłożyła ręce, aby łatwiej wyobrazić sobie tę wielką bulwę.

- Teraz - kontynuowałem - roślina może spokojnie obumierać na zimę. Zasadnicza jej część żyje setki lat, ale żyje pod ziemią. Gdy tylko nastanie wiosna, roślina wypuszcza nowe pędy, a bulwa karmi je i poi. Nasza kopalnia mieści się wewnątrz bulwy. Dążymy w niej swoje chodniki niczym gąsienice w jabłku, starając się nie uszkodzić głównych naczyń, którymi woda dociera do rośliny. Po jakichś trzech latach zaczynamy drążyć następną roślinę. W dolinie jest ich całe mnóstwo, chociaż rosną daleko od siebie. Są tam bulwy młodzieńcze, wielkości dwupiętrowego domu, ale są również bulwy-staruszki. Znaleźliśmy jedną, która miała ponad kilometrową średnicę.

- A czy tam są inne... owady? - tym pytaniem Lucyna dała mi prztyczka w nos. Zawsze chciała, abym był kapitanem co najmniej międzygwiazdowego liniowca.

- Mamy bardzo licznych konkurentów. Nie sądzisz chyba, że bulwa, jedyne źródło pokarmu w tej dolinie, mogła zostać zignorowana przez miejscowe stworzenia?

- Nie sądzę - zgodziła się Lucyna i zapytała bez szczególnego niepokoju o całość mojej skóry:

- A czy one was przy okazji nie zjedzą?

- Nie wiem, nie zwalczamy się nawzajem. Te zwierzęta są jaroszami.

- No, a czy na nie ktoś poluje? - Lucynie moje życie na planecie wydało się zbyt blade, mało dramatyczne.

- Kiedy następuje lato, w dolinie pojawiają się drapieżniki polujące na owady i zwierzęta spędzające zimę wewnątrz bulwy, a latem wychodzące na powierzchnię ziemi. Dla nich bulwa stanowi jedynie zimowe schronienie. Mamy tam na przykład niezwykle piękne motyle z półmetrowymi skrzydłami. Nazywamy je tęczakami.

- Chcę mieć takiego motyla - powiedziała natychmiast Lucyna.

- Postaram się go schwytać - obiecałem. - Ale dla nas motyle nie są najważniejsze. Zależy nam na mięsistej, obfitującej w cukry, białko i witaminy masie, którą konserwujemy lub suszymy. Karmimy nią całą planetę i okoliczne bazy kosmiczne, wysyłamy ją nawet na Ziemię. Masa bulwy jest doskonałym surowcem perfumeryjnym i farmaceutycznym. Pewnie o tym zresztą czytałaś...

- Naturalnie - odparła pośpiesznie piękna Lucyna, ale jej nie uwierzyłem.

4

Szedłem więc wąskim, podziemnym chodnikiem akurat tego dnia, kiedy w ogóle nie wolno było zjeżdżać do kopalni. Nastąpiła wiosna. W ciągu najbliższej doby, a może nawet wcześniej, naczynia bulwy zaczną tłoczyć ku górze całe rzeki wody. Na ten okres kopalnię unieruchamia się, wywozi się z niej sprzęt i dopóki nie zakończy się wzrost pędów, my wszyscy mamy urlop. Trwa on zwykle dwa do trzech tygodni. A ten zwariowany entomolog zamiast trochę poczekać wlaź tutaj sam i to w dodatku bez skafandra. Zachciało mu się odnaleźć poczwarki. Okazało się, że wybrałem dobrą drogę. Wywołałem Rodrigueza:

- Juan, znalazłem rozplatanego spieszniaka. Teodor tędy przechodził.

Spieszniak wyglądał przerażająco, ale był zwierzakiem zupełnie nieszkodliwym. Spotykaliśmy je często, przywykliśmy do nich, a z ciężkich, błyszczących szczęk chłopcy robili noże i inne egzotyczne pamiątki. Sam kiedyś przywiozłem taki nóż Lucynie. Wyrzuciła go natychmiast, gdy tylko dowiedziała się, że to kawałek zuchwy jakiejś tam gąsienicy.

Polanowski nie mógł być zbyt daleko. Miałem na nogach ciężkie buty, które prawie nie ślizgały się po lepkiem gruncie, wiedziałem, dokąd iść i nie szukałem niczego poza Teodorem. Nie robiłem też po drodze sekcji napotkanych przypadkowo robaków.

Iść było coraz trudniej. Ze stropu spadały krople, z których każda mogłaby wypełnić szklankę, pod nogami chlupotało. Ściany chodnika wybrzuszały się pod naporem soku. Bulwa radośnie buczała. A w tej lepkiej otchłani krążył gdzieś Teodor i z każdą minutą jego uratowanie stawało się coraz bardziej problematyczne.

W górę pełzły i biegly gąsienice, nimfy, płaskacze, mangusty, spieszniaki i gogle - wszyscy ci mieszkańcy bulwy, którzy nawet latem nie wychodzą na powierzchnię i przez cały rok siedzą w niej jak w bezpłatnym pensjonacie. Uciekinierzy szli zwartą ławą, starając się odejść jak najdalej od centralnego pnia naczyniowego. Wiedzieli, dokąd mają uciekać. Rozsuwałem tę lawinę swoimi ciężkimi buciorami. Wielka, czarno-pomarańczowa tygrysia mangu-sta uniosła głowę i obejrzała

się za mną ze zdumieniem. Pomyślała pewnie: dokąd się ten idiota pcha? Stamtąd żaden z podziemnych mieszkańców żywy nie wraca.

Spodziewałem się odszukać Teodora w komorze, ale znalazłem tam jedynie ślady jego niedawnego pobytu. Jednej ze ścian zadał kilka ran nożem, jakby coś z niej wygrzebał. Zaraz potem widocznie udał się do dziury. Tego właśnie nie powinien robić pod żadnym pozorem. Połączyłem się z Rodriguezem.

- Paskudna sprawa - powiedziałem. - Ten wariat poszedł dalej.

- Oho - powiedział Rodriguez i zamilkł.

Doskonale rozumiałem, dlaczego milczy. Obowiązek zwierzchnika nakazywał mu natychmiast odwołać mnie na powierzchnię. Ale nie mógł tego zrobić, gdyż oznaczało to zgubę Teodora. Dziura prowadziła do jednego z głównych naczyń bulwy. Były to pionowe tunele, którymi woda docierała do kielkującego pędu. Zdarzało mi się wchodzić tam w dobrym, suchym okresie, ale i wtedy były to studnie zawsze wilgotne i gorące, słowem miejsca, których nie warto powtórnie oglądać. Starannie nanosiliśmy je na plan kopalni, aby nie przebić ich którymś z szybów eksploatacyjnych. W dole, na wielkiej głębokości, połyskiwała woda. Tam właśnie oczekiwały na swój czas miliony różnych stworzeń, gotowych wypełznąć wiosną na światło dzienne. Tak się działo w porze suchej. A co tam się dzieje teraz, nawet nie chciałem myśleć. Ale Rodriguez milczał, co znaczyło, że będę musiał jednak tam pójść.

- Decyduj sam - powiedział Rodriguez. - Skafander masz niezawodny.

Co za łobuz, pomyślałem o swoim szefie. To moje tchórzostwo dawało w ten sposób o sobie znać. Nie mogłem sobie z nim poradzić, byłem jednak przekonany, że Lucynie nie opowiem o tym ani słowa.

Wziąłem się w garść i poszedłem do dziury.

Wetknąłem głowę do środka. Pamiętajcie, że byłem w skafandrze ratowniczym, który chroni niemal przed wszystkim, Teodor zaś wyprawił się w tę podróż w zwykłym kombinezonie. Woda podchodziła już do krawędzi otworu. Leżała o jakieś dziesięć metrów niżej. Naczynie o średnicy około sześciu metrów było wypełnione taką ilością różnych zwierzątek, że zapragnąłem zamknąć oczy i na oślep uciec do domu, do mamy. Tubylcy roili się w wodzie, pokrywali kilkoma warstwami ścianę, pełzali i cieszyli się bliską wolnością. A po drugiej stronie naczynia, nieco poniżej otworu wisiał na czekanie mój Teodor pokryty od stóp do głów owadami.

- Żyjecie? - zapytałem rzeczowo, oświetliwszy go reflektorem.

- A, to wy - odparł równie beznamiętnym tonem. - Wkrótce spadnę. Nie moglibyście mi przypadkiem pomóc?

Pomóc? Nie można mu było pomóc, o czym natychmiast zawiadomiłem Rodrigueza, a

zaraz potem wbiłem pierwszy hak w twardą tkankę bulwy i wlałem do studni. Natychmiast oblepili mnie jej mieszkańcy, chociaż na szczęście uznali za swojego i nie atakowali. Jednak nie zamierzali również ustępować mi dobrowolnie siedzących miejsc na ścianach naczynia.

- Trzymajcie się! - krzyknąłem do Teodora i natychmiast zatrzasnąłem przyłbicę, gdyż jakaś przyjaźnie nastrojona gąsieniczka spróbowała się zagnieździć na moim policzku.

Pamiętam jeszcze, jak rozpychając podziemnych gapiów wbiłem w ścianę drugi hak. Przy trzecim zerknąłem w dół i zobaczyłem, że woda dotarła już do nóg Teodora. Dzielnemu badaczowi zrobiło się najwyraźniej nieswojo. Usiłował podciągnąć nogi, obsunął się i z wielkim chlupotem wpadł do wody.

- Ruszam - poinformowałem Rodrigueza i mrużąc ze wstrętem oczy dałem nurka.

Dopadłem Polanowskiego i spróbowałem objąć, aby wydobyć mu głowę na powierzchnię, lecz w tej samej chwili stała się rzecz najgorsza: ruszyła woda. Bulwa ryknęła, włączyła wszystkie swoje pompy i słodkawy sok pomknął z narastającą szybkością do góry. Co było dalej, jakoś nie bardzo pamiętam...

5

Na powierzchni akurat zaczynał się świt. Wielu mieszkańców kosmodromu wiedziało, że nasza bulwa należy do największych, więc wokół kopalni zebrało się co najmniej sto osób, oczekujących niecierpliwie na pierwszy promień słońca.

Gdy się tylko rozwidniło, ogromna wzgórkowata narośl (podobnie jak i wszystkie pozostałe narośla w dolinie), przysypana suchymi gałązkami i warstwą martwych liści, zaczęła wolno puchnąć. To był groźny i niepohamowany ruch życia, sprawiający wrażenie, że jakiś olbrzym, który przespał pod ziemią sto lat, postanowił wyjrzeć na powierzchnię i sprawdzić, co tu robią nieproszone liliputy. A karzełki odsunęły się tymczasem na przyzwoitą odległość od wzgórka i uruchomiły kamery. Rodrigueza między nimi nie było. Rodriguez siedział przy pulpicie sterowniczym windy i słuchał ryku wody w żyłach bulwy.

Po kilku minutach rozległ się łomot pękającej ziemi i z gruntu, rozrzucając dokoła patyki, obumarłe liście i kamienie, pojawił się pierwszy kielek. A właściwie nie pojawił się, lecz wychynął niczym miecz przebijający kotarę. Mówimy nim zawsze "kielek" i można pomyśleć, że jest bardzo niewielki. A tymczasem kielek to zielony palec grubości prawie trzydziestu metrów, rosnący z prędkością trzech metrów na sekundę. Nic więc dziwnego, że potrzebuje tyle wody substancji odżywczych. Po minucie był to już nie kielek, lecz pęd rozwiniętych liści, wysoki na sto

pięćdziesiąt metrów. I takie to kielki, mniejsze lub większe, mniej lub bardziej rozłożyste wyłaziły z ziemi jak okiem sięgnąć i niczym na skinienie różdżki czarodziejskiej, bezpłodna, szara dolina przekształcała się w bujny, jaskrawozielony las... Zaraz też pierwsi mieszkańcy tego lasu, którzy przebili się na powierzchnię razem z kielkiem, zaczęli zagospodarowywać swoje domostwo, pożerać liście, polować na współbraci, spijać nektar z otwierających się kwiatów, połykiwać skrzydłami w promieniach słońca.

I wtedy właśnie nastąpił kluczowy moment tego feerycznego spektaklu. Przynajmniej tak utrzymywali świadkowie. Z tej akurat strony potężnego, zielonego pnia, która była zwrócona ku widzom, zaznaczyło się wielkie, bąblowate wzdęcie, jakby roślina zamierzała wypuścić w tym kierunku gruby pęd, ale nie wiadomo czemu zrezygnowała. I nagle na oczach wszystkich w zielonej masie coś błysnęło. Nikt z początku nawet się nie domyślił, że to ostrze noża. Stalowa klinga cięła pień od środka, a zafascynowani gapie nie mogli oderwać wzroku od tego fenomenu.

To nie był żaden fenomen. Kiedy otwór stał się wystarczająco duży, na jego krawędziach pojawiły się dwie dłonie, rozrywające zieloną korę. Widowisko, powiadają, było absolutnie mistyczne, potworne i przywodzące myśl o złych duchach, rwących się na swobodę z odwiecznego więzienia. Wreszcie w otworze, z którego płynął już strumieniami przezroczysty sok, ukazał się człowiek w skafandrze, utyłanym sokiem i zieloną masą. Człowiek wypadł na zewnątrz, na zieloną trawkę, i wyciągnął za sobą jeszcze jednego, sztywnego jak kłoda.

Dopiero wówczas gapie zrozumieli, że coś nie jest w porządku i podbiegli do nas. Miałem jeszcze dość sił, aby odsłonić przyłbicę i zażądać, aby sprowadzili lekarza do Teodora, gdyż byłoby mi przykro, gdyby po tak pasjonującej podróży żyłami drzewa entomolog zmarł. Moje słowa spotkały się ze zrozumieniem i Teodora odratowano.

Powiadają, że kiedy Polanowski odzyskał przytomność (nie widziałem tego, gdyż docucano mnie później niż jego), od razu zapytał: "co z moimi poczwarkami?" Otoczenie uznało, że facet zwariował, ale Teodor wymacał rękami suwak na piersi, otworzył go i zza pazuchy jedna za drugą wypadły trzy poczwarki wielkości butelki mleka, a z nich, prostując skrzydełka, frunęły zaraz motyle-tęczaki, które teraz, kiedy stały się modne na Ziemi, znane są jako "polanki" - od nazwiska Polanowskiego, oddanego nauce entomologa. (Moje nazwisko jakoś w entomologii nie zasłynęło.)

6

Zrozumiałe, że Lucynie opowiedziałem tę historię w znacznym skrócie, bo inaczej nie chciałaby mnie słuchać i uznałaby za nudziarza i zawistnika. Zresztą lapidarność też mnie nie uratowała.

- A wiesz, że to prawdziwy mężczyzna - powiedziała głosem pełnym zadumy. Patrzyła przeze mnie, przez czas i przez miliardy kilometrów, patrzyła tam, gdzie niezłomny Teodor przedziera się przez słodką bulwę, aby uszczęśliwić ją, Lucynę, tęczową polanką.

- Opamiętaj się, co gadasz! - oburzyłem się. - To ja przywiozłem ci polankę i wyciągnąłem go z biedy również ja!

- Ty... ty... wszędzie ty. - W głosie Lucyny brzmiało znudzenie. - Chcę go poznać.

- Po co?

- Ty tego nie zrozumiesz.

...Szkoda, że zamiast polanki nie przywiozłem jej druzy szmaragdów z górskiej pieczary.

Przełożył TADEUSZ GOSK

BIOFORMANT I DZIEWCZYNA

1

No i po wszystkim. Dracz zanotował ostatnie wskazania przyrządów, zahermetyzował aparaturę i skierował roboty do kapsuły lądującej. Później zajrzał do pieczary, w której mieszkał przez ostatnie dwa miesiące, i gdy z niej wychodził, zachciało mu się soku pomarańczowego. Pragnienie było tak silne, że doznał zawrotu głowy. Zbyt długie napięcie dawało o sobie znać. Ale dlaczego właśnie sok pomarańczowy? Diabli wiedzą dlaczego... W każdym razie pragnął, aby sok płynął stromym dnem groty, żeby wystarczyło pochylić się i chleptać go do woli.

“Będziesz miał swój sok - pomyślał. - Będziesz śpiewał pieśni. (Jego pamięć wiedziała, w jaki sposób śpiewa się pieśni, nie miała jednak pewności, czy prawidłowo utrwaliła ten proces.) Będziesz miał ciche wieczory nad jeziorem... Wybierzesz sobie najbliżkitniejsze jezioro świata i to takie, żeby na urwistym brzegu rosły kędzierzawe, rozłożyste sosny, a z grubej warstwy igliwia pod nimi wyglądały brązowe kapelusze borowików”.

Dracz dotarł do pojazdu i zanim wszedł do środka, ostatni raz spojrzął na pofalowaną równinę, na kipiące lawą jezioro i czarne chmury na horyzoncie.

To byłoby wszystko. Nacisnął sygnał gotowości do startu. W kabinie pociemniało, a od pojazdu odskoczyła i pozostała na planecie niepotrzebna już pochylnia. W statku dyżurującym na orbicie zapłonęła biała lampka.

- Przygotujcie się do powitania gościa - powiedział kapitan.

W półtorej godziny później Dracz przeszedł tunelem łącznikowym na statek. Nieważkość utrudniała mu koordynację ruchów, ale poza tym nie sprawiała szczególnych kłopotów. Jemu w ogóle niewiele rzeczy sprawiało kłopoty. Tym bardziej że załoga zachowywała się powściągliwie i nie żartowała z niego. A żartów nieco się lękał, gdyż był bardzo zmęczony. Okres przeciążeń startowych spędził w sterówce, z ciekawością przyglądając się dyżurnej wachcie, leżącej w wannach amortyzacyjnych. Przeciążenia trwały dość długo i Dracz przez cały ten czas pełnił obowiązki dobrowolnego stróża. Nie zawsze dowierzał automatom, bo w ciągu ostatnich miesięcy przekonał się niejednokrotnie, że jest niezawodniejszy od nich. Teraz pilnie obserwował pulpit sterowniczy i w głębi duszy czekał na możliwość ingerencji. Ingerencja okazała się niepotrzebna.

2

O soku pomarańczowym marzył aż do Ziemi. W dodatku, jak na złość, sok pomarańczowy zawsze stał w mesie i dlatego Dracz nie wchodził tam, aby nie widzieć karafki z jaskrawożółtym

płynem.

Dracz był na statku jedynym pacjentem doktora Domby'ego, jeśli w ogóle można go było nazwać pacjentem.

- Mam kompleks niższości - skarżył się doktorowi. - Z powodu tego przeklętego soku.

- Tu nie o sok chodzi - powiedział Dom-by. - Twój mózg z równym powodzeniem mógł sobie ubrać coś innego. Na przykład marzenie o puchowej poduszce.

- Ale ja chcę się napić soku pomarańczowego!

- I tak dobrze, że mówisz i słyszysz - burknął Domby. - Grunin miał znacznie gorzej.

- Wątpliwa pociecha - powiedział Dracz.

Domby był zaniepokojony. Trzy planety, osiem miesięcy katorżniczej pracy. Dracz gonął resztkami sił. Należało okroić program, ale ten uparciuch nie chciał nawet o tym słyszeć.

Aparatura szpitalika pokładowego była zbyt prymitywna, aby za jej pomocą można było Dracza przywoicie zbadać. Pozostawała intuicja, która ostrzegała o niebezpieczeństwie. Choć nie można jej było w pełni zaufać, doktor przy pierwszej łączności z Ziemią wysłał obszerny raport. Czytając go, Geworkian krzywił się z niesmakiem. Krzywił się dlatego, że nie lubił wielosłowa.

A Dracz aż do samej Ziemi czuł się paskudnie. Ciągle chciało mu się spać, lecz krótkie chwile zamroczenia nie przynosiły ulgi, tylko gnębiły okropnymi koszmarami.

3

Mobil instytutu bioformacji przycumował tuż przy włazie statku. Domby powiedział na pożegnanie:

- Odwiedzę was. Chciałbym się z wami zaprzyjaźnić.

- Wyobraźcie sobie, że się uśmiechnąłem - odparł Dracz. - Zapraszam nad błękitne jezioro.

W mobilu towarzyszył Draczowi jakiś nieznajomy młody człowiek. Najwyraźniej brzydził się Dracza i odpowiadając na jego pytania patrzył w okno. Dracz domyślił się, że chłopak nie będzie dobrym bioformistą, i przeszedł do kabiny kierowcy, w której siedział znajomy z instytutu, szofer Polaczek. Polaczek ucieszył się na jego widok.

- Nie sądziłem, że się z tego wykaraskasz - powiedział szczerze. - Grunin nie był od ciebie głupszy.

- Jakoś się udało - odparł Dracz. - Tyle tylko, że jestem bardzo zmęczony.

- To jest najniebezpieczniejsze. Wiem po sobie. Wydaje się człowiekowi, że wszystko jest w porządku, a mózg odmawia posłuszeństwa.

Polaczek miał smukłe, długie palce muzyka i pod jego dłońmi pulpit sterowniczy sprawiał wrażenie klawiatury fortepianu. Mobil leciał tuż pod niskimi chmurami i Dracz mógł oglądać z góry miasto i wypatrywać, co się w nim w czasie jego nieobecności zmieniło.

Geworkian powitał Dracza przy bramie. Zwalisty, błękitnooki starzec z wydatnym nosem siedział na ławce pod tabliczką "Instytut Bioformacji AN ZSRR". Dla Dracza i nie tylko dla Dracza Geworkian już dawno przestał być zwykłym człowiekiem i przekształcił się w pojęcie, w symbol instytutu.

- No tak - powiedział Geworkian. - Zupełnie się nie zmieniłeś. Doskonale wyglądasz. Już niemal po wszystkim. Mówię niemal, bo teraz ja się tobą zajmę, a ty będziesz odpoczywał i przygotowywał się.

- Do czego?

- Do picia tego pomarańczowego soku.

- To znaczy, że Dombi doniósł o wszystkim, a moje sprawy bardzo źle stoją.

- Głupi jesteś i zawsze taki byłeś. Ale po co tu sterczymy? Możemy porozmawiać w środku.

W najbliższym budynku otworzyło się okno, z którego wyjrzały na raz trzy głowy. Alejką od drugiego laboratorium biegł z jakąś probówką w rękę Dima Dimow. Dima zawsze był roztrzepany.

- Nic nie wiedziałem - tłumaczył się Dima. - Dopiero teraz mi powiedzieli.

Dracz wpadł w błogi nastrój syna marnotrawnego, który właśnie wrócił do ojcowskiego domu i wie, że na palenisku trzeszczą smolne polana, a w kuchni pachnie pieczonym cielcem.

- Jak tak można! - napadł Dimow na Geworkiana. - Powinniście byli mnie zawiadomić. Osobiście!

- Pewnie, że nie ma w tym żadnej tajemnicy - odparł Geworkian przeproszającym tonem.

Dracz zrozumiał, dlaczego nie urządzono mu uroczystego powitania: nie było wiadomo, w jakiej formie wróci z wyprawy, a raport Dombi'ego wzbudził tu widocznie popłoch.

- Doskonale wyglądasz - powiedział Dimow.

Ktoś zachichotał. Geworkian syknął na gapiów, ale nikt na to nie zareagował. Nad alejką zwisały kiście kwitnącego bzu i Dracz wyobraził sobie jego wspaniały zapach. Chrabąszcze przelatywały nad głową niczym ciężkie pociski, a słońce zachodziło za szarym pałacykiem, w którym mieścił się hotel instytutu.

Weszli do hallu i na chwilę zatrzymali się przed portretem Grunina. Ludzie na innych portretach uśmiechali się. Grunin był poważny. Zawsze był bardzo poważny. Oraczowi zrobiło się smutno. Grunin był jedynym człowiekiem, który wiedział, znał, odczuwał pustkę i rozpaloną nagość tego świata, z którego właśnie wrócił.

Dracz już od dwóch godzin tkwił na stanowisku kontrolnym. Czujniki oblepiły go jak muchy, ich przewody oplatały niczym pajęczyna. Dima ślęczał nad przyrządami. Geworkian siedział pod ścianą, przeglądał taśmy i zerkał na tablice informacyjne.

- Gdzie będziesz nocował? - zapytał Geworkian.

- Chciałbym u siebie. Nie przemeblowaliście mojego pokoju?

- Jest taki, jaki był.

- No to u siebie.

- Nie radzę - powiedział Geworkian. - Byłoby lepiej, żebyś odpoczął w komorze ciśnieniowej.

- A jednak...

Jak uważasz. Jeśli chcesz spać w masce, nikt ci tego nie zabroni... - Geworkian zamilkł. Wykresy wcale mu się nie podobały, ale nie chciał, żeby Dracz to zauważył.

- Co was niepokoi? - zapytał Dracz.

- Nie wierć się - powiedział Dimow. - Przeszkadzasz.

- Zbyt długo żyłeś w warunkach polowych. Domy powinien był cię odwołać co najmniej dwa miesiące temu.

- Ale wówczas wszystko trzeba byłoby zaczynać od początku.

- No, no - powiedział Geworkian takim tonem, że nie było wiadomo czy potępia Dracza, czy też go chwali.

- Kiedy zamierzacie zacząć? - zapytał Dracz.

- Chociażby jutro. W ciągu nocy zanalizujemy wszystkie zapisy. Bardzo cię proszę, żebyś spał w komorze ciśnieniowej. To dla twojego dobra.

- Jeśli chodzi jedynie o moje dobro to pójdę do siebie.

- Proszę bardzo, nie jesteś nam na razie potrzebny.

"Moje sprawy nie stoją najlepiej - pomyślał Dracz kierując się ku drzwiom. - Stary nie jest w formie".

Bez pośpiechu ruszył w kierunku bocznego wyjścia, mijając po drodze rząd jednakowych, białych drzwi. Dzień pracy dawno się już skończył, ale instytut nie zamarł i nie zasnął. Zawsze przypominał Draczowi wielką klinikę z dyżurnymi pielęgniarkami, ostrymi dyżurami i pilnymi operacjami. Mały budynek mieszkalny dla kandydatów i dla tych, którzy dopiero co wrócili,

mieścił się za laboratoriami, opodal boiska do siatkówki. Smukłe kolumny pałacyku w świetle księżycy sprawiały wrażenie błękitnych. W domu świeciło się parę okien i Dracz na próżno usiłował sobie przypomnieć, które z nich przedtem należało do niego. Jak długo tu mieszkał?... Prawie pół roku... Wracając wieczorami do tego domu i wchodząc na pierwsze piętro liczył w myśli dni...

Nagle zatrzymał się. Zrozumiał, że już nie chce wejść do swego pokoju, rozpoznać wieszaka w przedpokoju, szczerby w schodach i rysy na balustradach. Nie chce zobaczyć dywanika przed swoimi drzwiami.

Co zobaczy w swoim pokoju? Siady życia innego Dracza, książki i przedmioty pozostawione w przeszłości... Zawrócił i poszedł w kierunku poligonu. Geworkian ma rację, noc trzeba spędzić w kabinie ciśnieniowej. Bez maski, która uprzykrzyła się na statku i jeszcze bardziej uprzykrzy się w ciągu najbliższych tygodni. Szedł na przełaj przez krzaki i spłoszył jakąś parkę. Zakochani całowali się na ławeczce ukrytej wśród bzu i ich białe kitle świeciły z daleka jak lampy ostrzegawcze. Dracz powinien ich zauważyć, ale nie zauważył. Tam, na planecie, nie mogło mu się to przydarzyć. Chwilowa utrata czujności oznaczała śmierć.

- To ja, Dracz - uspokoił zakochanych.

Dziewczyna roześmiała się.

- Okropnie się przelęłam - powiedziała. - Bardzo tu ciemno.

- Byliście tam, gdzie zginął Grunin? - zapytał chłopak bardzo poważnym tonem. Chciał pogadać z Draczem, zapamiętać tę noc i nieoczekiwane spotkanie.

- Tak, tam - odparł Dracz i nie zatrzymując się ruszył w stronę oświetlonych okien laboratorium poligonowego.

Aby dotrzeć do komory ciśnieniowej, musiał przejść korytarzem obok kilku sal roboczych. Zajrzał do pierwszej z nich. Sala była przedzielona przezroczystą przegrodą. Wydawało się, że przegrody w ogóle nie ma, a zielonkawa woda w niewytłumaczalny sposób sama utrzymuje się w powietrzu i nie spada na pulpit kontrolny, przy którym siedziały dwie szczuplutkie dziewczyny.

- Można wejść? - zapytał Dracz.

Jedna z dziewcząt odwróciła się.

- Oj! - zawołała - przestraszyłam się. Jesteście Dracz, dubler Grunina?

- Zgadza się. A kogo tu macie?

- Nie znacie go - powiedziała druga dziewczyna. - Przyjechał później. Nazywa się Fere, Stanisław Fere.

- Mylicie się, znam go - odparł Dracz: - Studiowaliśmy razem. On był na niższym roku.

Dracz niezdecydowanie przystanął przed ścianką, starając się w kłębowisku wodorostów

wypatrzeć postać Ferego.

- Posiedźcie z nami - powiedziały dziewczęta. - Nam też się nudzi.

- Dziękuję.

- Poczęstowałabym was wafelkami...

- Dziękuję, nie jadam wafelków.

Dziewczęta roześmiały się.

- Humor wam dopisuje. A inni martwią się i denerwują. Stasio też się denerwuje.

Dracz wreszcie dojrzał Stanisława, który wyglądał jak brunatny wzgórek.

- Ale to tylko z początku, prawda - zapytała dziewczyna.

- Nie, nieprawda - odparł Dracz. - Teraz też się denerwuję.

- Niepotrzebnie - powiedziała druga dziewczyna. - Geworkian zrobi wszystko jak należy.

To geniusz. Obawiacie się, że zbyt długo tam byliście?

- Trochę się boję, chociaż mnie uprzedzali, kazali wcześniej wracać...

5

Pewnie, uprzedzali go i to nieraz. Wówczas ludzie w ogóle nie bardzo wierzyli w celowość pracy Geworkiana. Nie ma sensu, powiadali, ryzykować, skoro są automaty. Ale instytut nadal istniał, gdyż bioformanci byli jednak potrzebni. Uznanie sceptyków przyszło wtedy, kiedy bioformanci Selwin i Skowroński zeszli pod wodę po batyskaf Yaltonena, który po utracie kabla utknął na głębokości sześciu tysięcy metrów. Robotów, które potrafiłyby zejść do rozpadliny i tam zorientować się, w jaki sposób uwolnić batyskaf i badaczy, jeszcze nie skonstruowano. A bioformanci zrobili wszystko, co należało.

- W zasadzie - powiedział wtedy Geworkian na jednej z licznych konferencji prasowych - nasza praca została przepowiedziana niejako przez setki twórców literatury fantastycznej i bajkopisarzy tak szczegółowo, że nie musimy już niczego wymyślać, lecz po prostu realizować ich pomysły. Przebudowujemy strukturę biologiczną człowieka zgodnie z zamówieniem, przygotowujemy go do wykonania określonej pracy. Pozostawiamy przy tym możliwość odwrócenia tej przebudowy. Najtrudniejszą bowiem częścią naszej działalności jest powrót do punktu wyjściowego. Biotransformacja winna przypominać odzież, skafander ochronny, który możemy zdjąć, gdy tylko przestanie być potrzebny. Zresztą nie zamierzamy konkurować z konstruktorami skafandrów, bo wkraczamy do akcji wtedy, gdy oni są bezsilni. Skafander do pracy na głębokości dziesięciu kilometrów jest zbyt ciężki i sztywny, aby istota w nim zamknięta mogła

wykonywać pracę z taką samą łatwością, jak na powierzchni Ziemi. Ale na tej głębi doskonale czują się niektóre ryby i skorupiaki. W zasadzie możliwa jest taka przebudowa organizmu człowieka, aby funkcjonował on tak samo jak organizm ryby głębinowej. Gdy to jednak osiągniemy, powstanie inny problem. Nie wierzę w to, aby człowiek, który wie, że skazany jest do końca swych dni na przebywanie w oceanicznej głębi, w środowisku skorupiaków i ryb, mógł pozostać człowiekiem pełnowartościowym. Ale jeśli rzeczywiście potrafimy przywrócić człowiekowi jego pierwotną postać i naturalne środowisko ludzkie, to bioformacja będzie miała rację bytu i okaże się pożyteczna dla ludzkości.

W owym czasie przeprowadzano dopiero pierwsze doświadczenia. Na Ziemi i na Marsie. Chętnych było pod dostatkiem, a nawet więcej. Glacjologowie i speleolodzy, wulkanolodzy i archeolodzy potrzebowali dodatkowych rąk, oczu, skóry, płuc, skrzel... Pracownicy instytutu mówili nowicjuszom, że nie wszyscy bioformanci chcieli się z tymi nowymi organami rozstawać. Opowiadali im bajeczkę o speleologu, wyposażonym w skrzel i ogromne, widzące w ciemności oczy, który wręcz uciekł ze stołu operacyjnego, na którym chciano mu przywrócić ludzki wygląd... Powiadali, że uciekinier od tej pory ukrywa się w wypełnionych lodowatą wodą, bezdennych grotach Qintano-Roo, czuje się znakomicie i dwa razy na miesiąc przysyła do "Speleological Review" obszernie artykuły na temat swoich odkryć, wydrapane krzemieniem na wyszlifowanych płytkach grafitu.

Kiedy Dracz pojawił się w instytucie, miał na swym koncie pięć lat lotów kosmicznych, wystarczające doświadczenie w kierowaniu pracą robotów budowlanych i pół tuzina publikacji na temat epigrafiki Monów. Grunina wtedy już przygotowywano do biotransformacji i Dracz został jego dublerem. Przygotowywali ich do pracy na ogromnych, rozżarzonych planetach, wśród szalejących ognistych burz i wirów atmosferycznych, na planetach z niezwykle wysokim ciśnieniem i z temperaturami dochodzącymi do ośmiuset stopni. Planety te trzeba było jednak zagospodarować, gdyż stanowiły prawdziwy skarb cennych metali i mogły stać się wręcz niezastąpionymi laboratoriami dla fizyków.

Grunin zginął w trzecim miesiącu pracy i gdyby nie upór Dracza, Geworkian - sam Geworkian! - nie zdołałby zwalczyć oponentów. Dla Dracza zaś, a Geworkian i Dimow doskonale o tym wiedzieli, najtrudniejsza była transformacja. Najtrudniej było budzić się rano ze świadomością, że dziś w mniejszym stopniu jest się człowiekiem niż było się wczoraj, a jutro zostanie z tego człowieka jeszcze mniej. Dracz był przygotowany na najgorsze, Geworkian i Dimow omawiali z nim wszystkie jego właściwości konstrukcyjne, eksperci przynosili mu do zatwierdzenia próbki jego skóry i przestrzenne modele jego przyszłych oczu. To było ciekawe i to było ważne. Ale nie potrafił do końca uświadomić sobie prostego w końcu faktu, że dotyczy to

właśnie jego ciała. Dracz widział Grunina przed odlotem i pod wieloma względami miał być podobny do Grunina, a właściwie stanowić udoskonalony model tego, co formalnie nadal nazywano Gruninem, lecz nie miało niczego wspólnego z portretem wiszącym w hallu laboratorium centralnego. W dzienniku Grunina, napisanym sucho i rzeczowo, znalazły się słowa: "Diabelnie smutno żyć bez języka. Nie daj ci Boże, Dracz, odczuć to na własnej skórze". Dlatego Geworkian uczynił wszystko, żeby Dracz mógł mówić, chociaż mocno skomplikowało to biotransformację, a dla Dracza oznaczało kilka dodatkowych godzin, spędzonych na stole operacyjnym i w gorących wannach z płynami biologicznymi, w których narastały nowe fragmenty jego ciała. Najgorsza więc była obserwacja własnej przemiany i stała walka z irracjonalnym strachem, że zostanie się takim na zawsze.

6

Dracz znakomicie rozumiał obecny stan Ferego. Fere miał pracować w jadowitych, bezdennych bagnach Chronosa. Dracz był w znacznie lepszej sytuacji. Mógł pisać, rysować, znajdować się wśród ludzi, mógł deptać zielone trawniki instytutu, podchodzić do pałacyku z białymi kolumnami. Fere zaś do końca swojej wyprawy, do chwili, póki mu nie przywrócą ludzkiej postaci, był skazany na świadomość, że od ludzi musi dzielić go co najmniej gruba szyba. Fere wiedział, co go czeka, i dołożył wiele starań, aby zyskać prawo do tych tortur. Ale teraz...

Dracz postukał w szybę.

- Nie budźcie go - powiedziała jedna z dziewcząt.

Brunatny wzgórek wyprysnął w chmurze szlamu i potężna, stalowoszara płaszczyzna rzuciła się do przodu. Dracz cofnął się instynktownie. Płaszczka znieruchomiła o centymetr od szyby. Jej ciężki, nieruchomy wzrok hipnotyzował.

- One są potwornie drapieżne - powiedziała dziewczyna, a Dracz uśmiechnął się w duchu. Jej słowa odnosiły się do innych, prawdziwych płaszczynek z Chronosa, co nie znaczyło, że Fere jest mniej drapieżny od tamtych. Rają ostrożnie przytknęła ostry pysk do przegrody i wpatrywała się w Dracza. Fere nie poznał go.

- Zapraszam cię nad błękitne jezioro - powiedział Dracz.

...Malutka kabina operacyjna następnej sali roiała się od młodych ludzi, którzy odpychali się nawzajem od grubych iluminatorów i wyrываяc sobie z rąk do rąk mikrofon, udzielali komuś sprzeczných rad.

Dracz zatrzymał się za plecami doradców. Przez iluminator dojrzał wśród wypełniającej

salę lekkiej mgiełki jakąś dziwną postać. Ktoś błękitny i niezręczny unosił się w powietrzu pośrodku sali, spazmatycznymi ruchami wyskakiwał do góry, ginął z pola widzenia i pojawiał się znów w szkle iluminatora z zupełnie innej strony, niż można się było tego spodziewać.

- Szerzej skrzydła, szerzej! Podkul łapy! - krzyknął do mikrofonu rudy Murzyn, ale zaraz mikrofon wyrwała mu dziewczęca ręka:

- Nie słuchaj go, nie słuchaj. On zupełnie nie potrafi się wcielić w twoją postać. Wyobraź sobie...

Dracz nie dowiedział się jednak, co miał sobie wyobrazić ten, który znajdował się w sali. Istota za iluminatorem znikła. Zaraz potem z głośnika dobiegł odgłos głuchego uderzenia, a dziewczyna zapytała rzeczowo:

- Bardzo się potłukłeś?

Odpowiedzi nie było.

- Otwórzcie włącznik - powiedziała pulchna niewiasta z grubym warkoczem, ułożonym w koronę wokół głowy.

Rudy Murzyn nacisnął guzik i niewidzialna dotychczas osłona włącznika odpełzła w bok. Z otworu powiało przenikliwym zimnem. Minus dwadzieścia, zauważył odruchowo Dracz. Ciepłe powietrze z kabiny wpadło do wnętrza sali i o-twór włącznika wypełnił się gęstą mgłą. W tumanie pary zmaterializował się bioformant. Murzyn podał mu maskę:

- Załóż, tu jest zbyt dużo tlenu.

Osłona włącznika wróciła na miejsce.

Bioformant nieporadnie starając się nikogo nie potrącić złożył pokryte puchem skrzydła. Zbyt cienkie ręce i nogi drżały mu jak w febrze. - Zmęczyłeś się? - zapytała pulchna niewiasta.

Człowiek-ptak kiwnął głową.

- Trzeba zwiększyć powierzchnię nośną skrzydeł - powiedział rudowłosy Murzyn.

Dracz powoli wycofał się do korytarza. Opanowało go bezmierne zmęczenie. Marzył teraz tylko o tym, żeby dotrzeć do komory ciśnieniowej, zdjąć maskę i usnąć.

7

Następnego dnia rano Geworkian zrzędził, burczał i bez powodu czepiał się laborantów. Dracza powitał tak, jakby ten poprzedniego dnia mocno mu dopiekł, a kiedy Dracz zapytał: "Ze mną jest coś niedobrze?" - w ogóle mu nie odpowiedział i zajął się przeglądaniem taśmy.

- Nic strasznego - powiedział Dimow, który najwidoczniej tej nocy ani na moment nie

zmrużył oka. - Tego właśnie się spodziewaliśmy.

- Spodziewaliśmy się?! - ryknął Geworkian. - Niczego nie oczekiwaliśmy! Pan Bóg stworzył ludzi, a my ich kroimy na nowo! A potem dziwimy się, jeżeli coś nie wychodzi!

- Ale co ze mną?

- Nie ma powodu, abyś trząś się ze strachu.

- Moje ciało nie jest do tego przystosowane.

- A ja powtarzam: nie ma powodu! Skleimy cię z powrotem. Ale zajmie to więcej czasu, niż myśleliśmy.

Dracz nie odpowiedział.

- Zbyt długo siedziałeś w swoim obecnym ciele. Jesteś teraz nowym gatunkiem, rodzajem, rodziną i rzędem istot rozumnych. A każdy gatunek ma własne dolegliwości i choroby. Zamiast obserwować swoje reakcje i oszczędzać siebie, bawiłeś się w eksperymentatora, jakbyś chciał sprawdzić, przy jakich obciążeniach twoja cielesna powłoka rozleci się w diabły.

- Gdybym tego nie robił, nie wykonałbym zadania, które mi zlecono.

- Bohater - parsknął Geworkian. - Twoje obecne ciało choruje. Tak, choruje własną, nie znaną medycynie dolegliwością. I dlatego będziemy musieli cię remontować w miarę transformacji i to tak, żeby mieć pewność, że nie staniesz się potworem lub cyborgiem. Ale to jest nasz kłopot. Będziemy musieli cię jeszcze zbadać, a na razie możesz sobie iść, dokąd chcesz i robić to, na co masz ochotę.

8

Dracz zrobił to, czego nie powinien robić: wyszedł za bramę instytutu i ruszył w dół, ku rzece. Dreptał wąską alejką parku, poprzecinaną słonecznymi promieniami, patrzył na swój krótki cień i myślał, że jeśli przyjdzie mu u-mrzeć, to jednak lepiej zrobić to w zwykłej, ludzkiej postaci. Wtedy właśnie zobaczył dziewczynę. Szła alejką w górę, co parę kroków zatrzymywała się, przechylała głowę i przyciskała dłoń do ucha. Jej długie włosy pociemniały od wody. Dziewczyna była bosa i śmiesznie podkurczała palce u nóg, aby nie pokaleczyć ich na ostrym żwirze. Dracz chciał zejść z alejki i ukryć się za krzakiem, aby jej nie straszyć, ale nie zdążył. Dziewczyna już go zobaczyła.

Zobaczyła ciemnoszarego, jakby ołowianego żółwia, na którego pancerzu, niczym mniejszy żółwik, wznosiły się półkula głowy z jednym wypukłym, cyklopim okiem, podzielonym na mnóstwo owadzych komórek. Żółw sięgał jej do pasa i sunął na krótkich grubych łapach

wysuwających się spod pancerza. Wydawało się, że jest ich bardzo dużo, dziesięć, a może nawet więcej. W przedniej, stromej ścianie pancerza widniało kilka otworów, z których wystawały końce macek. Pancerz był porysowany, w niektórych miejscach pokrywały go rozchodzące się promieniście płytkie pęknięcia, jakby ktoś chciał rozłupać żółwia ostrym dłutem lub strzelał doń pociskami przeciwpancernymi. Żółw wyglądał złowieszczo, niczym starodawna maszyna bojowa.

Dziewczyna znieruchomiała z ręką przyciśniętą do ucha. Chciała uciec albo krzyczeć, lecz nie odważyła się uczynić ani jednego, ani drugiego.

“Ale ze mnie dureń! - pomyślał Dracz. - Tracę reakcję”.

- Przepraszam - powiedział żółw. Głos równy i mechaniczny wydobywał się spod metalowej maski, osłaniającej głowę aż po samo oko. Oko pulsowało, jakby dzielące je przegrody były miękkie i elastyczne.

- Przepraszam, że was przestraszyłem. Nie chciałem tego.

- Jesteście... robotem? - zapytała dziewczyna.

- Nie, bioformantem - odparł Dracz.

- Przygotowujecie się do wyprawy na jakąś planetę? - zapytała dziewczyna.

Chciała odejść, ale odejść znaczyło pokazać, że się boi. Stała więc i pewnie liczyła w myśli do stu, żeby opanować lęk.

- Już wróciłem - powiedział Dracz. - Proszę iść dalej, proszę na mnie nie patrzeć.

- Dziękuję! - wykrzyknęła z ulgą dziewczyna i na palcach, zapominając o ostrych kamykach, obiegała Dracza półkolem. Już z daleka krzyknęła:

- Do widzenia!

Odgłos jej kroków utonął w szmerze liści i gorączkowej krzątaninie majowego lasu. Dracz wyszedł nad brzeg rzeki i zatrzymał się przy ławce stojącej na niewielkim urwisku. Wyobraził sobie, że siada na ławce i na myśl o tym serce podeszło mu do gardła. “Dobrze byłoby - pomyślał - skoczyć z urwiska i koniec”. Była to jedna z najgłupszych myśli, jakie nawiedziły go w ciągu ostatnich miesięcy. Przecież z równym powodzeniem mógł skoczyć do Niagary i też nic by mu się nie stało. Kompletnie nic. Bywał w znacznie gorszych sytuacjach.

Dziewczyna wróciła. Podeszła cicho, usiadła na ławce i patrzyła wprost przed siebie, położywszy wąskie dłonie na kolanach.

- Pomyślałam z początku, że jesteście jakąś maszyną. Czy bardzo dużo ważycie?

- Tak. Jestem ciężki.

- Wiecie, tak jakoś pechowo nurkowałam, że do tej pory nie mogę wytrząsnąć wody z ucha.

Warn to się kiedyś zdarzało?

- Zdarzało się - powiedział Dracz.

- Mam na imię Krystyna. Mieszkam tu w pobliżu u znajomych, do których przyjechałam w odwiedziny. Przestraszyłam się jak idiotka, uciekłam i pewnie was obraziłam.

- Nic podobnego. Ja uciekłbym od razu.

- Gdy tylko odeszłam, zaraz sobie przypomniałam. Wróciliście z tych samych planet, na których pracował Grunin, prawda? Pewnie było bardzo ciężko?

- To już jest poza mną, a jeśli wszystko dobrze pójdzie, za miesiąc mnie nie poznacie.

- Naturalnie, że nie poznam.

Na wietrze jej włosy szybko wysychały.

- Wiecie - powiedziała Krystyna - jesteście moim pierwszym znajomym kosmonautą.

- Cieszą się. Studiujecie?

- Mieszkam w Tallinie i tam studiuje. Mam szczęście. Na świecie jest bardzo wielu zwyczajnych kosmonautów i szalenie mało takich...

- Chyba około dwudziestu.

- A czy potem, kiedy odpoczniecie, znowu, zmienicie ciało? Staniecie się rybką albo ptakiem?

- Tego się jeszcze nie robi. Nawet jedna transformacja to dla człowieka zbyt wiele.

- Szkoda.

- Dlaczego?

- Bo to bardzo interesujące, kiedy można wszystkiego doświadczyć.

- Wystarczy jeden raz.

- Jesteście czymś zdenerwowani, zmęczeni?

- Tak - powiedział Dracz.

Dziewczyna ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła pancerza.

- Coś czujecie?

- Należałoby uderzyć młotem, abym coś poczuł.

- To przykre. Pogładziłam was.

- Chcecie wyrazić mi współczucie?

- Bo co?

“...Współczuje mi - pomyślał Dracz. - Zupełnie jak w baśni: piękna pokocha bestię, a wtedy bestia zmieni się w pięknego młodzieńca. Geworkian ma problemy, czujniki, wykresy, a ona rozczuliła się nade mną i nie musi więcej zaprzętać tym sobie głowy. Najwyżej poszuka jeszcze w pobliżu czerwonego kwiatuszka, aby było jak należy...” - Kiedy wyzdrowiejecie, przyjedźcie do mnie. Mieszkam pod Tallinem, w osiedlu nad brzegiem morza. Cisza, dokoła sosny. Na pewno świetnie u mnie odpoczniecie.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedział Dracz. - Muszę już iść, bo moi opiekunowie, spostrzegą się i zaczną mnie szukać.

- Odprowadzę was, jeśli można.

Szli wolno, gdyż Krystyna myślała, że Draczowi będzie tak wygodniej, a Dracz, który mógł prześcignąć każdego ziemskiego szybkobiegacza, wcale się nie spieszył. Cierpliwie opowiadał jej o rzeczach, których nie sposób opisać słowami. Krystynie wydawało się, że wyobraża sobie wszystko bardzo dokładnie, chociaż w istocie jej wyobrażenia nie miały niczego wspólnego z rzeczywistością.

- Jutro też przyjdę na brzeg - powiedziała Krystyna. - Nie wiem tylko o której.

- Jutro chyba będę zajęty - odparł Dracz. - No, zobaczymy - powiedziała Krystyna. - Zobaczymy...

9

Dracz podszedł do Polaczka, który grzebał w silniku mobila, i zapytał go, gdzie jest Geworkian.

Polaczek odparł, że szef jest w swoim gabinecie. Przylecieli do niego jacyś wulkanolodzy, pewnie będą przygotowywać nowego bioformanta.

Dracz poszedł w stronę gmachu głównego. W pokoiku przed gabinetem Geworkiana było pusto. Dracz uniósł się na tylnych łapach i zdjął z biurka Mariny Antonowny arkusz papieru i ołówek. Położył papier na podłodze, ujął ołówek w mackę i spróbował narysować profil Krystyny. Drzwi do gabinetu były nie domknięte i dobiegał stamtąd głęboki bas Geworkiana. Później inny głos, nieco wyższy, powiedział:

- Nie mówimy o Draczu, przecież powinni być inni bioformanci tego rodzaju!

- Nie, nie ma nikogo, absolutnie nikogo - odburknął Geworkian.

- Oprócz Dracza.

Dracz zbliżył się do drzwi. Teraz słyszał każde słowo. Był potrzebny wulkanologom, a Geworkian nie zgadzał się. Dracz chwilę przysłuchiwał się kłótni, a potem pchnął drzwi. Źle obliczył siłę pchnięcia i drzwi odskoczyły jak uderzone armatnim pociskiem.

Nastąpiła niema scena. Trzy twarze zwrócone ku ogromnemu złotwiowi. Jeden z wulkanologów okazał się różowiotkim grubaskiem.

- Jestem Dracz - powiedział Dracz do grubaska, aby od razu rozproszyć jego zdumienie. - Mówiliście o mnie.

- Nie zapraszałem cię! - wrzasnął Geworkian.

- Mówcie - zwrócił się Dracz do tęgiego wulkanologa.

Grubasek niezdecydowanie chrząknął i popatrzył na Geworkiana.

- Chodzi o to - wtrącił się drugi wulkanolog, suchy i jakby nieco nadwęglony - że mamy erupcję Góry Jesiennej na Kamczatce. Sądzymy, to znaczy jesteśmy pewni, że jeśli nie przeczyści się głównego, zatkanego skałami kanału, lawa popłynie na zachodnie zbocze. Na zachodnim zboczu jest stacja techniczna. Niżej, w dolinie, duże osiedle i fabryka...

- A na ewakuację nie ma czasu?

- Ewakuacja jest w toku. Ale nie zdążymy zdemontować fabryki. Nawet na zwinięcie stacji potrzebujemy trzy dni. Poza tym o cztery kilometry za fabryką zaczyna się Kujajewsk. Skierowaliśmy do krateru mobil 2 materiałem wybuchowym. Po prostu wyrzuciło go na zewnątrz. Dobrze jeszcze, że nie spadł na stację... Geworkian rąbnął pięścią w stół.

- Dracz, ja ci nie pozwalam! Tam panują krytyczne temperatury. Nawet wyższe od krytycznych. To samobójstwo!

- Pozwolicie - powiedział Dracz.

- Idiota - warknął Geworkian. - Wybuch może przecież nie nastąpić.

- Nastąpi - powiedział smutno grubas. Dracz skierował się ku drzwiom. Suchy wulkanolog poszedł za nim. Grubas został, wzruszył ramionami i powiedział do Geworkiana:

- Zastosujemy wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa. Absolutnie wszystkie.

- Nic podobnego - powiedział Geworkian. - Lecę z wami.

Włączył wideoselektor i wywołał Dimowa.

- To cudownie - powiedział grubas. - Po prostu cudownie.

Przechodząc przez pokój sekretarki, Dracz chwycił macką leżącą na podłodze kartkę z profilem Krystyny, zwinął ją w twardą kulkę i wrzucił do kosza. Ruchy macek były tak szybkie, że idący o krok za nim wulkanolog niczego nie spostrzegł.

10

Podwieźli go mobilem na krawędź starego krateru. Zmęczony miejscowy wulkanolog w okopconym hełmie (w ciągu ostatnich trzech dni wielokrotnie usiłował dotrzeć do głównego kanału) powtórzył instrukcje, które Dracz znał już na pamięć.

- Szczelina jest widoczna stąd, oczywiście wtedy, kiedy dym się rozprasza. Zejdziecie nią osiemdziesiąt metrów w dół. Droga jest wolna, sondowaliśmy. Zejdziecie i założycie ładunki.

Potem wróćcie, a my je zdalnie odpalimy. Spadek dochodzi tam do sześćdziesięciu stopni. Dacie radę?

Wulkanolog tylekroć miał do czynienia z sondami automatycznymi, robotami budowlanymi i innymi maszynami przypominającymi tego żółwia, że stale musiał powtarzać sobie w duchu, iż stoi przed nim człowiek, bioformant, do którego należy zwracać się na "wy". W dodatku ten piekielny wulkan potwornie go wymęczył.

- Dam radę - odparł Dracz. - Sześćdziesiąt stopni potrafię jeszcze pokonać.

Zanim zdjął maskę i oddał ją wulkanologowi, powiedział:

- Proszę nie zgubić maski. Jeszcze mi się przyda. Bez niej jestem głuchy i niemy.

- A jak będziecie oddychać?

- Nie będę oddychał. Prawie nie będę. Tlen mi szkodzi.

- Będę na was czekał tutaj - powiedział wulkanolog, ale Dracz już go nie słyszał.

Stoczył się po łagodnym zboczu do krateru i na sekundę przystanął u wylotu szczeliny. Z góry sypał się popiół i drobne kamyki.

Nieco z boku, nad samą krawędzią krateru, unosiły się w powietrzu dwa mobile. W jednym byli wulkanolodzy, w drugim zaś Geworkian i Dimow.

Szczelina okazała się znacznie szersza, niż można było oczekiwać, Dracz zaczął więc szybko schodzić w dół, odruchowo rejestrując skład gazów. Temperatura podnosiła się, ale nadal była niższa od krytycznej. Potem zbocze zrobiło się bardziej strome i musiał schodzić zakosami, chwilami zwisając na dwóch mackach. Pozostałą parą macek przyciskał do piersi ładunki wybuchowe. Góra sapnęła i Dracz przyssał się do ściany, aby nie wzlecieć do góry wraz z fontanną gazów. Musiał się spieszyć, bo czuł, że szczeliny na zachodnim stoku zaczęły się już pogłębiać. Zejście było coraz trudniejsze. Ściany komina niemal zetknęły się ze sobą i Dracz musiał przeciskać się między ruchomymi, rozkołysanymi głazami. Zeszedł już na siedemdziesiąt metrów. Temperatura gazów osiągnęła czterysta stopni. Przypomniał sobie wykres - aby skalny korek krateru rozbić doszczętnie, musi przejść jeszcze około pięciu metrów. Można było wprawdzie, zgodnie z instrukcją, założyć ładunki już tutaj, ale te pięć metrów dawało całkowitą gwarancję powodzenia. Otwór pod sobą zauważył w ostatniej chwili, a właściwie domyślił się go na widok tryskającej z niego rozżarzonej pary.

...Temperatura skoczyła nagle o jakieś sto stopni. Już odczuwał ciepło. Wulkan zatrzęsł się jak w ataku kaszlu. Dracz spojrział w górę. Droga powrotna jeszcze się nie zamknęła. Wślizgnął się do gorącej rozpadliny.

Szczelina rozszerzyła się ku dołowi tworząc worek. Dno tego worka przypominało rzadkie sito. Taki sam żar dopadł go kiedyś, na drugiej planecie. Stamtąd mógł uciec. I uciekł.

Przymocował ładunki do najpewniejszej płyty skalnej. Ale ta najpewniejsza płyta też dygotała jak w febrze. A zachodni stok pękał już jak zetlałe płótno.

Podciągnął się na jednej macce do górnego otworu. Gazy tryskające z dołu paliły ciało, góra szarpnęła się i macka urwała się. Jak sznurek. Dracz zdołał się utrzymać, momentalnie przyssawszy się pozostałymi trzema do pionowej ściany. W tej samej chwili fala uderzeniowa - pewnie gdzieś na górze obsunęła się kamienna lawina - rzuciła go na dno kamiennego worka.

Dracz nie bał się. Nie miał czasu na strach. Czuł, jak spiekają mu się wnętrzności. Ciśnienie gazów w kamiennej pieczarze rosło i coraz bardziej utrudniało ruchy. Zawiniły dodatkowe metry. Przez chwilę wydawało się, że już wypełził ze szczeliny i widzi szare niebo nad głową. Szarpnął się ku górze, rozpaczliwie i wściekle... Jutro Krystyna przyjdzie nad rzekę. Geworkian, który czeka na niego w mobilu, ma bardzo słabe serce...

Wygramolił się do wylotu przywalonego złomami bazaltu. Obmacał kamienie szukając szczeliny i zrozumiał, że wszystko sknocił. Wulkanolodzy nie odpałają ładunków, dopóki stąd nie wyjdzie. Będą czekać, będą liczyć na cud. Nawet nie złączą bombardować korka z powietrza. Będą czekać. Spróbują uratować go, chociaż to niemożliwe i dlatego mogą zginać ludzi, a z pewnością zniknie wszystko, co znajduje się na zachodnim zboczu i niżej na równinie.

Dracz działał ostrożnie i przezornie, starając się nie stracić przytomności. To było w tej chwili najważniejsze. Wrócił do jamy, z której przed chwilą z takim trudem się wydostał, skoczył w dół i znalazł się obok płaskiej płyty, na której leżały ładunki. Płyta zachowywała się tak, jakby zaraz chciała puścić się w tany. Pomyślał: "Jak to dobrze, że nie mam zakończeń nerwowych na powłóce zewnętrznej, bo inaczej umarłbym już z bólu". Oparzone macki były bardzo nieporadne. Przeszło co najmniej półtorej minuty, zanim Draczowi udało się rozkręcić jeden z ładunków i przekształcić go w detonator. Doskonale znał te ładunki, gdyż używał ich na tamtych planetach. Normalnie wybuchały jedynie pod wpływem odpowiedniego sygnału, ale jeśli znało się ich konstrukcję, można było włączyć zapłon samemu.

Pomyślał, że kiedy skończy pracę, to przed odpaleniem ładunków pozwoli sobie na kilka sekund zwłoki, aby o czymś pomyśleć, wspomnieć coś, jak przystoi umierającym. Ale kiedy kończył, okazało się, że tych sekund dla siebie już nie ma.

Eksplozja nastąpiła nieoczekiwanie dla wszystkich, poza zmęczonym wulkanologiem, który leżał za głazami i myślał tak samo jak Dracz. Wulkan drgnął i ryknął. Wulkanolog natychmiast rozciągnął się na kamieniach. Dwa mobile krążące w pobliżu krateru uleciały w bok niczym suche liście. Piloci ledwie zdołali przejąć nad nimi kontrolę. Pomarańczowa lawa trysnęła w stare koryto i niczym spieniony sok pomarańczowy zaczęła wypełniać krater. Wulkanolog rzucił się w dół zbocza, wiedział bowiem, że strumień lawy za parę minut przebije się na jego stronę.

Krystyna przysła nad rzeczkę. Było zupełnie ciepło. Wykąpała się, potem usiadła na ławce i trochę poczytała. A Dracza ciągle nie było. Czekwała na niego aż do zmierzchu. W drodze powrotnej zatrzymała się przed bramą instytutu i zobaczyła, że z lądowiska startuje wielki mobil. Dziewczyna myślała, że pewnie w tym mobilu Dracz leci na jakieś zadanie. Dlatego nie mógł przyjść. Kiedy jednak wróci, z pewnością przyjdzie nad rzeczkę i stanie obok ławki. No cóż, będzie tam przychodzić codziennie, dopóki tu mieszka.

W wielkim mobilu wieziono do Moskwy Geworkiana. Tam, przy wulkanie, jeszcze jakoś się trzymał, a po powrocie ciężko zaniemógł. Miał bardzo słabe serce i uratować go mogli tylko w Moskwie.

Przełożył TADEUSZ GOSK

AWARIA NA LINII

Mieszkamy w starym domu. Tak starym, że już kilkakrotnie wciągano go na listę zabytków historycznych i tyleż razy z tej listy skreślano, to wskutek nalegań rady miejskiej, która chciała go zburzyć, to dlatego, że nie miał wartości historycznej. Z czasem zburzą go na pewno, ale szybko to nie nastąpi.

Przed trzystu laty mieszkała w tym domu rodzina bojarska, która się niczym nie wslawiła. Potem bojar umarł, potomkowie jego spospolicieli i zbiednieli, a dom zaczął przechodzić z rąk do rąk. Pod koniec ubiegłego wieku podzielono go na mieszkania - po jednym na każdej z trzech kondygnacji, po rewolucji zaś dom został zagęszczony.

W naszym parterowym mieszkaniu jest osiem pokoi i pięć rodzin. Teraz pozostali w nim głównie staruszkowie i ja. Młodzież rozproszyła się po nowych dzielnicach. Mnie natomiast mój pokój całkowicie odpowiada. Ma dwadzieścia trzy metry kwadratowe, trzy trzydzieści wysokości, sklepienie oraz alkowę, gdzie dawniej stało moje łóżko, a teraz zwałem książki. Nie ma mi kto robić wymówek za nieporządek. Matka wyjechała do ojczyzny do Nowosybirsk, a z Haliną się nie ożeniłem.

Tej nocy późno się położyłem. Czytałem ostatnią powieść Aleksandra Czerniajewa. Nie dokończoną. Czerniajew zmarł bowiem z głodu w Leningradzie w roku czterdziestym drugim. Powieści tej długo nie drukowano i dopiero teraz, kiedy się ukazały jego dzieła zebrane, zamieszczono ją w ostatnim tomie wraz z listami i artykułami krytycznymi.

Wiedziałem, że mam do przeczytania najwyżej dziesięć stron, a akcja właśnie się rozwijała. I nawet się nie zdążyła rozwinąć. Nigdy się już nie dowiem, co chciał zrobić dziadek Czerniajew ze swoimi bohaterami, nikt nie dokończył tej powieści, gdyż nie zdołała zobaczyć świata takim, jakim widział go Czerniajew. Z żalem odłożyłem tom nie zajrzawszy nawet do artykułów krytycznych, ani do komentarza powieści, napisanego przez znanego specjalistę od twórczości Czerniajewa. Specjalista wysuwał zapewne przypuszczenia, jakby wyglądała powieść, gdyby pisarz ją ukończył. Wiedziałem, że Czerniajew pisał powieść do ostatniego dnia.

Na marginesie jednej z ostatnich stron widniały słowa: "Spaliłem ostatnie krzesło. Osłabienie". Później Czerniajew nie pozwolił już sobie na żadne niepotrzebne słowo. Nie przestawał pisać. Pisał jeszcze trzy dni. I umarł. A rękopis znaleziono później, po dwóch tygodniach, kiedy przyszedł ktoś z radia leningradzkiego, aby się dowiedzieć, co się dzieje z pisarzem.

Jak widać, owego wieczoru prześladowały mnie dość niewesołe myśli, a bohaterowie

książki w żaden sposób nie chcieli opuścić pokoju. Usiłowali mi coś powiedzieć.

Nagle rozległ się brzęk.

Ściany naszego domu są bardzo grube. Budowniczy z końca osiemnastego wieku zastosował współczynnik bezpieczeństwa sięgający chyba ośmiuset procent. Nawet ściany działowe między pokojami były na trzy cegły. Kiedy więc sąsiedzi grają na fortepianie, nie słyszę prawie nic. Dlatego też nie miałem wątpliwości, iż dźwięk rozbrzmiewał właśnie w moim pokoju. Taki dziwny dźwięk, jakby ktoś upuścił srebrną wazę.

Wyciągnąłem rękę i zapaliłem światło. Bohaterowie książki znikli. Cisza. Cóż by to takiego mogło spaść? Poleżałem trochę, potem zaczął mnie morzyć sen, więc zgasilem lampę. I niemal natychmiast coś grzmotnęło. Krótko i potężnie. Zrobiło mi się nieswojo. Nie jestem ani trochę przesądny, ale któż to u licha ciska różnymi przedmiotami po moim pokoju?

Znowu zapaliłem światło i wstałem z łóżka. Obszedłem cały pokój i nawet zajrzałem do alkowy. Nic nie znalazłem. Kiedy się jednak odwróciłem tyłem do alkowy, znowu stamtąd rozległ się brzęk. Podskoczyłem i odwróciłem się o sto osiemdziesiąt stopni. I znowu nic a nic nie wykryłem.

Pobrzękiwanie już nie ustawało. Co dziesięć sekund - dzyń. Potem pauza. Liczyłem: jeden, dwa, i... po dziesiątej sekundzie - dzyń.

Prawdę mówiąc, o mało rozumu nie postradałem z niepokoju. Ktoś w pokoju dzwoni, a ja jestem całkowicie bezradny. Zacząłem systematycznie badać pokój. Czekałem, aż się rozlegnie dźwięk, i robiłem krok w tym kierunku, skąd było go słychać. Sprawdziłem już, że rozbrzmiewa z gładkiej płaszczyzny ściany między alkową i drzwiami. Po czwartym kroku znalazłem się przy samej ścianie i przyłożyłem do niej ucho. "Raz i..." - liczyłem. Po dziesiątej sekundzie tuż przy uchu rozległ się wyraźny brzęk.

Postanowiłem rozważyć, czym można by wyjaśnić to zjawisko. Z drugiej strony jest ściana przedpokoju, a właściwie głębokiej wnęki, gdzie dawniej stały dwa rowery; kiedy rowery wyjechały, babcia Kapłan postawiła w niej pseudo-mahoniową szafę. W szafie tej wszyscy lokatorzy mieszkania chowali graty, które by należało wyrzucić, ale na razie ich było szkoda.

Muszę więc oczywiście wyjść do przedpokoju i zobaczyć, co się dzieje w szafie. Niczego się nie spodziewałem tam zobaczyć - ściana była gruba, a dźwięk rozbrzmiewał przy samym uchu. Mimo wszystko włożyłem pantofle i wyszedłem z pokoju. Wszyscy spali. W przedpokoju było ciemno, zapaliłem więc lampę, by się przekonać, że nikogo w nim nie ma. Podeszedłem do szafy i otworzyłem ją. Z trudem udało mi się przytrzymać pełną przedwojennych gazet wianienkę dziecięcą, która omal nie spadła mi na nogi. Drugą ręką pochwyciłem pustą złoconą ramę, a brzuchem napałem na resztę rzeczy. W takiej pozycji znieruchomiałem zapewne na minutę,

półtorej. Wreszcie mi się wydało, że słyszę odległy dzwon. Może mi się tylko wydawało, zbyt usilnie bowiem nasłuchiwałem. W każdym razie dźwięki nie rozlegały się z szafy. Zamknąłem ją więc i wróciłem do pokoju. Gdy tylko wszedłem, natychmiast usłyszałem - dzyń...

Długo przykładając ucho do różnych punktów ściany, dopóki się nie przekonałem, że dźwięk rodził się za szarą plamą na tapecie na wysokości moich piersi, osiemdziesiąt centymetrów od rogu alkowy. Zakończyłem teoretyczną część moich dociekań. Teraz pora przejść do eksperymentu.

Całkiem mi się już odechciało spać. Przysunąłem do ściany krzesło i zacząłem się zastanawiać, czy zrywać tapety, czy powstrzymać się od tego. Nie wiem, jakie bym powziął postanowienie, gdyby nie silny odgłos, niemal łoskot, który zastąpił równomierne pobrząkiwanie. Potem nastąpiła cisza.

Nóż wziąłem z kuchni. Ze stołu babci Kapłan. Nóż był długi, dobrze wyostrzony (moja robota), o spiczastym końcu. O taki mi właśnie chodziło. Wziąłem jeszcze młotek, by opukać ścianę. Dziwne, że nie pomyślałem o tym wcześniej. To jednak zrozumiałe - nie co dzień lęgną się w ścianie przywidzenia. Stukałem w ścianę niezbyt mocno, żeby nie obudzić sąsiadów. Dopukałem się w ścianie czworoboku - siedemdziesiąt na siedemdziesiąt - za którym na pewno była próżnia. Nie miałem już wątpliwości. Nożem wyciąłem część tapety pośrodku owego kwadratu. Tapeta oderwała się z lekkim chrzęstem, ukazując strzępy gazet i skrawek niebieskiej ściany. Przyglądałem się jej z zaciekawieniem - tak wyglądała ta ściana podczas wojny. Teraz przypomniałem sobie, jakie u nas wtedy stały meble, przypomniałem sobie zaciemnienie - czarną, papierową płachtę z drobnymi dziureczkami niczym wygwieżdżone niebo. Nazywałem je nie zaciemnieniem, lecz oświeceniem, a mama zawsze się śmiała.

Przy samym uchu znowu coś brzęknęło. Oстрыm końcem młotka postukałem po niebieskiej farbie i odbiłem kawał tynku. Potem pomyślałem, że trzeba było na podłodze rozesać gazety, ale zrezygnowałem, bo już i tak było nabrudzone.

Spod tynku wyjrzała czerwona cegła i żółtawa warstwa zaprawy. Cegła siedziała mocno, mozoliłem się więc nad nią z dziesięć minut, nim drgnęła i opuściła swoje miejsce.

Za cegłą ziała dziura. Zapaliłem zapalną i poświeciłem do środka. Płomień oświetlił cegłę po przeciwnej stronie skrytki i wtedy zobaczyłem, że na dole coś błyszczy. Ostrożnie zanurzyłem rękę i z trudem dosięgnąłem dna. Palce dotknęły metalu, metalowych krążków. Wydobyłem je na zewnątrz. Okazało się, że są to jakieś stare srebrne monety.

Były ciepłe.

Masz tobie! Skarb! We własnym pokoju znaleźć skarb! Czy zresztą mało jest skarbów w ścianach starych domów?

To prawda, że co innego, jeśli się o tym czyta w gazecie czy książce, a co innego, kiedy osobiście nas to spotyka...

Znowu wsunąłem rękę do środka i znowu wydobyłem garść monet. Leżało tam jeszcze coś większego. Żeby to jednak wyciągnąć, trzeba było rozszerzyć otwór. Monety obejrzałem dokładnie. Były bardzo stare i nierosyjskie. Uważałem się i o mało nie rozbiłem całego domu, kiedy wyjmowałem jeszcze jedną warstwę cegieł. Teraz mogłem w niszę wsunąć głowę.

Nie zrobiłem tego jednak. Wziąłem ze stołu lampę i postawiłem ją na przysuniętym krześle. Drugie krzesło postawiłem obok. W ten sposób zdobyłem prawdziwie naukowe możliwości zbadania dziury. Otrzeptałem się z tynku, podłożyłem pod lampę nieco wyższy stos książek, aby światło padało do wnęki, i zajrzałem do środka. Tylne ściana była gładka i nowiutka, jakby cegły ułożono w niej zaledwie wczoraj, a dla wzmocnienia uzbrojono ją stalowymi taśmami. Bocznymi ściankami na razie nie oglądałem, patrzyłem przede wszystkim na dno wnęki zawałone monetami. Ponadto na dnie leżała czarna z jakiegoś szlachetnego metalu i... żelazna rękawica. Chyba od zbroi.

Wydobyłem ją. Ciężka, o palcach nieco zgiętych, by łatwiej było ująć miecz lub kopię, miała jeszcze rzemyki służące do lepszego umocowania na ręce. Położyłem rękawicę na stole i sięgnąłem po czarę, a wtedy się zdarzyło coś całkiem dziwnego.

Z góry spadła na moją rękę jeszcze jedna moneta. Ciepła srebrna moneta. Jak gdyby się odkleiła od stropu wnęki. Moneta stoczyła się po mojej dłoni i zsunęła na stos innych monet, wydając dobrze mi znany dźwięk: dzyń.

Zamarłem. Przecież zapomniałem, że dobrałem się do ściany właśnie z powodu dolatujących z niej dźwięków. A kiedy ujrzałem monety, uznałem, że to stary skarb.

Oświetliłem lampą strop skrzynki. Był czarny, lśniący, bez żadnego otworu i chłodny w dotknięciu. Żadna moneta nie mogła się do niego przykleić.

Poczekalem, czy się jeszcze coś nie zdarzy, ponieważ się jednak nic nie zdarzyło, wyciągnąłem skarby na zewnątrz i rozłożyłem na krześle. I siedząc na krześle zasnąłem w toku rozmyślań, czy się rankiem wybrać do muzeum, czy też upewnić się najpierw, że nie znalazłem błahostek. Jeszcze by się śmieli.

Nad ranem, sam już nie wiem, jak przeniosłem się na łóżko. Obudził mnie dzwonek budzika. Przez minutę usiłowałem sobie uświadomić, co się to zdumiewającego zdarzyło w nocy. Dopiero ujrzawszy czarną dziurę w ścianie, a na podłodze pokruszony tynk, strzępki tapety i odłamki cegieł, zrozumiałem, że to wszystko nie był sen, że istotnie odkryłem w swojej ścianie skarb, i to skarb bardzo dziwny. Na czym jednak polegała ta dziwność, nie zdążyłem sobie przypomnieć, do drzwi bowiem zapukała babcia Kapłan i spytała, czy nie wziąłem jej noża.

A potem się zaczął normalny poranny pośpiech. Czekał, aż łazienkę zwolni dziadek

Kapłan, przypomniałem sobie, że od rana mamy u naczelnego technologa naradę, na której musiałem być, poza tym kończyło mi się masło i będę musiał pożyczyć je od Liny Grigorjewny... Zdążyłem jednak zasłonić dziurę regałem i włożyć parę monet do kieszeni, a żelazną rękawicę do walizeczki.

Na zebraniu nie myślałem o znalezisku, ale gdy tylko narada się skończyła, podszedłem do Mitina. Jest numizmatykiem. Pokazałem mu jedną ze swoich monet i zapytałem, z jakiego to kraju.

Mitin odłożył teczkę, pogładził łysinę i obejrzawszy monetę powiedział, że to śmieć. Interesowało go tylko, skąd ją mam. Pewnie od babci... Jak chcę, mogę mu ją dać. Trzeba jednak znać Mitina. Jest kolekcjonerem, chociaż więc zawsze się skarży, że ktoś go oszukał, to raczej bywa odwrotnie. Już po tym, jak trzymał tę monetę i obracał w palcach, widać było, że to nie jest zwykła moneta.

- Nie pytaj, skąd ją wziąłem - rzekłem. - Nie dam ci, bo jest mi potrzebna.

- Nawiasem mówiąc, prosiłeś mnie o jednotomowe wydanie Bułhakowa. Nie mam, co prawda, drugiego egzemplarza, ale jeśli chcesz, dam ci za tę monetę swój?

- Nie wierzę - odpowiedziałem. - Przecież Bułhakowa nie pozbyłbyś się za żadne pieniądze.

Zrozumiał, że go przejrzałem, więc dodał niby dla wyjaśnienia: - Nie mam tej monety w zbiorze. I chociaż jest podrabiana, przyda mi się.

- Dlaczego podrabiana?

- Jest świeżo wybita. Widzisz, jaka nowiutka. Jak gdyby wczoraj wyszła z mennicy.

- Aha! Dopiero wczoraj! Sam je robię. A jak się ona nazywa?

Mitin z żalem zrezygnował z monety i powiedział:

- Jefimok. Rosyjski jefimok.

- Ciekawe, dlaczego ta fizjonomia jest nie-rosyjska?

- Dużo by mówić na ten temat. W każdym razie, kiedy jeszcze u nas nie biliśmy w dostatecznej ilości własnych monet, posługiwaliśmy się obcymi - to jeszcze przed Piotrem I. Oczywiście przedtem wybijaliśmy na nich rosyjską cechę. Te monety nazywano jefimkami. A teraz powiedz, skąd to wziąłeś?

- Później, Jura - odrzekłem. - Później. Może i ty dostaniesz. Mówisz więc, że przed Piotrem I?

- Tak.

Pomyślałem, że jeśli będę oddawał skarb do muzeum, to jedną monetę zatrzymam dla Mitina. Ostatecznie chce mi oddać swojego Bułhakowa.

W laboratorium jakby niechcący wydobylem żelazną rękawicę. Dla żartu. Kiedy się koledzy zbiegli, powiedziałem:

- Dawno już była mi potrzebna. Mam zbyt miękki charakter. Teraz będę miał żelazną rękę. A więc, koledzy i koleżanki, trzymajcie się!

Dziewczęta zaczęły się śmiać, a Tartakowski zapytał:

- Nie mógłbyś przynieść całej zbroi?

- Zbroi? Choćby jutro.

W istocie jednak robota leciała mi tego dnia z rąk. Wreszcie nie wytrzymałem, podszedłem do Użjanowa i poprosiłem o zwolnienie z godzin popołudniowych. Przynależem, że potem odpracuję. Widocznie zrozumiał, jak bardzo mi zależy, bo powiedział: "W porządku, idź, jak musisz".

Nie zadzwoniłem, tylko otworzyłem drzwi kluczem i szybko poszedłem do swojego pokoju. Zamknąłem się od wewnątrz. Po co straszyć babcię Kapłan, gdyby niespodziewanie do mnie zajrzała... Potem odsunąłem półkę z książkami. Ukazała się skrytka. A więc mi się nie przyśniło. Bo chociaż żelazną rękawicę miałem w teczce, to jednak chwilami przestawałem sam sobie wierzyć. W skrytce było ciemno. Światło z okna niemal tam nie docierało. Zapaliłem lampę i wsunąłem ją do środka. I omal nie krzyknąłem ze zdziwienia. W skrytce leżały różne przedmioty, których rano tam nie było (wyjmowałem je, toteż pamiętam wszystkie po kolei) - sztylet w pochwie, dwa zwoje z czerwonymi wiszącymi pieczęciami, kajdany, hełm, kałamarz (a może solniczka), rozmaite ozdoby i dwa safianowe buty. To już nie był skarb. To było zwykłe świństwo. Czyjś bezczelny żart.

Zaraz, a dlaczego żart? Kto będzie płatał takie figle? Babcia Kapłan? Przecież w nocy śpi, a zresztą z wiekiem nastąpiła u niej atrofia poczucia humoru. Może ktoś inny z sąsiadów? A może ja postradałem zmysły? Wobec tego i Mitin zwariował, a to człowiek trzeźwy.

Wziąłem but do ręki. Jeszcze pachniał świeżą skórą i łatwo się giął. Przymierzyłem hełm. Z trudem włożyłem go na głowę. Był ciężki i prawdziwy, nie blaszana imitacja dla Mosfil-mu. Siedziałem tak w hełmie i z butem w ręku. Czekałem na jakiś cud. Przebiegłem w pamięci wszystkie zdarzenia ubiegłej nocy. Dźwięki i łomoty w ścianie, ciepłe monety, żelazna rękawica. Przypomniałem sobie monetę, która ze stropu skrytki spadła mi na rękę. Rozmyślałem nad tym, ale nic mądrego nie przychodziło mi do głowy.

Później w skrajnym zakłopotaniu wsunąłem rękę do niszy i obmacałem strop. Był gładki jak lustro odbijające ciemną noc.

Wyjąłem jeszcze kilka cegieł, by ułatwić sobie pracę, i w ciągu godziny pozbawiłem skrytkę przedniej ścianki. Teraz mogłem obejrzeć wszystko szczegółowo. Okazało się, że błyszczące pasy na tylnej ścianie nie są stalowe, lecz z tego samego lustrzanego stopu, co strop, a jedną z bocznych ścianek dzielą na kwadraty białe paski. U dołu przebiegały jakieś linie, a między

nimi cienkie szczeliny, którymi postanowiłem się zająć w następnej kolejności. By się lepiej przyjrzeć, wetknąłem do otworu głowę, i wtedy coś mnie trzepnęło tak mocno, że ujrzałem gwiazdy. Cofnąłem szybko głowę. Boleśnie uderzywszy mnie w koniec nosa upadł na dno wnęki stary pistolet z wygiętą rękojeścią. Spojrzałem w górę. Strop był tak samo gładki i czarny. Cóż u diabła? Czy po to dwadzieścia sześć lat byłem pod władzą radziecką, aby się osobiście przekonać, że siły nieczyste jednak istnieją?

“A jeśli mimo wszystko ich nie ma? - pomyślałem nagle, obracając w rękę pistolet. - Jeśli całe to diabelstwo da się jakoś wyjaśnić? Ale jak? Do czegoż to podobne? - zastanawiałem się patrząc w ciemną otchłań niszy. - Cóż to przypomina ze znanych mi rzeczy?” Postanowiłem - jak widzicie - znaleźć wyjaśnienie posługując się analogią.

Myślałem długo, dwadzieścia minut. Aż nagle dostrzegłem analogię. Ten figiel kojarzył mi się ze skrzynką pocztową. Do skrzynki przez szparę wpadają listy i druki. Dobrze. Co dalej? Jeśli to taka osobliwa skrzynka pocztowa, powinien się w niej znajdować otwór dla odbiorcy. W tym właśnie sęk. Odbiorcy nie było. Przecież dopóki nie rozbiłem ściany, skrzynka nie miała wylotu. To, co w nią wpadało, musiało tam pozostać.

Rozpatrzmy to zagadnienie z innego punktu widzenia. Kto i czym napędza tę skrzynkę pocztową? - Kto? - na razie nie wiadomo. Ale czym - już wiem. Różnymi przedmiotami z Rosji sprzed Piotra I. Skąd się one biorą? Z muzeum? Kradzione. Mało prawdopodobne.

Po trzecie - do zaprzeszłej nocy nikt do skrzynki pocztowej nic nie wrzucał. Dziś wrzucono. Gdyby się to stało wcześniej - w ciągu ostatnich dwudziestu lat - usłyszałbym jakiś dźwięk. Albo mama by usłyszała. Ma bardzo czułe ucho.

Skrzynka zaczęła więc działać dopiero wczoraj. A może?...

I wtedy wpadła mi do głowy kompletnie zwariowana myśl, którą można wytłumaczyć tylko tym, że znalazłem się w zupełnie zwariowanej sytuacji.

Mam więc skrzynkę pocztową bez wylotu. Wpadają do niej przedmioty sprzed wielu lat. A po dziś dzień nie wpadały.

Dlaczego dziś otworu nie ma, a wtedy był? Czy wiecie, o co mi chodzi? Wtedy, kiedy te przedmioty weń wkładano. Przed trzystu laty, kiedy ten dom świeżo zbudowano. A jeśli ten otwór był wtedy, to kiedy owe przedmioty ma się wyjmować? W przyszłości? Za sto lat? Albo za dwieście. Wówczas, gdy żyć będą ludzie, którzy potrafią się przenosić o kilka stuleci wstecz. Jeśli ta zwariowana myśl ma jakiś sens, to jasne się staje, dlaczego przedmioty zaczęły się zjawiać dopiero wczoraj. Nie dlatego, że skrzynka zaczęła wczoraj działać, tylko dlatego, że się wczoraj zepsuła. Tak, to awaria. Na linii “przeszłość-przyszłość” wysiadł jakiś tranzystor i powstała dziura. A może przebicie w izolacji? Czy nie może się coś takiego zdarzyć. I właśnie do mojego pokoju, w

mój czas, zaczęły wpadać przedmioty wydobyte przez przyszłych archeologów z dalekiej przeszłości.

Pomysł mi się podobał. Ale jaka jest w tej sytuacji moja rola? Wezwać elektryka, aby obejrzał skrytkę? A potem załatwić mi dom wariatów? Skorzystać z uszkodzenia i zbierać owoce cudzej pracy? Wymienić wszystko z Mitinem na jego bibliotekę? Też nonsens!

Postawiłem zapaloną lampę w niszy i wytarłem chusteczką boczną ściankę. Potem obmacałem ją palcami i wsadziłem w wąską szczelinę u dołu koniec noża babci Kapłan, który znowu zabrałem z kuchni. Majstrowałem ostrożnie, bałem się bowiem zepsuć mechanizm do reszty. Czasem się jednak powiedzie - ścianka nagle ustąpiła, a za nią ukazała się tablica rozdzielcza i wszystko stało się jasne. Miałem rację.

Środek tablicy zajmowała skala czasowa. Wzdłuż niej widniały punkciki świetlne. Jeden z nich, około roku 1667, płonął jaśniej od innych, a tuż obok niego znajdowała się strzałka. Skala kończyła się na roku 2056.

Poniżej gęsta sieć przewodów i elementów oraz szereg przycisków nie znanego mi na razie przeznaczenia. Nagle punkcik przy roku 1667 błysnął jaśniej i równocześnie posłyszałem nad głową buczenie. Zrozumiałem, co może to oznaczać i cofnąłem głowę. Nieduża oprawna w skórę i opatrzona klamrami książka głucho stuknęła o dno wnęki. Zdążyłem zauważyć, że w chwili gdy upadła, pojawił się w stropie otwór dokładnie o wymiarach książki. Jasne jak słońce. Odgadłem. Na mgnienie oka zapłonął czerwono punkcik roku 1967. Stacja końcowa się nie zapaliła. Widocznie jeszcze nie zauważono uszkodzenia i całe urządzenie pracuje na próżno. Wyobraźcie to sobie: może tam, w roku 2056, wszyscy pracownicy instytutu naukowo-badawczego siedzą przy tej niszy i zachodzą w głowę, dlaczego nie otrzymują okazów. Lepiej trzeba patrzeć, towarzysze - pomyślałem. Jakże im dać do zrozumienia? Może oni nie widzą pomrukiwania przy roku 1967? Na razie wziąłem wkrętak i zacząłem sprawdzać połączenia. Zajęło mi to jeszcze dwie godziny. Majstrowałem niemal na chybił-trafił. W schemacie całkiem się nie orientowałem, choć od dziecka byłem radioamatorem. Gmerałem tam i marzyłem, że byłoby interesujące spędzić pewien czas w przyszłości, dowiedzieć się, jak ludzie tam żyją, czy uda im się osiągnąć w życiu coś sensownego i co będzie przyczyną mojej śmierci. Później pomyślałem, że to wszystko nonsens, a życie z pewnością nie jest tam złe, skoro jacyś archeologowie pracują w roku 1667 i nasi potomkowie mają czas na takie eksperymenty. I jeszcze - że nieźle byłoby znaleźć się także w przeszłości. I odwiedzić na przykład pisarza Aleksandra, Czerniajewa, by się dowiedzieć, jak zamierzał zakończyć swoją powieść.

Wtedy właśnie odkryłem defekt. Macie prawo mi nie wierzyć. Skąd mogłem się na tym znać. Znalazłem uszkodzenie, owinąłem przewód taśmą izolacyjną i postanowiłem obserwować, co

będzie dalej. Byłem niezmiernie dumny, że znalazłem jednak to diabelne połączenie. Nagle zablęśła znowu lampka roku 1667 i znów nad głową rozległo się buczenie. Ale nic nie zobaczyłem i nic nie spadło do niszy, tylko zaświeciła się druga lampka, i to już nie w moim roku, lecz w roku 2056. Wszystko w porządku. Dostali swoją przesyłkę. Mogę spokojnie spać.

Opadłem na krzesło i stwierdziłem, że jestem okropnie zmęczony i że jest już ciemno. Nie wiedziałem, czy mam wierzyć w to, co się zdarzyło, czy nie. A także nie wiedziałem, jak odesłać do miejsca przeznaczenia zgromadzone u mnie rupiecie.

Zapukano do drzwi.

- Kto tam? - spytałem.

- Do ciebie - powiedziała babcia Kapłan. - Dzwonka nie słyszysz? To ja mam za ciebie otwierać? Znowu wzięłeś mój nóż!

Podszedłem do drzwi i rzekłem:

- Nóż oddam później, babciu. Nie gniewaj się.

To dobra staruszka. Lubi tylko pozzrzedzić. Ma swoje lata.

Za drzwiami stał mężczyzna koło czterdziestki w niebieskim kombinezonie, z walizeczką w ręku.

- Pan do mnie?

- Tak. Do pana. Pozwoli pan wejść?

- Proszę - odparłem. I nagle sobie przypomniałem, że do mnie wejść nie można. - Chwileczkę! - Zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem i spiesznie przesunąłem na miejsce regał z książkami.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się wpuszczając go. - Remont i stąd ten bałagan.

- To nic - odpowiedział zamykając drzwi. Wtedy spostrzegł cegły na podłodze i oświadczył:

- Jestem przedstawicielem muzeum historycznego. Doszły nas wieści, że znalazł pan skarb o dużej wartości. Chcielibyśmy go obejrzeć.

Coś w mowie tego człowieka, w sposobie trzymania walizeczki i w czymś jeszcze nieuchwytnym dla innych, ale zrozumiałym dla mnie, który przeniknąłem tajemnicę czasu, narzuciło mi jedynie prawidłową konkluzję: On nie jest z muzeum!

- Już wszystko naprawiłem.

- Co pan naprawił?

- Waszą skrzynkę pocztową.

Odsłoniłem skrytkę, pokazałem mu połączenie i wyjaśniłem:

- Tylko nie miałem lutownicy i musiałem okręcić taśmą izolacyjną.

Właśnie zapłonęła lampka przy roku 1667, zrozumiał więc, że wszystko wiem.

- No tak - bąknął. - Niech pan opowiada. Jak sądzę, umie pan trzymać język za zębami. To bardzo ważne.

- Owszem, ważne. Możecie na mnie polegać. Proszę tylko zabrać ze sobą pozostałe rzeczy. Mnie one na nic.

Listonosz-mechanik z roku 2056 zlutował połączenie, przesłał przedmioty w przyszłość, a potem razem zamurowaliśmy dziurę w murze tak, że nawet ja nie mogłbym się domyślić, gdzie ona była. Bardzo mi dziękował i trochę się dziwił mojej domyślności. Kiedy go jednak spytałem, co będzie za sto lat, odmówił odpowiedzi i dodał, że sam powinienem zrozumieć: wiadomości tego rodzaju rozgłaszać nie można.

Później spytał, czego bym pragnął. Odrzekłem, że Bogu dzięki, niczego.

- To znaczy, że nie ma pan żadnych próśb? - spytał chwytając za rączkę walizeczki.

Wtedy dopiero sobie przypomniałem, że miałbym pewną prośbę.

- Proszę mi powiedzieć, czy wasi ludzie bywają w różnych latach.

- Tak.

- I dwadzieścia lat temu?

- I wtedy. Tylko, rzecz prosta, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. I o tym nikt nie wie.

- A czy w czasie wojny i blokady był ktoś w Leningradzie?

- Oczywiście.

- Otóż to. Mam taką prośbę. Muszę tam coś przesłać.

- Ależ to niemożliwe.

- Powiedział pan, że spełnicie moją prośbę.

- Co to za przesyłka?

- Chwilkę - powiedziałem i wybiegłem do kuchni. Wziąłem stamtąd dwie puszki mleka skondensowanego, pół kilograma masła babci Kapłan z lodówki i jeszcze ze dwa kilogramy cukru. Wrzuciłem wszystko do plastikowej torby Liny Grigorjewny i wróciłem do pokoju. Gość z przyszłości zamiatał podłogę.

- Proszę - odezwałem się. - Powinniście to oddać pisarzowi Czerniajewowi. Aleksandrowi Czerniajewowi, w zimie, w styczniu roku czterdziestego drugiego. Wasi ludzie go znają. I adres też możecie znaleźć. Umarł z głodu pod koniec stycznia. A powinien wytrzymać jeszcze dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach przyjdzie do niego ktoś z radia. Niech się pan nie waży odmawiać. Czerniajew pisał powieść do ostatniego dnia...

- Niech pan zrozumie - tłumaczył gość. - To niemożliwe. To, że Czerniajew będzie żył dalej, może zmienić bieg historii.

- Nie zmieni... - odparłem z przekonaniem. - Gdybyście się tak bali przeszłości, nie bralibyście przedmiotów z siedemnastego wieku.

Powiedziałem to w natchnieniu, ale gość się uśmiechnął:

- Na takie pytania nie odpowiadam. Dobrze, wezmę pańską przesyłkę. Tylko trzeba zerwać etykiety z puszek. Takich wtedy nie było w Leningradzie. Pogadam z naszymi. Jeszcze raz panu dziękuję. Może się jeszcze zobaczymy.

Odszedł. Jakby go wcale nie było. Kusilo mnie bardzo, aby znowu zerwać tapety i zajrzeć do skrytki. Ale wiedziałem, że nigdy tego nie zrobię. I on to rozumiał, w przeciwnym razie nie przyszedłby do mnie.

Następnego dnia znalazłem w kieszeni dwie zapomniane monety. Jedną podarowałem Mitinowi, drugą zostawiłem sobie na pamiątkę.

Mitin przyniósł mi jednotomowe wydanie Buł-hakowa, a potem powiedział:

- Wiesz, znalazłem w domu tom spuścizny literackiej. Są tam wspomnienia o Czerniajewie. Interesuje cię to?

Odrzekłem, że bardzo mnie to ciekawi. Wiedziałem wprawdzie, że oni nie wysłuchali mej prośby i nie oddali staruszkowi przesyłki. Ale, oczywiście, pragnąłem absurdu. W odbitej w wielkim nakładzie biografii pisarza podano, że umarł właśnie w roku czterdziestym drugim. Nawet zaśmiałem się z siebie. Też teoretyk ze mnie.

Wieczorem przeczytałem wspomnienia o Czerniajewie. Była to relacja, jak żył w Leningradzie podczas blokady, jak pracował i nawet jeździł na front na spotkania z żołnierzami. Nagle - wierście lub _ nie wierście - pod koniec artykułu czytałem:

W zimie, zdaje się w styczniu, odwiedziłem Czerniajewa. Aleksander Girgorjewicz był bardzo słaby i z trudem chodził. Rozmawialiśmy o sytuacji na froncie, o blokadzie. W pewnej chwili powiedział?

- Zdarzyło mi się coś dziwnego. Parę dni temu dostałem przesyłkę.

- Od kogo? - spytałem. - Przecież jest blokada.

- Nie wiem, od kogo. Było tam skondensowane mleko i cukier.

- To bardzo panu potrzebne - mówię. A on mi na to:

- A dzieciom nie potrzebne? Ja jestem starcem, ale te maleństwa w sąsiednim pokoju... Życie przed nimi.

- I oddał pan przesyłkę?

- A pan, młodzieńcze, jak by postąpił na moim miejscu? - spytał Czerniajew. Zrobiło mi się wstyd, że mogłem zadać takie pytanie.

Pięć razy przeczytałem ten fragment. Sam powinienem się był domyślić, że staruszek

otrzymawszy taką paczkę nie będzie pił mleka w tajemnicy przed innymi. Nigdy by tego nie zrobił...

Co jednak najdziwniejsze: ten tom spuścizny literackiej ukazał się w roku 1961, siedem lat temu...

Przełożył BOLESŁAW BARANOWSKI

WYBÓR

Było duszno, chciałem zrobić przeciąg, ale ciągle ktoś zamykał drzwi. Byłem zmęczony. Do tego stopnia, że prawie przez około pięć minut, zanim podniosłem słuchawkę, starałem się wymyślić prawdopodobną wymówkę, która pozwoli mi nie umówić się na dzisiaj z Katrin. A potem, kiedy wykreciłem numer, wyobraziłem sobie, jak Katrin zaraz powie, że nie może się ze mną spotkać, ponieważ ma zebranie. Katrin podniosła słuchawkę i powiedziała, że mogłem zadzwonić trochę wcześniej. Obok stolika z telefonem zatrzymał się Krogius, położył na blacie torbę z konserwami i cukrem - wybierał się na lotnisko. Stał przy telefonie i czekał, żebym skończył rozmowę. Patrzył na mnie błagalnie. Katrin mówiła cicho.

- Co? - zapytałem. - Mów głośniej.

- Za czterdzieści minut - powiedziała Katrin. - Tam, gdzie zawsze.

- No widzisz - powiedziałem do Krogiusa, odkładając słuchawkę. - Teraz możesz dzwonić.

- Dziękuję - powiedział Krogius. - Żona za moment wychodzi z pracy.

Przy wejściu do laboratorium czekała na mnie panienska z biblioteki. Powiedziała, że od dwóch lat zalegam ze składkami na Czerwony Krzyż i że mam zablokowany abonament w bibliotece, ponieważ nie oddałem ośmiu książek. Zupełnie zapomniałem o tych książkach. Co najmniej dwie z nich pożyczył ode mnie Suren. A Suren wyjechał do Armenii.

- Czy weźmie pan udział w "żywej gazecie"? - zapytała panienska z biblioteki.

- Nie - powiedziałem i uśmiechnąłem się do niej uśmiechem Łanowego albo Jeana Paula Belmondo.

Panienska oświadczyła, że jestem wielkim aktorem, tylko szkoda, że się nie chcę uczyć, a ja odpowiedziałem, że nie mam się po co uczyć, bo i tak wszystko umiem.

- Pan jest taki miły - powiedziała panienska. - Taki dobry.

- To nieprawda - powiedziałem. - Ja tylko udaję.

Panienska nie uwierzyła i odeszła prawie szczęśliwa, chociaż powiedziałem jej prawdę. Ja tylko udawałem. Było duszno. Poszedłem piechotą na plac Puszkina, żeby zabić czas. Przy filharmonii Czajkowskiego sprzedawali w kiosku goździki, ale goździki były marne, a poza tym pomyślałem, że jeżeli pójdziemy gdzieś z Katrin, będę wyglądał jak amant. Ogarnęło mnie głupie uczucie, że wszystko już kiedyś było. I ten osowiały dzień. I Katrin, która czeka na mnie na długiej półokrągłej ławce, a u stóp Puszkina stoją doniczki z przywiewdłymi kwiatami i leży wypłowiały bukietik chabrow.

Tak, wszystko już było. Nawet chabry. Ale Katrin spóźniła się, więc usiadłem na wolnym

brzegu ławki; z tej strony nie było cienia i dlatego nikt tu nie siadał. W cieniu tłoczyli się niemieccy turyści z zakupami, a dalej na przemian emeryci i tacy jak ja, którzy czekali. Jeden staruszek głośno mówił do sąsiada.

- To zbrodnia siedzieć w Moskwie w taką pogodę. To zbrodnia.

Złościł się, jakby tej zbrodni był ktoś winien. Katrin przyszła nie sama. Za nią, a raczej obok niej, szedł potężny, szeroki w barach mężczyzna z bródką nieumiejętnie przylepioną do podbródka i policzków. Bródka nadawała mu wygląd oszusta. Mężczyzna był w białej furazerce i gdyby było nieco chłodniej, na pewno włożyłby zamszową marynarkę. Patrzyłem na mężczyznę, ponieważ na Katrin patrzeć nie miałem powodu. Katrin i tak znałem. Jest podobna do młodego doga.

Katrin odnalazła mnie, podeszła i usiadła. Mężczyzna również usiadł. Katrin udała, że «mnie nie zna, więc nie patrzyłem w jej stronę. Mężczyzna powiedział:

- Bardzo tu gorąco. Takie słońce. Można dostać udaru słonecznego.

Katrin patrzyła prosto przed siebie, a tamten zachwycił się jej profilem. Miał ochotę dotknąć jej ręki, ale nie starczyło mu śmiałości i jego palce niechcący zawisły nad dłonią Katrin. Mężczyzna miał mokre czoło i lśniące, policzki.

Katrin odwróciła się od niego, jednocześnie cofnęła rękę, i nie patrząc na mnie powiedziała samymi wargami.

- Zmień się w pajaka. Przestrasz go śmiertelnie. Tylko tak, żebym ja nie widziała.

- Pani coś mówiła? - zapytał mężczyzna i dotknął jej łokcia. Jego palce zamarły, kiedy musnęły chłodną skórę.

Pochyliłem się do przodu, żeby mu spojrzeć w oczy i zamieniłem się w wielkiego pajaka. Mój odwłok miał pół metra długości, a łapy ponad metr. Wymyśliłem sobie zuchwy, które wyglądały jak krzywe piły wysmarowane cuchnącym jadem. A na plecach ulokowałem rojowisko pajęczych dzieci. Dzieci również poruszały zuchwami i ociekały jadem.

Mężczyzna nie od razu zrozumiał, co się stało. Zmrużył oczy, ale nie cofnął ręki z łokcia Katrin. Wobec tego zamieniłem Katrin w pajęczycę i zmusiłem go, aby poczuł pod palcami chłód szarego chitynowego pancerza. Mężczyzna przycisnął do piersi rozczapierzone palce, a wolną dłonią pomachał przed oczami.

- Do diabła - powiedział. Wydało mu się, że zachorował. Podobnie jak inni potężnie zbudowani mężczyźni był hipochondrykiem. Zmusił się, aby jeszcze raz spojrzeć w moją stronę i wtedy wyciągnąłem do niego moje przednie szponiaste łapy. I mężczyzna uciekł. Wstydił się ucieczki, ale nie mógł opanować strachu.

Niemcy złapali się za torby z zakupami. Staruszkowie patrzyli w ślad za nim. Katrin

roześmiała się.

- Dziękuję - powiedziała. - Świetnie ci to wychodzi.

- On by nie uciekł - powiedziałem - gdybym cię nie przemienił w pajęczycę.

- Jak ci nie wstyd!

- Dokąd pójdziemy? - zapytałem.

- Dokąd zechcesz - powiedziała Katrin.

- Dzisiaj jest strasznie duszno. Gdzie on się do ciebie przyczepił?

- Pod kinem. Powiedziałam mu, że idę na spotkanie z mężem, ale potem postanowiłam go ukarać, bo był okropnie pewny siebie. Może pójdziemy do parku? Napijemy się piwa.

- Dzisiaj tam będzie straszny tłok - powiedziałem.

- Dziś piątek. Sam mówiłeś, że w piątki wszyscy rozsądni ludzie wyjeżdżają za miasto.

- Jak sobie życzysz.

- W takim razie chodźmy łapać taksówkę.

Na postoju była straszna kolejka. Słońce opadło na dachy i wydawało się, że jest zbyt blisko ziemi.

- Zrób coś - powiedziała Katrin. Wszedłem z kolejki i zacząłem łapać łebka.

Nigdy tego nie robię, chyba tylko dla Katrin. Na rogu zobaczyłem pusty samochód i przemieniłem się w Jurija Nikulina.

- Dokąd? - zapytał szofer, kiedy wsunąłem w okienko głowę Nikulina.

- Na Sokolniki.

- Siadaj, Jura - powiedział szofer. Zawołałem Katrin, a ona zapytała mnie, kiedy szliśmy do samochodu, w kogo się zmieniłem.

- W Jurija Nikulina.

- Słusznie - powiedziała Katrin. - Kierowca będzie dumny, że jechałeś jego samochodem.

- Przecież wiesz...

- To był żart - powiedziała Katrin.

- Jakoś dawno cię nie pokazywali w kinie - powiedział szofer rozkoszując się moją bliskością.

- Mam wiele pracy w cyrku - odparłem.

Cały czas musiałem o nim myśleć, chociaż wolałbym patrzeć na Katrin. Katrin uśmiechała się. Przygryzła dolną wargę i koniuszki ostrych zębów wbiły się w różową skórę. Szofer był gadatliwy, dałem mu rubla, a on powiedział, że zachowa go na pamiątkę.

Pod wielkimi drzewami przy wejściu panował chłód i wszystkie ławki były zajęte. Dalej za okrągłym basenem wznosiła się kopuła, którą zostawili tu Amerykanie, kiedy urządzali wystawę.

Teraz również tu była wystawa "Inter-cośtam-71". Pomyślałem, że jeżeli Garów przeczyta do poniedziałku mój i Kriogusa referat, to we wtorek przyjdzie do laboratorium. Krogius nie zdawał sobie sprawy, jak narozrabialiśmy. Ja tak.

- Chodźmy na lewo - powiedziała Katrin. W lasku, poprzecinanym ścieżkami, pod jakimś dawno nie malowanym płotem Katrin rozścieliła dwie gazety i usiedliśmy na trawie. Katrin zachciało się piwa, wyjąłem butelkę z teczki. Kupiłem ją po drodze z pracy, ponieważ pomyślałem, że Katrin będzie miała ochotę na niwo. Nie miałem czym otworzyć butelki, więc poszedłem w stronę płotu, żeby zerwać kapsel o sztachety. Wzdłuż płotu biegł wielki rów i pomyślałem sobie, że mógłbym przez ten rów przelecieć, nie przeskoczyć, tylko przelecieć. Ale na ścieżce pojawiły się dwie kobiety z dziećmi w wózkach, więc przeskoczyłem przez rów.

- Czy chciałabyś latać? - zapytałem Katrin.

Katrin spojrzała mi prosto w oczy i zobaczyłem, jak jej źrenice zrobiły się maleńkie, kiedy w nie zajrzało słońce.

- Nic nie rozumiesz - powiedziała. - Nie umiesz czytać myśli.

- Nie umiem - powiedziałem.

Piliśmy piwo przekazując sobie butelkę jak fajkę pokoju.

- Strasznie gorąco - powiedziała Katrin. - A to dlatego, że nie pozwalasz mi upinać włosów.

- Ja?

- Powiedziałeś, że bardziej ci się podobam z rozpuszczonymi włosami.

- Podobasz mi się niezależnie od fryzury.

- Ale z rozpuszczonymi włosami bardziej.

- Z rozpuszczonymi bardziej. Przyjąłem jej ofiarę.

Katrin siedziała z ręką opartą o trawę, a rękę miała szczupłą i silną.

- Katrin - powiedziałem. - Wyjdź za mnie za męż. Kocham się.

- Nie wierzę ci - powiedziała Katrin.

- Nie kochasz mnie.

- Jesteś głupi - powiedziała Katrin.

Pochyliłem się nisko i pocałowałem po kolei jej smukłe opalone palce. Katrin położyła mi na karku drugą dłoń.

- Dlaczego nie chcesz wyjść za mnie za męż? Będę dla ciebie zawsze okropnie przystojny.

Jak aktor filmowy.

- Zmęczysz się - powiedziała Katrin.

- A więc?

- Nigdy nie wyjdę za ciebie - powiedziała Katrin. - Jesteś przybyszem z kosmosu,

niebezpiecznym, obcym człowiekiem.

- Wychowałem się w Domu Dziecka - powiedziałem. - Wiesz o tym. I obiecują ci, że nigdy nie będę nikogo hipnotyzować. Ciebie tym bardziej.

- Czy coś mi wmawiałeś?

Cofnęła dłoń z mojego karku i poczułem, jak jej palce zawisły w powietrzu.

- Tylko wtedy, kiedy sama prosiłaś. Kiedyś cię ząb bolał. Pamiętasz? I kiedy chciałaś zobaczyć żyrafę na placu Komsomolskim.

- Nie próbowałeś mi wmówić, że cię kocham?

- Nie opowiadaj głupstw i połóż dłoń tam, gdzie była. Tak mi wygodniej.

- Nie kłamiesz?

- Ja chcę, żebyś mnie naprawdę kochała. Dłoń powróciła na miejsce i Katrin powiedziała:

- Nie wierzę ci.

Wypiliśmy piwo i postawiliśmy butelką na widoku, żeby ten, komu się przyda, znalazł ją i sprzedał. Rozmawialiśmy na zupełnie błahe tematy, nawet o ojczymie Tatiany, o Wice i o ludziach, którzy przechodzili obok i patrzyli na nas. Wyszliśmy z parku, kiedy zrobiło się już zupełnie ciemno, długo staliśmy w kolejce do taksówek, a kiedy odprowadziłem Katrin pod jej dom, nie chciała mnie pocałować na pożegnanie i w ogóle nie dogadaliśmy się w sprawie przyszłości.

Poszedłem do domu piechotą, było mi smutno, wymyśliłem więc perpetuum mobile, a potem udowodniłem, że ono i tak nie będzie pracować. Dowód był bardzo trudny i prawie zapomniałem o Katrin, kiedy znalazłem się na mojej ulicy. I wtedy zrozumiałem, że kiedy przyjdę do domu, zadzwoni telefon i Krogius powie, że niczego nie osiągniemy. Nie chciało mi się obchodzić długiego gazonu i postanowiłem przelecieć górą. Latać było niełatwo, ciągle traciłem równowagę i nie zdecydowałem się wlecieć do siebie na trzecie piętro, chociaż okno było otwarte. Wszedłem po schodach.

Kiedy otworzyłem drzwi, poczułem, że ktoś siedzi w ciemnym pokoju i czeka na mnie. Zatrzasnąłem za sobą drzwi i bez pośpiechu zamknąłem je na łańcuch. Potem zapaliłem światło w przedpokoju. Człowiek, który siedział po ciemku, wiedział, że czuję jego obecność, ale się nie poruszył. Zapytałem:

- Dlaczego pan siedzi bez światła?

- Zdrzemnąłem się - odparł człowiek. - Długo pana nie było.

Wszedłem do pokoju, przycisnąłem guziczek kontaktu i powiedziałem: - Może zaparzyć kawy?

- Tylko dla siebie. Ja nie będę pił. Promieniowało od niego poczucie własnej wartości. Ociekał godnością. Dlatego ja również stałem się niezmiernie dostoyny i wmówiłem mu, że mam

granatowy krawat w paseczki. Gość uśmiechnął się i powiedział:

- Szkoda pańskich wysiłków. Niech pan lepiej zaparzy kawę.

Poszedł za mną do kuchni, wyjął z kieszeni zapalki i zapalił gaz, kiedy wsypywałem kawę do ekspresu.

- Czy nie czuje się pan samotny? - zapytał.

- Nie.

- Nawet dziś?

- Dziś tak.

- Dlaczego pan się do tej pory nie ożenił?

- Dziewczęta nie chcą mnie kochać.

- A może przywykł pan do samotności?

- Może.

- Ale ma pan przyjaciół.

- Mam wielu przyjaciół.

- Ale przyjaciół nie obchodzi, co się z panem dzieje?

- Nieprawda. A jak pan wszedł do mieszkania?

Człowiek wzruszył ramionami i powiedział:

- Wleciałem. Okno było otwarte.

Stał z głową przechyloną na bok i wpatrywał się we mnie, jakby oczekiwał, że wyrażę zdziwienie. Ale ja się nie zdziwiłem, ponieważ sam omal nie zrobiłem tego samego - bałem się tylko, że stracę równowagę i uderzę o balustradę balkonu. Człowiek ze skrucną pokręcił głową i powiedział:

- Nie ma wątpliwości - i poprawił binokle. Mógłbym przysiąc, że trzy minuty temu nie miał na nosie żadnych binokli. Wlałem kawę do filiżanki, wziąłem paczkę wafli i poprosiłem gościa do pokoju. Zmęczył mnie upał i rozmowy, które do niczego nie prowadzą.

- Niech pan zdejmie buty - powiedział gość demonstrując troskliwość. - Nogi muszą odpocząć.

- Jest pan niezmiernie uprzejmy - powiedziałem. - Ale jeśli można, najpierw wypiję kawę, bo jestem senny.

Człowiek przeszedł przez pokój, zatrzymał się przed półką i przesunął palcem po grzbietach książek, niby kijem po sztachetach.

- A więc - powiedział rzeczowym tonem. - Niejednokrotnie zadawał pan sobie pytanie, czemu jest pan inny niż wszyscy. I odpowiedzi na to pytanie pan nie znalazł. Jednocześnie coś powstrzymywało pana od tego, aby zwrócić się do lekarza.

- Jestem taki, jak wszyscy - powiedziałem i pomyślałem, że trzeba było go posłuchać i zdjąć buty.

- Już w Domu Dziecka uczył się pan lepiej niż pana rówieśnicy. Znacznie lepiej. Zdziwił pan swoich nauczycieli.

- Drugie miejsce na olimpiadzie matematycznej - powiedziałem. - Ale nauczycieli nie zdziwiłem. I medalu nie dostałem.

- Medalu nie zdobył pan celowo - powiedział gość. - Pan się wstydził swoich zdolności. Pan nawet przekonał Krogiusa, że jest on pełnoprawnym współautorem waszej pracy. A to nieprawda. Dysponuje pan potężną siłą przekonywania. Może pan wmówić każdemu człowiekowi diabli wiedzą co.

- A panu? - zapytałem.

- Mnie nie - odparł mój gość i zamienił się w niewielki pomnik ojca sztuki drukarskiej Iwana Fiodorowa.

- To interesujące - powiedziałem. - Teraz pan powie, że jest pan moim krewnym i że łączą nas niewidzialne związki genetyczne.

- Słusznie - powiedział gość. - Gdyby tak nie było, pan by się nie domyślił, że czekam na pana, wyraziłby pan co najmniej zdziwienie, widząc nieznanego człowieka w zamkniętym mieszkaniu. Zdziwiłby się pan słysząc, że wleciałem przez okno na trzecim piętrze. A propos, czy już pan umie latać?

- Nie wiem - przyznałem. - Dziś próbowałem pierwszy raz. A co ja jeszcze umiem robić?

- Wystarczy ci spojrzeć na stronę książki, żeby zapamiętać tekst, dodajesz, mnożysz, wyciągasz pierwiastki tak łatwo, że mógłbyś z powodzeniem występować na scenie, możesz nie jeść przez kilka dni, zresztą nie spać również.

- Chociaż lubię robić jedno i drugie.

- Przyzwyczajenie - chłodno powiedział gość. - Wpływ środowiska. W Domu Dziecka pilnowano, żeby wszystkie dzieci spały w nocy. Umiesz widzieć związek między faktami i zjawiskami pozornie nie mającymi ze sobą nic wspólnego. W tutejszych kategoriach jesteś geniuszem. Chociaż nie wszystkie swoje zdolności umiesz wykorzystać, a niektórych zresztą nawet nie podejrzewasz.

- Na przykład? - zapytałem.

Gość niezwłocznie rozwiął się w powietrzu i zmaterializował się za moimi plecami w otwartych drzwiach. Potem bez pośpiechu podszedł do półki, wyjął słownik angielsko-rosyjski i rzucił nim w górę. Słownik zastygł w powietrzu.

- To wszystko jest jeszcze przede mną? - zapytałem bez szczególnego entuzjazmu.

- To jeszcze nie wszystko.

- Jeśli o mnie chodzi, to mi wystarczy.

- Jeżeli będziesz się uczył. Jeżeli powrócisz do naturalnego środowiska. Jeśli znajdziesz się wśród siebie podobnych.

- Tak - powiedziałem. - To znaczy, że jestem mutantem. Skaza genetyczna. I do tego nie jestem wyjątkiem.

- To nie tak - powiedział gość. - Po prostu jesteś tu obcy.

- Tu się urodziłem.

- Nie.

- Urodziłem się na wsi. Moi rodzice zginęli w czasie pożaru lasu. Strażacy znaleźli mnie i przywieźli do miasta.

- Nie.

- W takim razie niech pan powie.

- Powinniśmy byli znaleźć cię wcześniej. Ale to było niełatwe. Myśleliśmy, że nikt nie uszedł z życiem. To był statek zwiadowczy. Kosmiczny statek. Tam byli twoi rodzice. Statek uległ katastrofie. Spłonął. Zdążyli cię wyrzucić ze statku. Spalił się las. Strażacy, którzy cię znaleźli całego i zdrowego, nie wiedzieli, że do końca pożaru chroniło cię pole siłowe.

Słuchałem go, ale dręczyło mnie coś zupełnie innego.

- Proszę mi powiedzieć - poprosiłem - jaki ja jestem naprawdę?

- Czy chcesz wiedzieć, jak wyglądasz?

- Tak.

Gość przeistoczył się w opływową substancję, półprzezroczystą, zmieniając kolor i kształt, nie pozbawioną wszelako pewnej gracji.

- To również złudzenie?

- Nie.

- Ale przecież ja się nie staram być człowiekiem. Ja jestem człowiekiem.

- W przeciwnym razie nie mógłbyś żyć na Ziemi. Myśleliśmy, że zginąłeś. A ty się przystosowałeś.

- Będą musiał odlecieć z panem? - zapytałem.

- Rozumie się - powiedział gość - Przecież mi wierzysz?

- Wierzę - powiedziałem - tylko przedtem zadzwonię do Krogiusa.

- Nie trzeba - powiedział gość. - To, coście zrobili z Krogiusem, na razie nie jest Ziemi potrzebne. Ludzie nie zrozumieją was. Uczeni was wyśmieją. Jestem w ogóle zdumiony, że potrafiłeś zarazić Krogiusa wiarą w ten pomysł.

- Ale przecież to jest realne?

- Jest. Za sto lat na Ziemi dojdą do tego. Naszą rzeczą jest nie wtrącać się.

Podniosłem słuchawkę telefonu.

- Prosiłem, żebyś nie dzwonił do Krogiusa.

- Dobrze - powiedziałem. I nakręciłem numer Katrin. Gość położył dłoń na widełkach.

Znowu przybrał ludzką postać.

- To już jest skończone - powiedział. - I samotność. I konieczność życia wśród istot na o wiele niższym szczeblu rozwoju. Pod każdym względem. Gdybym cię nie znalazł, musiałbyś zginąć. Jestem tego pewien. A teraz musimy się śpieszyć. Statek czeka. Nie tak łatwo przylecieć na koniec galaktyki. I nie tak często pojawiają się tu nasze statki. Zamknij mieszkanie. Nie od razu zorientują się, że cię nie ma.

Kiedy wychodziliśmy, już na schodach usłyszałem, że dzwoni telefon. Zrobiłem krok do tyłu.

- To Krogius - powiedział gość. - Rozmawiał z Gurowem i ten rozbił w proch i pył waszą koncepcję. Teraz Krogius zapomni o wszystkim. Niedługo zapomni.

- Wiem - powiedziałem - to był Krogius. Do statku dolecieliśmy szybko. Wisiał nad krzakami, niewielki, półprzezroczysty, na pierwszy rzut oka absolutnie nie przystosowany do dalekich podróży. Wisiał nad krzakami w Sokolnikach i nawet się obejrzałem w nadziei, że zobaczę pustą butelkę po piwie.

- Pożegnalne spojrzenie? - zapytał gość.

- Tak - potwierdziłem.

- Spróbuj przezwyciężyć smutek, który cię ogarnia - powiedział gość. - Ten smutek zrodziło nie rozstanie, lecz niepewność i to, że nie możesz zajrzeć w przyszłość. Jutro będziesz się uśmiechał na myśl o maleńkich radościach i maleńkich nieprzyjemnościach, które cię tutaj otaczały. Nieprzyjemności było więcej.

- Więcej - zgodziłem się i ciepłą miękkością otuliło mnie powietrze statku.

- Startujemy - powiedział gość. - Nie poczujesz przeciążenia. Przyjrzyj mi się uważnie. Twoja ziemską powłoka nie chce cię opuścić.

Gość przelewał się perłowymi falami dotykając przyrządów na pulpicie sterowniczym.

Poprzez na wpół przezroczystą podłogę statku zobaczyłem, jak coraz szybciej i szybciej ucieka w dół ciemna zieleń parku, jak zbiegają się ze sobą i robią coraz mniejsze sznureczki ulicznych świateł i gwiazdozbiory okien. I Moskwa przekształciła się w jasną plamę na czarnym ciełe Ziemi.

- Nigdy nie pożałujesz - powiedział gość. - Włączę muzykę i zrozumiesz, jakich wyżyn

może osiągnąć rozum zwrócony ku doskonałości.

Muzyka pojawiła się od środka, wpłynęła do statku, uniosła nas i pomknęła ku gwiazdom, i była tak doskonała, jak doskonale jest gwiazdziste niebo. To była ta doskonałość, do której ciągnęło mnie nocami w chwilach zmęczenia i rozdrażnienia.

I usłyszałem, jak znowu dzwoni telefon w porzuconym nie sprzątniętym mieszkaniu, telefon, którego słuchawka była omotana taśmą izolacyjną, ponieważ kiedyś któryś z podpitych przyjaciół zrzucił aparat ze stołu, żeby zrobić miejsce dla szachownicy.

- Idę - powiedziałem do gościa.

- Nie - odparł tamten. - Za późno na powrót. Zresztą powroty w przeszłość są bezsensu.

W daleką przeszłość.

- Do widzenia - powiedziałem.

Opuściłem statek, ponieważ tego wieczora nauczyłem się wielu rzeczy, których istnienia przedtem nawet nie podejrzewałem.

Ziemia zbliżała się i Moskwa znowu przemieniła się w bezgraniczne morze światła. I z trudem odszukałem swój czteropiętrowy blok, tak bliźniaczo podobny i smutny w szeregu współbraci.

Dogonił mnie jego głos.

- Przez całe życie będziesz dążył do nas, do mnie. Ale będzie za późno. Opamiętaj się. Nie wolno ci wracać.

Drzwi balkonowe były otwarte. Telefon już zamilkł. Znalazłem go po omacku, nie zapalając światła. Zadzwoiłem do Katrin i zapytałem:

- Dzwoniłaś do mnie, Katiuszka?

- Zwariowałaś - powiedziała Katrin. - Jest pierwsza w nocy. Wszystkich sąsiadów obudzisz.

- To ty dzwoniłaś?

- To na pewno twój zwariowany Krogius. Szukał cię po całym mieście. Ma jakieś nieprzyjemności.

- Szkoda - powiedziałem.

- Krogiusa?

- Nie, szkoda, że to nie ty dzwoniłaś.

- A dlaczego powinnam dzwonić?

- Żeby powiedzieć, że zgadzasz się wyjść za mnie za mąż.

- Zwariowałaś. Przecież ci powiedziałam, że nigdy nie wyjdę za przybysza z kosmosu i moralnego potwora, który może we mnie wmówić, że jest Jeanem Paulem Belmondo.

- Nigdy?

- Idź spać - powiedziała Katrin. - Inaczej cię znienawidzę.
 - O której kończysz pracę?
 - To nie twoja sprawa. Mam randkę.
 - Masz randkę ze mną - powiedziałem surowo.
 - No dobrze, z tobą - powiedziała Katrin. - Tylko nie wyobrażaj sobie zbyt wiele.
 - W tej chwili prawie nie jestem w stanie wyobrazić sobie czegokolwiek.
 - Całuję cię - powiedziała Katrin. - Zadzwoń do Krogiusa. Uspokój go, bo on oszaleje.
- Zadzwoniłem do Krogiusa i uspokoilem go.

Potem zdjąłem buty i już zasypiając, przypomniałem sobie, że skończyła mi się kawa i jutro muszę koniecznie wpaść do sklepu na Kirowską i odstać tam gigantyczną kolejkę.

Przełożyła IRENA LEWANDOWSKA

DZIEWCZYNA, KTÓREJ NIGDY NIE STANIE SIĘ NIC ZŁEGO

Jutro Alisa idzie pierwszy raz do szkoły. To będzie nadzwyczaj interesujący dzień. Dziś od rana wideofonują przyjaciele oraz znajomi Alisy i wszyscy jej gratulują. Zresztą Alisa już od trzech miesięcy nie daje nikomu spokoju - ciągle opowiada o swojej przyszłej szkole.

Marsjanin Bus przysłał jej jakiś bardzo dziwny piórnik, którego jak dotąd nikt nie zdołał otworzyć. Ani ja, ani moi współpracownicy, wśród których nawiasem mówiąc było dwóch doktorów i główny mechanik ogrodu zoologicznego.

Szusza powiedział, że pójdzie do szkoły razem z Alisa i sprawdzi czy jej nauczycielka ma wystarczające doświadczenie.

Zdumiewająco dużo zamieszania. Mam wrażenie, że kiedy ja szedłem pierwszy raz do szkoły, zamieszania było znacznie mniej.

Teraz jakby trochę ucichło. Alisa poszła do ogrodu zoologicznego, żeby pożegnać się z Brontkiem.

Póki w domu panuje spokój, postanowiłem zanotować kilka historii z życia Alisy i jej przyjaciół. Poślę te wspomnienia nauczycielce Alisy. Uważam, że powinna wiedzieć, z jakim niepoważnym człowiekiem będzie miała do czynienia. Być może te nagrania pomogą nauczycielce w edukacji mojej córki.

Początkowo Alisa była dzieckiem jak inne. Mniej więcej od trzech lat. Dowodem niech posłuży pierwsza historia, którą zamierzam opowiedzieć. Ale już w rok później, kiedy poznała Brontka, w jej charakterze pojawiła się skłonność do robienia wszystkiego na odwrót, znikania w najbardziej niestosownych momentach i nawet przypadkowo dokonywała odkryć, które przekraczały możliwości naszych najwybitniejszych uczonych. Alisa potrafi wykorzystywać to, że jest lubiana, a jednak ma wielu oddanych przyjaciół. Ale nam, jej rodzicom, bywa nieraz ciężko. Nie możemy przecież bez przerwy siedzieć w domu - ja pracuję w ogrodzie zoologicznym, a nasza mama buduje domy i to często na innych planetach.

Chcę zawiadzić nauczycielkę Alisy - ona także nie będzie miała łatwego życia. Jako dowód niech posłużą te absolutnie prawdziwe historie, jakie zdarzyły się z Alisa w ciągu ostatnich trzech lat w różnych punktach Ziemi i kosmosu.

Przełożyła IRENA LEWANDOWSKA

NAKRĘCAM NUMER

Alisa nie śpi. Dziesiąta godzina, a ona wciąż jeszcze nie śpi. Mówię do niej:

- Alisa, masz natychmiast spać, bo inaczej...- Bo "inaczej" co, tatusiu?

- Bo inaczej zawideofonuję do Baby Jagi.

- A kto to taki Baba Jaga?

- No, takie rzeczy dzieci powinny wiedzieć. Baba Jaga to straszna wiedźma, która zjada małe niegrzeczne dzieci.

- A dlaczego?

- Dlatego, że jest zła i głodna; - A dlaczego jest głodna?

- Bo w jej chatce na kurzej nóżce nie ma kanału spożywczego.

- A dlaczego nie ma?

- Dlatego, że jej chatka jest bardzo stara i stoi daleko w lesie.

Alisa tak się zainteresowała, że aż usiadła na łóżku.

- To ona pracuje w rezerwacie?

- Alisa, natychmiast spać!

- Ale przecież obiecałeś mi zawołać Babę Jagę. Proszę cię, tatusiu najdroższy, wezwij Babę Jagę!

- Dobrze. Ale gorzko tego pożałujesz. Podeszedłem do wideofonu i nacisnąłem na chybił-trafił kilka guzików. Miałem cichą nadzieję, że połączenia nie będzie i Baby Jagi "nie zastanę w domu".

Niestety pomyliłem się, ekran wideofonu pojaśniał, mocno rozbłysnął, rozległ się trzask, ktoś przycisnął guziczek odbioru na drugim końcu linii i zanim zdążył się pojawić obraz, usłyszałem senny głos.

- Ambasada Marsjańska, słucham.

- No i jak, tatusiu, przyjedzie? - zawołała z sypialni Alisa.

- Ona już śpi - odpowiedziałem gniewnie.

- Ambasada Marsjańska, słucham - po-powtórzył senny głos.

Odwróciłem się. Z ekranu spoglądał na mnie młody Marsjanin o zielonych pozbawionych rzęs oczach.

- Pan wybaczy - powiedziałem. - Zapewne pomyliłem numer.

Marsjanin uśmiechnął się. Patrzył nie na' mnie, ale na coś za moimi plecami. Oczywiście Alisa wylazła z łóżka i teraz stała bosą na podłodze.

- Dobry wieczór - powiedziała do Marsjanina.

- Dobry wieczór, dziewczynko.

- Czy to u pana mieszka Baba Jaga? Marsjanin spojrzał na mnie pytająco.

- Rozumie pan - powiedziałem - Alisa nie może zasnąć, więc chciałem zawideofonować do Baby Jagi, żeby ją ukarała. Niestety pomyliłem numer.

Marsjanin znowu się uśmiechnął.

- Dobrej nocy, Alisa - powiedział. - Trzeba spać, bo inaczej tatuś zawoła Babę Jagę.

Marsjanin pożegnał się i wyłączył aparat.

- A teraz już pójdziesz spać? - zapytałem. - Słyszałaś, co powiedział ten z pana z Marsa?

- Pójdę. Ale weźmiesz mnie kiedyś na Marsa?

- Jeśli będziesz grzeczna, polecimy tam latem.

W końcu Alisa zasnęła, a ja znowu siadłem do roboty. Zasiedziałem się do pierwszej w nocy. W pewnym momencie coś cicho zatrzeszczało w wideofonie. Nacisnąłem guzik. Patrzył na mnie Marsjanin z ambasady.

- Daruje pan, że niepokoję go tak późno w nocy. Ale pański wideofon nie był wyłączony, więc pomyślałem, że jeszcze pan nie śpi.

- Proszę, o co chodzi?

- Czy nie mógłby nam pan pomóc? - poprosił Marsjanin. - Cała ambasada nie śpi. Przejrzeliśmy wszystkie encyklopedie, sprawdziliśmy książkę wideofoniczną, ale nigdzie nie możemy znaleźć, kto to taki ta Baba Jaga i gdzie mieszka.

Przełożyła IRENA LEWANDOWSKA

BRONTEK

Do naszego moskiewskiego ogrodu zoologicznego przywieziono jajo brontozaura. Jajo to znaleźli chilijscy turyści w osypisku na brzegu Jeniseju. Jajo było prawie kuliste i wspaniale przechowało się w wiecznej zmarzlinie. Specjaliści stwierdzili, że jest absolutnie świeże. Wobec tego postanowiliśmy umieścić je w inkubatorze.

Oczywiście prawie nikt nie wierzył w sukces, ale już po upływie tygodnia zdjęcia rentgenologiczne stwierdziły, że zarodek brontozaura rozwija się. Kiedy ten fakt odnotowała Interwi-zja, do Moskwy zaczęli się zjeżdżać uczeni i korespondenci z całego świata. Musieliśmy zarezerwować dla nich cały osiemdziesięciopiętrowy hotel "Wenera" na ulicy Gorkiego. Ale i tak nie wszyscy się pomieścili. Ośmiu tureckich paleontologów spało w mojej jadalni, ja sam zamieszkałem w kuchni wraz z dziennikarzem z Ekwadoru, a dwie korespondentki tygodnika "Kobiety Antarktydy" ulokowałem w sypialni Alisy.

Kiedy nasza mama zawideofonowała wieczorem z Nukusa, gdzie buduje stadion, była pewna, że trafiła pod niewłaściwy numer.

Wszystkie telesatelity świata pokazywały jajo. Jajo z profilu, jajo z przodu; szkielety brontozaurów i jajo...

Kongres kosmofilologów w pełnym składzie przyjechał na wycieczkę do zoo. Ale wtedy już nie pozwalaliśmy nikomu wchodzić do inkubatora i filolodzy musieli poprzestać na obejrzeniu białych niedźwiedzi i marsjańskich modliszek.

Po czterdziestu sześciu dniach takiego zwariowanego życia jajo drgnęło. Siedziałem wraz z moim przyjacielem profesorem Jakatą przy kopule, pod którą leżało jajo, i piliśmy herbatę. Przestaliśmy już wierzyć, że z jajka coś się wykluje. Nie prześwietlaliśmy go od jakiegoś czasu, żeby nie zaszkodzić naszemu "noworodkowi". I nie mogliśmy niczego przewidzieć chociażby dlatego, że jeszcze nikt przed nami nie próbował sztucznego wychowu brontozaurów.

A więc jak powiedziałem, jajo drgnęło, jeszcze raz... pękło i przez grubą błonę skorupy wysunęła się czarna żmijowata głowa. Zaterkotały automatyczne kamery filmowe. Wiedziałem, że nad drzwiami pawilonu zapaliło się czerwone światło. Na terytorium naszego zoo zaczęło się coś, co niezmiernie przypominało panikę.

Po pięciu minutach wokół nas byli już wszyscy, którzy być powinni, a także wielu takich, którzy nie powinni, ale bardzo chcieli. Od razu zrobiło się gorąco.

Wreszcie z jajka wylazł malutki brontozaur.

- Tatusiu, a jak mu na imię? - usłyszałem nagle znajomy głos.

- Alisa! - zdziwiłem się. - Jak tu weszłaś?

- Z korespondentami.

- Ale przecież dzieci nie wpuszczają.

- Mnie wpuszczają. Mówiłam wszystkim, że jestem twoją córką. Więc mnie wpuścili.

- A czy ty wiesz, że to bardzo nieładnie wykorzystywać znajomości dla prywatnych celów?

- Ale przecież mały Brontek może się nudzić bez dzieci. No to przyszłam.

Machnąłem ręką. Nie miałem ani minuty czasu, żeby wyprowadzić Alisę z inkubatora. A nie było też nikogo, kto by się zgodził zrobić to za mnie.

- Stój tu i nie ruszaj się z miejsca - powiedziałem. A sam pobiegłem do kopuły, pod którą siedział nowo narodzony brontozaur.

Przez cały wieczór nie rozmawiałem z Alisą. Gniewaliśmy się. Zabroniłem jej chodzić do inkubatora, ale Alisa powiedziała, że nie może mnie posłuchać, bo jej żal Brontka. Następnego dnia znowu tam była. Przeprowadzili ją kosmonauci ze statku "Jowisz-8". Kosmonauci byli bohaterami i nikt nie mógł im niczego odmówić.

- Dzień dobry, Brontek - powiedziała podchodząc do kopuły.

Brontozaur spojrzał na nią spode łba.

- Czyje to dziecko? - surowo zapytał profesor Jakata.

Omali się pod ziemię nie zapadłem.

Ale Alisa też nie zapomina języka w buzi.

- Nie podobam się panu? - zapytała.

- Ależ skąd, wręcz przeciwnie... Po prostu myślałem, że być może pani się zgubiła... - profesor zupełnie nie. umiał rozmawiać z małymi dziewczynkami.

- Dobrze - powiedziała Alisa. - Jutro znowu przyjdę do ciebie. Trzymaj się, Brontek. I rzeczywiście przyszła. I przychodziła prawie codziennie. Wszyscy do niej przywykli i przepuszczali ją bez żadnych problemów. Ja zaś umyłem ręce. I tak nasz dom stoi niedaleko zoo, przez jezdnię nie trzeba przechodzić, zresztą Alisa zawsze znajdowała sobie jakieś towarzystwo.

Brontozaur rósł bardzo szybko. Po miesiącu miał już dwa i pół metra długości i wtedy przeniesiono go do specjalnie zbudowanego pawilonu. Spacerował po ogrodzonym wybiegu i zjadał młode pędy bambusa oraz banany. Bambus przywożono ciężarówkami z Indii, a w banany zaopatrywał nas sowchoz "Zroszone pola". W cementowym basenie na środku wybiegu chlupotała ciepła słonawa woda. Taka najbardziej odpowiadała brontozaurowi.

Ale nagle nasz wychowanek stracił apetyt. Trzy dni bambus i banany leżały nietknięte. Na czwarty dzień brontozaur położył się na dnie basenu i oparł czarną malutką głowę na jego plastikowej krawędzi. Jasne było, że zamierzał umrzeć. Nie mogliśmy do tego dopuścić. Przecież

mieliśmy tylko jednego brontozaura. Pomagali nam najlepsi lekarze świata, ale wszystko było daremne. Brontek nie chciał ani trawy, ani witamin, ani pomarańcz, ani mleka - niczego. Alisa nic nie wiedziała o tej tragedii. Wysłałem ją do babci do Wnukowa. Ale czwartego dnia włączyła telewizor akurat w momencie, kiedy nadawano komunikat o pogorszeniu się stanu zdrowia brontozaura. Nie mam pojęcia, w jaki sposób przekonała babcię, ale następnego ranka Alisa wbiegła do pawilonu.

- Tatusiu! - krzyknęła Alisa. - Jak mogłeś ukryć to przede mną? Jak mogłeś?

- Później, Alisa, później - odpowiedziałem. - Teraz mamy naradę.

Rzeczywiście trwała narada. Praktycznie nie przerywaliśmy jej przez ostatnie trzy dni.

Alisa nic nie odpowiedziała, i odeszła. A po chwili usłyszałem, jak ktoś obok jęknął. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Alisa już przelazła przez ogrodzenie, zeskoczyła na ziemię i pobiegła do mordy brontozaura. W rękę trzymała bułkę.

- Jedz, Brontek - powiedziała - bo inaczej oni cię głodem zamorzą. Mnie na twoim miejscu też by obrzydły banany.

Nie zdążyłem nawet dobiec do ogrodzenia, kiedy stało się coś nieprawdopodobnego. Coś, co wślawiło Alisę i mocno zepsuło opinię nam, biologom.

Brontozaur uniósł głowę, spojrzął na Alisę i delikatnie wziął bułkę z jej rąk.

- Ostrożnie, tatusiu - pogroziła mi palcem Alisa widząc, że chcę przeskoczyć przez barierę.

- Brontek się ciebie boi.

- On jej nie robi krzywdy - powiedział profesor Jakata.

Sam widziałem, że nie robi jej krzywdy. Ale co będzie, jeśli tę scenę zobaczy babcia?

Potem uczeni długo dyskutowali. Dyskutują do dziś. Jedni twierdzą, że Brontkowi była potrzebna zmiana pożywienia, inni, że miał większe zaufanie do Alisy niż do nas. Ale tak czy inaczej kryzys minął.

Teraz Brontek jest całkowicie oswojony. Chociaż ma około trzydziestu metrów długości, największą przyjemność sprawia mu wożenie na grzbiecie Alisy. Jeden z moich asystentów zrobił specjalną drabinkę i kiedy Alisa przychodzi do pawilonu, Brontek wyciąga swoją okropnie długą szyję i bierze swoimi trójkątnymi zębami stojącą w kącie drabinkę i zręcznie przystawia do swojego lśniącego czarnego boku.

A potem wozi Alisę po pawilonie albo pływa z nią w basenie.

Przełożyła IRENA LEWANDOWSKA

TUTEKSY

Jak obiecałem Alisie, zabrałem ją ze sobą, kiedy leciałem na konferencję na Marsa.

Dolecieliśmy szczęśliwie. Wprawdzie nie najlepiej znoszą stan nieważkości i wolałbym nie wstawać z fotela, ale moja córka cały czas szybowiała po statku i raz nawet musiałem ją zdejmować z sufitu mostku kapitańskiego, ponieważ chciała nacisnąć czerwony guzik, który był po prostu hamulcem bezpieczeństwa. Ale piloci nawet nie bardzo się na nią za to gniewali.

Na Marsie obejrzelśmy miasto, pojechaliśmy z turystami na pustynię i zwiedziliśmy Wielkie Jaskinie. Ale później nie miałem już czasu dla Alisy i oddałem ją na tydzień do internatu. Na Marsie pracuje wielu naszych specjalistów, więc Marsjanie pomogli nam zbudować wielką kopułę nad miasteczkiem dla dzieci. W miasteczku jest bardzo miło - rosną tam prawdziwe ziemskie drzewa. Czasami dzieci jeżdżą na wycieczki. Wtedy wkładają małe skafandry i karnym szeregiem wychodzą na ulicę.

Tatiana Pietrowna - tak się nazywa wychowawczyni - powiedziała, że mogę być spokojny. Alisa również powiedziała, że mogę się nie niepokoić. Wobec tego pożegnaliśmy się na tydzień.

A na trzeci dzień Alisa zaginęła.

To była zupełnie wyjątkowa sprawa. Zaczniemy od tego, że w całej historii internatu nikt nigdy nie ginął i nawet nie zniknął dłużej niż na dziesięć minut. W mieście na Marsie w ogóle nie sposób zginąć. A jeszcze do tego ziemskie dziecko w skafandrze! Pierwszy lepszy napotkany Marsjanin przyprowadzi je z powrotem. A roboty? A Służba Bezpieczeństwa? Nie, nie można zginąć na Marsie.

Niemniej Alisa znikła.

Nie było jej już od dwóch godzin, kiedy wywołano mnie z konferencji i na marsjańskim skocznym transporterze przywieziono do internatu. Mój wygląd zapewne był godny pożałowania, ponieważ, kiedy tylko znalazłem się pod kopułą, wszyscy obecni tam współczująco umilkli.

A kogo tam nie było! Wszyscy wykładowcy i roboty z internatu, dziesięciu Marsjan w skafandrach (muszą wkładać skafandry, kiedy wchodzi pod kopułę, w ziemskie powietrze), astronauta, szef służby ratunkowej Nazarian, archeolodzy...

Okazało się, że już od godziny miejska stacja telewizyjna co trzy minuty nadaje komunikat, że zaginęła dziewczynka z Ziemi. Wszystkie wideofony Marsa płonęły alarmowym światłem. W marsjańskich szkołach przerwano lekcje i uczniowie podzieleni na grupy przeczesywali miasto i okolicę.

Zniknięcie Alisy zauważono, gdy tylko jej grupa wróciła ze spaceru. Od tego momentu upłynęły dwie godziny. Zapas tlenu w skafandrze obliczony był na trzy.

Znając swoją córkę, zapytałem, czy przeszukano już wszystkie możliwe kryjówki w samym internacie i w najbliższej okolicy. Może Alisa znalazła marsjańską modliszkę i obserwuje jej zachowanie?

Odpowiedziano mi, że piwnic w mieście nie ma, a wszystkie miejsca, w których można by się ukryć, przeszukali już uczniowie i studenci marsjańskiego uniwersytetu, którzy je znają jak własne pięć palców.

Byłem bardzo zły na Alisę. Oczywiście, zaraz wyjdzie z za rogu z najbardziej niewinną miną. A przecież jej wybryk spowodował więcej kłopotów niż burza piaskowa. Wszyscy Marsjanie i wszyscy Ziemianie w mieście oderwali się od swoich zajęć, postawiono na nogi całą służbę ratunkową. Nadmiar złego sam już zaczynałem się niepokoić. Ta przygoda mogła źle się skończyć.

Przez cały czas nadchodziły komunikaty od patroli: "Uczniowie drugiego marsjańskiego progimnazjum przeszukali stadion. Alisy nie ma", "Fabryka marsjańskich słodczy zawiadamia, że na jej terytorium dziecka nie znaleziono..." "A może naprawdę udało się jej wydostać na pustynię? - myślałem. - W mieście już by ją znaleźli. Ale pustynia... Marsjańskie pustynie nie są jeszcze dokładnie zbadane, tam można zabłądzić tak, że przez dziesięć lat nikt człowieka nie odnajdzie. Ale przecież najbliższe okolice pustyni zostały dokładnie przeszukane." - Znalazła się! - zawołał nagle Marsjanin w niebieskim chitonie patrząc na kieszonkowy telewizor.

- Gdzie? Jak? Gdzie? - zainteresowali się wszyscy pod kopułą.

- Na pustyni. Dwieście kilometrów stąd.

- Dwieście kilometrów?

"Oczywiście - pomyślałem. - Oni nie znają Alisy. Właśnie tego należało oczekiwać." - Dziewczynka czuje się dobrze i niedługo będzie na miejscu.

- A jak ona tam trafiła?

- Na pocztowej rakiecie.

- No oczywiście! - powiedziała Tatiana Pietrowna i zapłakała. Denerwowała się najbardziej ze wszystkich.

Wszyscy zaczęli ją pocieszać.

- Przechodziliśmy przecież obok poczty, a tam ładowano automatyczne pocztowe rakiety. Ale nie zwróciłam na to uwagi. Przecież widzi się je sto razy dziennie.

A kiedy po dziesięciu minutach marsjański lotnik wprowadził Alisę, wszystko stało się jasne.

- Weszłam tam, żeby zabrać list - powiedziała Alisa.

- Jaki list?

- Tatusiu, powiedziałeś przecież, że mama napisze do nas list. No to ja zajrzałam do rakiety, żeby zabrać list.

- Weszłaś do środka?

- No oczywiście. Drzwi były otwarte i tam leżało dużo listów.

- A potem?

- Jak tylko weszłam, drzwi się zamknęły i rakieta poleciała. Zaczęłam szukać guzika, żeby ją zatrzymać. Tam jest mnóstwo guziczków. Kiedy nacisnęłam ostatni, rakieta poleciała w dół, a potem drzwi się otworzyły. Wyszłam, wszędzie dookoła był piasek, a cioci Tani nie było i dzieci też nie.

- Ona nacisnęła guziczek awaryjnego lądowania! - z zachwytem powiedział Marsjanin w niebieskim chitonie.

- Trochę popłakałam, a potem postanowiłam wracać do domu.

- A skąd wiedziałaś, w którą stronę masz iść?

- Wdrapałam się na górkę, żeby stamtąd popatrzeć. A w górce były drzwi. Z górki nic nie było widać. Wtedy weszłam do pokoju i tam usiadłam.

- Jakie drzwi? - zdziwił się Marsjanin. - Tam jest tylko pustynia.

- Nie, tam były drzwi i pokój. A w pokoju stoi wielki kamień. Jak piramida egipska. Tylko że mała. Pamiętasz, tatusiu, jak mi czytałeś książkę o egipskiej piramidzie?

Nieoczekiwanie opowieść Alisy wprawiła w silne wzburzenie Marsjan i Nazariana, naczelnika ratowników.

- Tuteksy! - zawołali.

- Gdzie znaleziono dziewczynkę? Współrzędne!

Połowę obecnych jakby krowa językiem zlizwała.

A Tatiana Pietrowna, która osobiście postanowiła nakarmić Alisę, opowiedziała mi, że wiele tysięcy lat temu istniała na Marsie tajemnicza cywilizacja tuteksów. Pozostały po niej tylko kamienne piramidki. Do chwili obecnej ani Marsjanie, ani archeologowie z Ziemi nie znaleźli ani jednej budowli tuteksów - tylko rozrzucone po pustyni zasypane piaskiem piramidki. I oto Alisa przypadkiem natrafiła na budowlę tuteksów.

- No widzisz, znowu miałaś szczęście - powiedziałem. - Ale pomimo to niezwłocznie odwożę cię do domu. Tam możesz się gubić, ile zechcesz. Bez skafandra.

- Ja też wolę się gubić w domu - powiedziała Alisa.

... W dwa miesiące później przeczytałem w miesięczniku "Dookoła świata" artykuł zatytułowany "Oto tuteksy". W artykule była mowa tym, że na marsjańskiej pustyni udało się wreszcie odnaleźć bezcenne świadectwa kultury tuteksów. Obecnie uczeni zajęci są

rozszyfrowywaniem napisów znalezionych wewnątrz budowli. Ale najciekawsze jest to, że na piramidce wykryto świetnie zachowany portret tuteksa. I tuż obok artykułu zamieszczona była fotografia.

Portret wydał mi się znajomy. Ogarnęło mnie straszliwe podejrzenie

- Alisa - powiedziałem bardzo surowo. - Przyznaj się uczciwie, czy niczego nie narysowałaś na piramidce, kiedy zbłądziłaś na pustyni?

Alisa, zanim odpowiedziała, podeszła do mnie i uważnie obejrzała zdjęcie.

- Zgadza się. To jesteś ty, tatusiu. Ale ja nie rysowałam, tylko drapałam kamykiem. Bardzo się tam nudziłam...

Przełożyła IRENA LEWANDOWSKA

NIEŚMIAŁY SZUSZA

Alisa ma wiele znajomych zwierząt. Dwa kociaki, marsjańską modliszkę, która mieszka pod łóżkiem Alisy i po nocach udaje bałajkę, jeża, który był u nas krótko, a potem wrócił do lasu, brontozaura Brontka - jego Alisa odwiedza w zoo, i psa sąsiadów, Reksa - miniaturowego jamnika, moim zdaniem niezupełnie rasowego.

A kiedy wróciła pierwsza ekspedycja z Syriusza, moja córka zdobyła jeszcze jedno zwierzę.

Alisa poznała Poroszkowa na pierwszomajowej manifestacji. Nie mam pojęcia, w jaki sposób to zrobiła - ma niezmiernie rozległe znajomości. W każdym razie znalazła się wśród dzieci, które przyniosły kwiaty kosmonautom.

Wyobraźcie sobie moje zdumienie, kiedy zobaczyłem w telewizji Alisę biegnącą przez plac z większym od niej bukietem błękitnych róż i wręczającą ten bukiet samemu Poroszkowowi.

Kosmonauta wziął ją na ręce, razem oglądali manifestację i razem potem gdzieś poszli.

Alisa wróciła do domu dopiero wieczorem z dużą czerwoną torbą w ręku, - Gdzieś ty była?

- Najbardziej byłam w przedszkolu.

- A najmniej?

- Zaprowadzili nas na Plac Czerwony.

- A potem?

Alisa zrozumiała, że oglądałem telewizję i powiedziała:

- Potem poproszono mnie, żebym powitała kosmonautów.

- Kto cię poprosił?

- Jeden pan, nie znasz go.

- Alisa, czy zetknęłaś się kiedyś z terminem "kary cielesne"?

- Wiem, to wtedy, kiedy dają klapsy, ale to chyba tylko w bajkach.

- Obawiam się, że bajka może stać się okrutną rzeczywistością. Czy ty zawsze musisz łązić tam, gdzie nie trzeba?

Alisa już się chciała na mnie obrazić, kiedy nagle torba w jej ręku poruszyła się.

- A co to znowu?

- Prezent od Poroszkowa.

- Wyłudziłaś prezent! Tego tylko brakowało!

- Niczego nie wyłudziłam. To szusza. Poroszkow przywiózł go z Syriusza. Malutki szusza. Szuszátko.

I Alisa ostrożnie wyjęła z torby małe stworzonko o sześciu łapach podobne do kangurzątko,

o oczach wielkich jak u ważki. Szusza wczepił się przednimi łapami w ubranie Alisy i uważnie patrzył dookoła.

- Widzisz, on mnie już lubi - powiedziała Alisa. - Zaraz mu przygotuję posłanie.

Znałem historię z szuszami. Wszyscy ją znali, a szczególnie biolodzy. Miałem w swoim zoo pięć szusz i z dnia na dzień oczekiwaliśmy powiększenia rodziny.

Poroszkow i Bauer znaleźli szusze na jednej z planet systemu Syriusza. Te sympatyczne łagodne zwierzątka, które ani na krok nie odstępowały kosmonautów, okazały się ssakami, chociaż sposobem zachowania raczej przypominały pingwiny. Ta sama nienatrętna ciekawość i wieczne próby włożenia w najbardziej nieodpowiednie miejsca. Bauer musiał nawet raz ratować szuszątko, zamierzające utonąć w wielkiej puszczy skondensowanego mleka. Ekspedycja przywiozła cały film o szuszach, który odniósł wielki sukces we wszystkich kinach w wideoramach.

Niestety, ekspedycja nie miała czasu na przeprowadzenie szczegółowych obserwacji. Wiadomo było, że szusze przychodziły do obozu ekspedycji rano, a z nadejściem nocy gdzieś znikają w pobliskich skałach.

W każdym razie, kiedy ekspedycja wracała już na Ziemię, w jednym z pomieszczeń Poroszkow znalazł trzy szusze, które zapewne zabłądziły na statku. Początkowo Poroszkow pomyślał, że szusze przemyca któryś z uczestników ekspedycji, ale oburzenie kosmonautów było tak szczere, że jego podejrzenia rozwiały się.

Obecność szusz spowodowała masę dodatkowych problemów. Po pierwsze, mogły okazać się źródłem nieznanymi infekcji. Po drugie, mogły umrzeć w czasie podróży, nie wytrzymać przeciążeń. Po trzecie, nikt nie wiedział, co one jedzą... I tak dalej. Ale wszystkie obawy okazały się nieuzasadnione. Szusze znakomicie zniosły dezynfekcję, posłusznie jadły bulion i konserwowane owoce. Z tego powodu zyskały sobie nieprzejednanego wroga w osobie Bauera, który lubił kompot, a przez ostatnie miesiące podróży musiał się go wyrzec. Wszystkie owoce zjedli pasażerowie na gapę.

W czasie podróży urodziło się sześć szuszątek, więc statek przybył na Ziemię przepełniony szuszami i szuszątkami. Zwierzątka okazały się łagodne i pojętne i nikomu oprócz Bauera nie przyczyniły żadnych kłopotów i przykrości.

Pamiętam historyczny moment powrotu ekspedycji na Ziemię, kiedy pod obstrzałem kamer telewizyjnych i filmowych otworzyła się kłapa i zamiast kosmonautów, w jej otworze 'ukazało się zdumiewające sześciopalcowe zwierzątko, a za nim kilka następnych, nieco mniejszych. Cała Ziemia westchnęła ze zdziwienia. Westchnienie urwało się dopiero w momencie, kiedy w ślad za szuszami ze statku wyszedł uśmiechnięty Poroszkow. Niósł na rękach szuszątko umazane skondensowanym mlekiem.

Część zwierzątek umieszczono w zoo, niektóre zostały u kosmonautów, którzy je bardzo polubili. Szuszątko Poroszkowa w końcu trafiło do Alisy. Jeden Pan Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób oczarowała surowego kosmonautę.

Szusza mieszkał w dużym koszu przy łóżku Alisy, mięsa nie jadał, w nocy spał, przyjaźnił się z kociećkami, bał się modliszki i cichutko mruczał, kiedy Alisa głąskała go albo opowiadała o swoich sukcesach czy zmartwieniach.

Szusza rósł szybko i po dwóch miesiącach był już wzrostu Alisy. Kiedy chodzili na spacer, na pobliski skwer, Alisa nigdy nie wkładała mu obroży.

- A jeśli on kogoś przestraszy? - pytałem.

- Nie, nie przestraszy. A poza tym szusza się obrazi, jeśli mu założę obrożę. Jest strasznie wrażliwy.

Pewnego razu Alisa nie mogła usnąć. Kaprysiła i domagała się, żebym jej poczytał o doktorze Ajboli.

- Nie mam czasu, córeczko - powiedziałem. - Mam pilną pracę, a zresztą już sama powinnaś czytać książki.

- Ale to nie książka, tylko mikrofilm, a tam są takie maleńkie litery.

- Mikrofilm jest dźwiękowy, jeśli nie chcesz czytać, możesz włączyć dźwięk.

- Nie chcę wstawać. Jest mi zimno.

- To poczekaj, aż skończę pisać, to ci włączę.

- Jak nie chcesz, to poproszę szuszę.

- No to poproś - uśmiechnąłem się.

Po chwili usłyszałem z sąsiedniego pokoju subtelny filmowy głos: "... i miał jeszcze doktor Ajboli psa Awwa".

A więc Alisa jednak wstała i włączyła dźwięk.

- Natychmiast do łóżka! - krzyknąłem. - Przeziębisz się!

- Kiedy ja jestem w łóżku.

- Nie wolno kłamać. Kto w takim razie włączył dźwięk?

- Szusza.

Bardzo nie chcę, żeby moja córka wyrosła na kłamczuchę. Zostawiłem pracę i poszedłem, żeby z nią poważnie porozmawiać.

Na ścianie wisiał ekran: nieszczęśliwe zwierzęta tłoczyły się u drzwi dobrego doktora Ajboli, a szusza coś majstrował przy mikroprojektorze.

- Jak ci się udało go tak wytresować? - zapytałem szczerze zdziwiony.

- Wcale go nie tresowałam. On sam wszystko umie.

Zmieszany szusza przebierał przednimi łapami. Zapanowała niezręczna cisza.

- Ale jednak... - powiedziałem wreszcie.

- Przepraszam - rozległ się wysoki zachrypnięty głos. To mówił szusza. - Ale ja się naprawdę sam nauczyłem. To przecież nietrudne.

- Przepraszam... - wykrztusiłem.

- To nietrudne - powtórzył szusza. - Przecież pan sam pokazywał wczoraj Alisie bajkę o królu modliszek.

- Nie, już nie o to mi chodzi. Kto cię nauczył mówić?

- Ja go uczyłam - powiedziała Alisa.

- Nic nie rozumiem. Dziesiątki biologów obserwują szusze i nigdy żaden szusza nie odezwał się słowem.

- A nasz szusza nawet czytać umie. Umiesz?

- On mi tyle ciekawych rzeczy opowiada...

Żyjemy z Alisą w wielkiej przyjaźni.

A więc dlaczego milczałeś tak długo?

Bo się wstydził - odpowiedziała za szuszę Alisa.

Szusza spuścił oczy.

Przełożyła IRENA LEWANDOWSKA

O PEWNYM WIDMIE

Latem mieszkamy we Wnukowie. Jest to bardzo wygodne, ponieważ chodzi tam jednoszynowa kolejka, a od przystanku do naszego domku jest pięć minut drogi. W lesie, po przeciwnej stronie szosy, rosną opieńki i kozłaki, ale jest ich znacznie mniej niż zbieraczy grzybów.

Przyjechałem na lotnisko prosto z zoo i zamiast, żeby wypocząć, wpadłem w kipiący wir miejscowego życia. Jego ośrodkiem był chłopczyk sąsiadów, Kola, słynny na całe Wnukowo, ponieważ zabierał innym dzieciom zabawki. Przyjeżdżał nawet do niego psycholog z Leningradu, który potem napisał pracę naukową o chłopczyku Koli. Psycholog studiował Kolę, a Kola jadł konfitury i marudził przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przywiozłem mu z miasta trzykołową raketę fotonową, żeby wreszcie przestał.

Oprócz tego przebywała tam babcia Koli, która lubiła rozmawiać o genetyce i pisała powieść o Mendlu, babcia Alisy, chłopczyk Jura, jego mama Karma, trojaczki z sąsiedniej ulicy, które chórem śpiewały pod moimi oknami i wreszcie widmo.

Widmo mieszkało gdzieś pod jabłonią i pojawiło się stosunkowo niedawno. W widmo wierzyły Alisa i babcia Koli. I nikt więcej.

Siedzieliśmy z Alisą na tarasie i czekaliśmy, aż nowy robot produkcji szczelkowskiej fabryki ugotuje manną kaszę. Robot już dwa razy się przepalił, więc Alisa i ja wymyślaliśmy fabryce, ale nie chciało nam się brać do gotowania, a nasza babcia pojechała do teatru.

Alisa powiedziała:

- On dziś przyjdzie.

- Kto on?

- Mój widm.

- Widmo, ono - poprawiłem ją automatycznie, nie spuszczać oczu z robota.

- Dobrze - Alisa nie zamierzała dyskutować. - Niech będzie mój widmo. A Kola zabrał trojaczkom orzechy. Czy to nie jest okropnie zdumiewające?

- Okropnie. Więc coś ty mówiła o widmie?

- On jest dobry.

- Twoim zdaniem wszyscy są dobrzy.

- Prócz Koli.

- No powiedzmy oprócz Koli... Myślę, że gdybym przywiózł smoka ziejącego ogniem, to też byś się z nim zaprzyjaźniła.

- Na pewno. A czy on jest dobry?

- Nikt jeszcze nie zdołał porozmawiać z nim na ten temat. Smok żyje na Marsie i pluje kipiącym jadem.

- Na pewno ktoś go skrzywdził. Po co zabraliście go z Marsa?

Na to pytanie nic nie mogłem odpowiedzieć. To była święta prawda. Nikt nie pytał smoka o zdanie, kiedy go wywożono z Marsa. A smok w czasie podróży pożarł ulubionego psa załogi statku "Kaługa", czym zasłużył sobie na nienawiść wszystkich kosmonautów.

- A więc co z tym widmem? Do czego ono jest podobne?

- Ono chodzi tylko wtedy, kiedy jest ciemno.

- Rozumie się. Tak jest od wieków. Nasłuchałaś się bajek babci tego Koli...

- Babcia Koli opowiada tylko o historii genetyki. Jak prześladowano Mendla.

- Ale, ale, jak reaguje twoje widmo na pianie koguta?

- Nijak. A dlaczego?

- Rozumiesz, przyzwoite widmo ma obowiązek zniknąć przy akompaniamencie straszliwych przekleństw, kiedy kogut zapieje.

- Zapytam go dzisiaj o koguta.

- Dobrze.

- I dzisiaj pójdę później spać. Muszę porozmawiać z widmem.

- Proszę bardzo. No dobrze, dosyć tych żartów. Robot już na pewno całą kaszę rozgotował.

Alisa siadła do kaszy, a ja do Zeszytów Naukowych Gwianskiego Ogrodu Zoologicznego. Był tu wyjątkowo interesujący artykuł o ukusamach. Przewrót w zoologii. Udało im się doprowadzić do rozmnażania ukusamów w niewoli. Małe rodziły się ciemnozielone, chociaż pancerze rodziców były niebieskie. Ściemniło się. Alisa powiedziała:

- No to ja idę.

- Dokąd?

- Do widma. Przecież obiecałeś.

- Myślałem, że żartowałaś. Ale jeśli tak bardzo chcesz, to idź do ogrodu, tylko włóż sweterek, bo zrobiło się chłodno. I nie idź za daleko. Najwyżej do jabłoni.

- Po co mam iść dalej? On tam na mnie czeka.

Alisa wybiegła do ogrodu. Patrzyłem za nią spod oka. Nie chciałem się wdierać w świat jej fantazji. Niechże ją otaczają widma, wróżki, odważni rycerze, dobre wielkoludy z bajkowej błękitnej planety... Oczywiście pod warunkiem, że będzie chodziła spać o właściwej porze i regularnie jadła.

Zgasilem światło na werandzie, żeby lepiej obserwować Alisę. Podeszła do starej

rozłożystej jabłoni i stanęła.

I wtedy... od pnia jabłoni oddzielił się błękitny cień i ruszył na spotkanie Alisy. Cień jakby . płynął w powietrzu nie dotykając trawy.

Schwyciwszy coś ciężkiego biegłem w dół po schodach, przeskakując po trzy stopnie. To mi się nie podobało. Albo czyjś głupi żart, albo... Co mianowicie "albo" nie wymyśliłem.

- Ostrożnie, tatusiu! - powiedziała głośnym szeptem Alisa. - Spłoszysz go.

Złapałem Alisę za rękę. Tuż przede mną rozplýwała się w powietrzu błękitna sylwetka.

- Coś ty zrobił, tatusiu! Przecież ja go prawie uratowałam.

Alisa haniebnie szlochała, kiedy ją niosłem na taras.

Co to było pod jabłonią? Halucynacja?

- Dlaczego to zrobiłeś? - szlochała Alisa. - Przecież obiecałeś...

- Nic takiego nie zrobiłem - odpowiedziałem. - Widma nie istnieją.

- Przecież sam go widziałeś. Dlaczego mówisz nieprawdę? A przecież on nie znosi ruchu powietrza. Czy ty nie rozumiesz, że do niego trzeba podchodzić powoli, żeby go wiatr nie zdmuchnął?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Jednego byłem pewien - jak tylko Alisa uśnie, pójdę z latarką i starannie przeszukam ogród.

- A on mi dał list do ciebie. Tylko ja ci go teraz nie oddam.

- Jaki znowu list?

- Nie dam.

Teraz dopiero zauważyłem, że zaciska w piątce kawałek papieru. Alisa spojrzała na mnie, ja na nią, i jednak dała mi tę kartkę.

Na kartce moim charakterem pisma był zanotowany harmonogram karmienia czerwonych krumsów. Szukałem tej kartki już trzy dni.

- Alisa, skąd wzięłaś moje notatki?

- Odwróć kartkę. Widmo nie miało papieru, to ja mu dałam twój.

Na drugiej stronie nieznanym charakterem było napisane po angielsku: "Szanowny panie profesorze!

Ośmielałam się zwrócić do pana, ponieważ znalazłem się w nieprzyjemnej sytuacji, z której wyjście mogę znaleźć jedynie przy postronnej pomocy. Niestety, nie mogę również opuścić kręgu o promieniu jednego metra, którego środkiem jest jabłoń. Zobaczyć mnie w moim obecnym godnym pożałowania położeniu można niestety tylko w ciemności.

Dzięki pańskiej córce, istocie dobrej i wrażliwej, udało mi się wreszcie nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym.

Ja, profesor Kuraki, jestem ofiarą nieudanego eksperymentu. Doświadczenia, które przeprowadzałem, dotyczyły przesyłania materii na dalekie odległości. Udało mi się przesłać z Tokio do Paryża dwie indyczki i kota. Moi koledzy przejęli zwierzęta w idealnym stanie. Jednakże tego dnia, kiedy postanowiłem przeprowadzić eksperyment na sobie, bezpieczniki w laboratorium przepaliły się akurat w czasie doświadczenia i zabrakło energii do całkowitego przemieszczenia mojej osoby. Rozproszyłem się w przestrzeni, przy czym moja najbardziej skoncentrowana część znajduje się obecnie w okolicy pańskiej szanownej willi. Mój godny pożałowania stan trwa już drugi tydzień i niewątpliwie zostałem uznany za zmarłego.

Błagam pana, aby natychmiast po otrzymaniu mojego listu był pan łaskaw posłać depezę do Tokio. Niech ktoś naprawi korki w moim laboratorium. Wówczas będę się mógł zmaterializować. Proszę zawczasu przyjąć wyrazy wdzięczności.

Kuraki".

Długo wpatrywałem się w ciemność ogrodu. Potem zszedłem z tarasu i zbliżyłem się do jabłoni. Bładoniebieska ledwie dostrzegalna poświata kołysała się obok pnia. Kiedy wyteżyłem wzrok, dostrzegłem zarys ludzkiej sylwetki. "Widmo" błagalnie, jak mi się wydawało, wzniosło ręce ku niebu.

Nie tracąc już więcej ani chwili pobiegłem na stację kolejki i zawideofonowałem do Tokio. Zajęło mi to nie więcej, niż dziesięć minut.

Już po drodze przypomniałem sobie, że zapomniałem położyć Alisę. Przyśpieszyłem kroku. Na tarasie paliła się lampa.

Przy jej świetle Alisa demonstrowała swój zielnik i kolekcję motyli wymizerowanemu niewysokiemu Japończykowi. Japończyk trzymał w ręku garnuszek i nie spuszczać oczu ze skarbów Alisy delikatnie jadł manną kaszę.

Na mój widok gość skłonił się v nisko i powiedział:

- Jestem profesorem Kuraki - pański sługa na wieki. Pan i pana córka uratowaliście mi życie.

- Tatusiu, to jest mój widmo - powiedziała Alisa. - Teraz ty w niego wierzysz?

- Wierzę - odparłem. - Miło mi poznać pana.

Przełożyła IRENA LEWANDOWSKA

SPIS RZECZY

Wielki Guslar: krótki przewodnik

Trzeba pomóc

Świeży transport złotych rybek

Kontakty osobiste

Dwie krople na szklanę wina

Jak go rozpoznać?

Wzajemność

Skarbnica mądrości

Bulwa

Bioformant i dziewczyna

Awaria na linii

Wybór

Dziewczyna, której nigdy nie stanie się nic złego

Nakręcam numer

Brontek

Tuteksy

Nieśmiały susza

O pewnym widmie